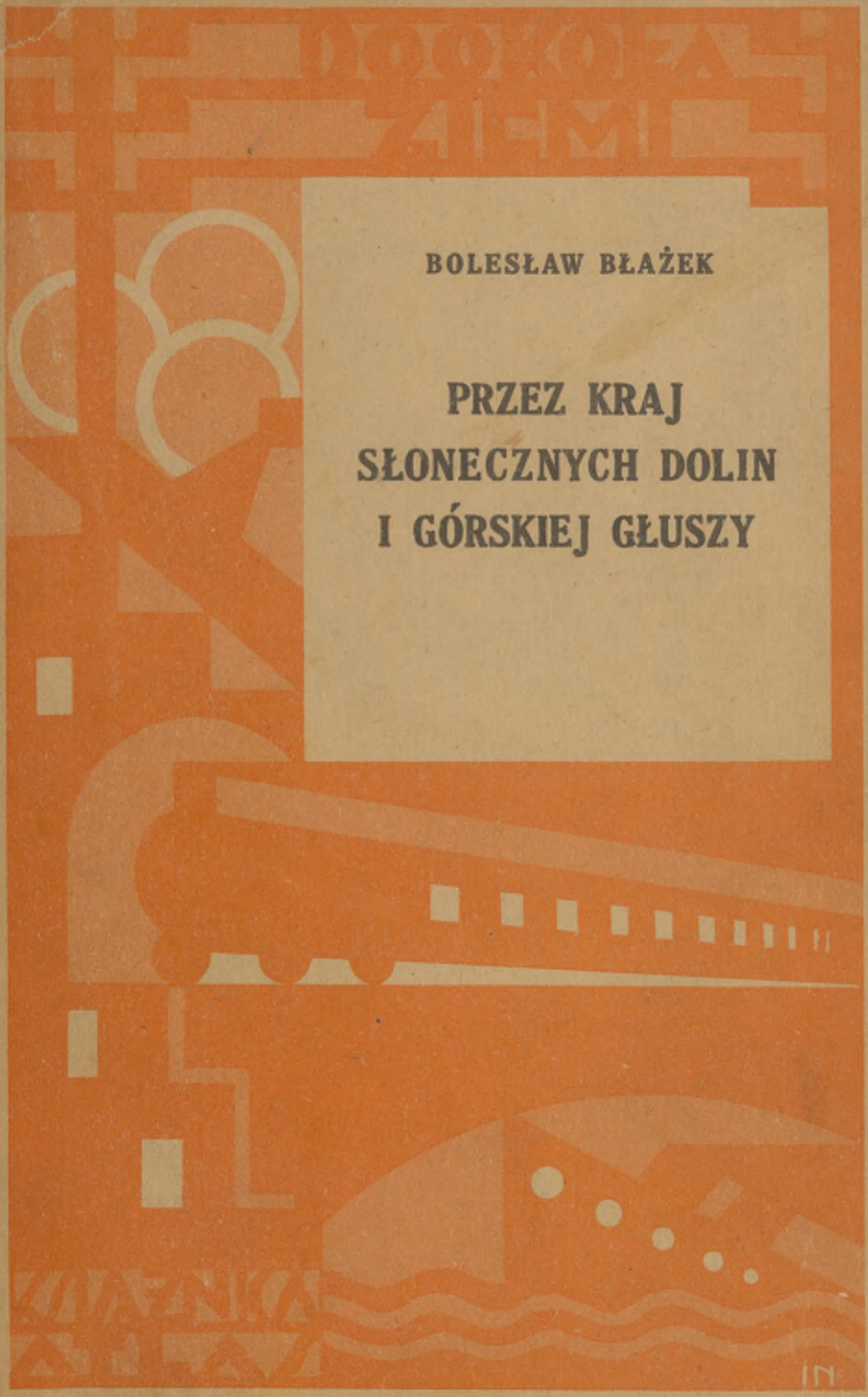

BOLESŁAW BŁAŻEK

PRZEZ KRAJ SŁONECZNYCH DOLIN I GÓRSKIEJ GŁUSZY

KSIĄŻNICA-ATLAS S. A.

LWÓW, UL. CZARNIECKIEGO 12 — WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT 59

poleca

DOOKOŁA ZIEMI

RED. DR. STANISŁAW WŁAD

Jest to zbiór krótkich monografij, dotyczących geografji różnych krajów świata w najszerszem tego słowa pojęciu. Oryginalne ujęcie i żywa, bezpośrednia forma przedstawienia czyni z tego zbioru miłą a pożyteczną lekturę, tak dla młodzieży, jak i dorosłych.

I. *St. Pawłowski:* **Francja.** Kraj i ludzie . . . . 2·40
II. *B. Błażek:* **Przez kraj słonecznych dolin i górskiej głuszy.** Bułgarja . . . . . —·—
III. *T. Nittman:* **Pod ręką Fatmy.** Słoneczny Algier —·—
IV. *S. Barszczewski:* **Na ciemnych wodach Paragwaju** . . . . . —·—

BIBLJOTEKA ISKIER

POWIEŚCIOWA I POPULARNO-NAUKOWA

1. *K. Dickens.* Maleńka Dorrit. Brosz. zł. 5·80, karton 7·30
2. *J. Marcinowska.* W upalnem sercu Wschodu. Brosz. zł. 4·20, karton . . . . . 6·—
3. *J. H. Fabre.* Szkodniki. Brosz. zł. 4·50, karton . . 6·—
4. *J. H. Fabre.* Nasi sprzymierzeńcy. Brosz. 4·50, karton 6·—
5. *B. Ostrowska.* Bohaterski Miś. Brosz. zł. 3·—, karton 4·50
6. *K. A. Czyżowski.* Szalony lotnik. Brosz. zł. 3·—, karton 4·20
7. *B. Merwin.* Dwanaście nowel. Brosz. zł. 3·—, karton 4·20
8. *K. Dickens.* Dawid Copperfield. Brosz. zł. 5·40, karton 6·80
10. *A. Pisuliński.* Szlakiem słonia afrykańskiego. Brosz. zł. 5·50, karton. . . . . 7·—
11. *W. Scott.* Kwintyn Durward. Brosz. 5·40, karton . 6·80
12. *W. Scott.* Talizman. Brosz. zł. 3·90, karton . . . 5·40

Ciąg dalszy na str. 3-ciej

Biblioteka Politechniki Krakowskiej

100000231504

Irena
15,
EGZ. RECENZYJNY

D O O K O Ł A Z I E M I
BIBLJOTECZKA GEOGRAFICZNO-PODRÓŻNICZA
WYDAWANA STARANIEM ZRZESZENIA POLSKICH NAUCZYCIELI GEOGRAFJI
T. 2

BOLESŁAW BŁAŻEK

PRZEZ KRAJ SŁONECZNYCH DOLIN I GÓRSKIEJ GŁUSZY

WSPOMNIENIA Z WŁÓCZĘGI PO BUŁGARJI

K S I Ą Ż N I C A - A T L A S
ZJEDNOCZ. ZAKŁADY KARTOGRAFICZNE I WYDAWNICZE
TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻSZ., S. A.
LWÓW-WARSZAWA
1931

POLITECHNIKA KRAKOWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
II 37682

2378

Zakłady Graficzne Ski Akc. Książnica-Atlas we Lwowie

Akc. Nr. L 956/59

DO SOFJI.

Jakoś dziwnie, mimo wieloletnich włóczęg nieraz bardzo dalekich, usuwały mi się Bałkany z przed drogi, pomimo iż miałem zawsze ciekawość poznania i kraju i ludzi, tak bliskich nam pochodzeniem. Wprawdzie niebardzo to dalekie te strony, jednak, ponieważ nie wiodą tamtędy zwykłe turystyczne szlaki, mają w sobie przedsiębranę tam podróże coś zawsze z wypraw egzotycznych.

Teraz miały się ziścić wreszcie dawno już układane plany, gdyż udało się zebrać niewielką drużynę, szukającą w podróży nie wygód, lecz przedewszystkiem łakomą wrażeń i poznania stron dotąd nieznanych.

Należało się zdecydować, czy wybrać drogę koleją, czy Dunajem. Wybraliśmy to drugie, i nie zwlekając zbyt długo, stanęliśmy w porcie Bratisławy razem z tłumem innych podróżnych, oczekujących przybycia statku.

Godzina oznaczona rozkładem na odjazd parowca minęła już dawno, a stłoczony tłum u pomostu przystani napróżno oczekiwał jego przybycia. Mała stosunkowo woda na Dunaju, wskutek długotrwałej posuchy, bynajmniej nie usprawiedliwiała dostatecznie tak znacznego opóźnienia, widocznie więc jego

przyczyną był wzmożony i tu wakacyjny ruch podróżnych. Nie zapowiadało się zatem zbyt luźno na pokładzie, chyba że tutaj okręt zostawi wiele ze swego żywego ładunku.

Wreszcie ukazał się wał dymu i powoli sunące białe pudło, widocznie bardzo obciążone.

Zdaleka już było widać, że pokłady były pełne, a przyjęcie jeszcze tych, którzy czekali, wydało się niemożliwem. Tłum więc począł się niecierpliwić i cisnąć do portowej barjery, gdyż czekanie na statek następny nie uśmiechało się nikomu. Gdy wreszcie okręt przytroczono do przystani wśród nawoływań obsługi, turkotu łańcuchów i ciężkich oddechów maszyn, pokazało się, że wysiadło niewielu.

Poczęli teraz wsiadać nowi podróżni.

Płynęli więc i płynęli wąskim pomostem po dwóch, toczyły się wózki z bagażem, biegali tu i tam portowi robotnicy, i znikali gdzieś wszyscy, jakby wychodzili drugą stroną, tak nic nie było widać przybytku, i tak się nic nie zagęszczał tłum na pokładzie. Okręt tylko przeginał się lekko na boki i połykał wszystko, co mu podawano, nie zwracając uwagi na ilość, a potem, gdy już opuszczono mostek i odwiązano liny, odetchnął głęboko raz i drugi, zaczem począł z furją bić łopatkami kół o wodę i odsuwał się wolno, nad miarę ociężały od brzegu ku środkowi rzeki.

Wiele wolnego miejsca nie było, to prawda. Środek dolnego pokładu tak był zawalony podróżnemi bagażami, że nielada sztuką się wydawało, aby mogli do nich dotrzeć ich prawi właściciele, co musieliśmy niestety stwierdzić na końcu podróży i na

własnej skorze. Ale na każdy sposób byliśmy na wolnem powietrzu, a płuca mogły z całą swobodą poić się powietrzem dalekich pól. Zresztą zczasem zaczęło być wogóle luźniej. Ludziska gdzieś się po zakamarkach rozeszli, sporo ich utonęło odrazu w bufecie, tak iż stało się jasnem, że ta niecierpliwa gromada na pomoście Bratisławy i ten tłum, który już był na okręcie, to była dawka jeszcze bardzo daleka do jego nasycenia. Można już było i wolno się poruszać i tu i tam zaglądnąć, a nawet znaleźć wolne miejsca na ławeczkach, chociaż na pakach i na linach zawsze było swobodniej.

Dosyć, że powoli zaczęliśmy się tutaj domowić na dobre. Kto chciał zawierał przygodne znajomości, albo rozglądał się w nowem otoczeniu, albo starał się go nie widzieć i nie słyszeć jego gwaru, aby się tem silniej zespolić z tem, co się tam przewijało za burtą, widząc w tem najlepsze wytchnienie po całorocznych wysiłkach.

Człowiek wtedy przestaje istnieć jako istota rozumna i wolą obdarzona, gdzieś się sam podziewa, nie wiedzieć gdzie, a pozostaje zeń jedynie jakaś wrażliwa masa, która pozwala na siebie działać, a raczej bezwolnie wchłania wszystko to, co się dzieje naokół.

Wtedy w tej wrażliwej masie jakaś cudowna zachodzi przemiana.

To, co w niej człowiek poplątał i pogmatwał w szalonej gonitwie szarego dnia, co w pocie czoła rozumem nanizał w subtelną koronkę, że się w niej już i wyznać nie potrafił, poczyna się samo z siebie

jakoś rozplątywać łagodnie, jakoś układać bez wstrząśnień, że aż dziw bierze, iż się nie dostrzegało rzeczy prostych i ich związków tak naiwnych, jak rozumowanie dziecka.

I wtedy jest dobrze.

Jeśli się więc widzi na pokładach okrętów takie nieme widma, które nie schodzą z nich i nocą, to są ci właśnie, którym opadły skrzydła zmęczone lotem, a teraz się krzepią, by je rozwinąć na nowo.

I w tem jest cała tajemnica tego, co gna co roku letnią porą całą masę turystów po wszystkich morzach i spławnych rzekach. Tego nie może dać jazda koleją, odbyta z największą nawet wygodą, gdzie człowiek zawsze czuje się więźniem szczupłej przestrzeni.

To też zaważyło głównie w naszej decyzji co do sposobu podróży, jakkolwiek przedłużyliśmy nią znacznie czas zużyty na dotarcie do miejsca przeznaczenia. Nudy jednak nie zaznał nikt z nas podczas drogi, boć przecie obszary, które mieliśmy przebyć, pociągały nas i swoją rozmaitością widoków i pięknem. A i ten mały światek okrętowy żył też swojem życiem; kto więc chciał, mógł brać w niem udział, a kto nie, miał drugi, szeroki świat poza burtą. I jeden był ciekawy i niemniej drugi.

Kamienny portowy bulwar począł się zwolna odsuwać wtył, potem zabiegł zboku nieznacznie, wreszcie usunął się zupełnie, zostawiając miejsce przybrzeżnym ulicom, aby ich długie łańcuchy kamienic też się pożegnały z nami. Potem już tylko małe domki, pochowane w ogrodach, zabiegały na

brzeg, coraz rzadziej i rzadziej, aż wreszcie zniknęły i one.

Przed nami poczęły się teraz przesuwać jakieś zrudziałe pagórki ze śladami trawy, widocznie spalonej przez słońce, jakieś pełne życia ogrody, pola, podbiegające do góry i nagle urwane linją horyzontu, jakieś się czaiły osiedla, to dalej od rzeki, przywarowane do łąk, to bliżej, zbiegając nieraz po stromym brzegu aż do wody.

Chmury, które dotąd kłębiły się nisko i groziły deszczem lada chwila, unosiły się coraz wyżej i zanikały zwolna, w miarę posuwania się ku południowi. Niebawem było nad nami już czyste niebo i poczynał się upał, więc rozciągnięto nad pokładem ochronne płótno, a całe życie poczęło się układać tak, jakby to miało już być na zawsze. Brzegi, z początku jeszcze wysokie, nawet strome miejscami, poczęły się zniżać, i coraz to szerszy świat stawał dla oczu otworem, już roześmiany w słońcu, strojny, szczęśliwy z życia i spokojny. Statek płynął wolno z biegiem rzeki, bez zbytniego wysiłku; raz podjeżdżał bliżej do jednego brzegu, to znowu do drugiego, jakby się tam właśnie coś ciekawego działo, na coby spojrzeć wypadło. A potem znów sunął zadąsany środkiem, na nic już nie bacząc, zawiedziony w swej ciekawości i tu i tam.

I mijały tak godzina za godziną, jakby tego czasu nic nie wypełniało, jakby oddzielnie istniał on, a niezależnie od niego jego treść, która gdzieś się włóczyła sennie obok, przysiadała na małą chwilkę, a potem znów podążała przed siebie, sama nie wiedząc dokąd i poco. Przesuwały się wolno obrazy nazewnątrz,

często jeden kopją drugiego tak łudzącą, że zdawało się, iż zjawiają się poto tylko, aby czemś przecie wypełnić próżnię. Nigdzie żadnego pośpiechu, żadnej gonitwy, niczego, coby się z resztą nie stapiało w całość o zaziemskiej jakiejś harmonji. Na pokładzie też ustała bieganina, obsługa poruszała się jakoś bez szelestu, podróżni rozmawiali z sobą, ale jak odniechcenia i mało, przeważnie jednak milczeli, zapatrzeni przed siebie wdal.

Czasem tylko robiło się trochę inaczej, gdy statek przybił do pomostu jakiejś przystani, która często nie wiedzieć skąd wyrastała po drodze. Wówczas coś jakby spływało od tych, którzy czekali na lądzie, i wracały na chwilę i podniesione głosy i bieganina tu i tam i podniecenie ogólne, ale, gdy pomosty pozostały już wtyle, znów wracał dawny spokój, niczem niekłócony.

Dzień się tymczasem ze złotego robił czerwony, potem różowy, potem poczynał bieleć coraz bardziej. Płótna ochronne ściągnięto z nad pokładu już dawno. Brzegi poczęły się odsuwać wtył i zacierać w konturach, aż wreszcie zlały się w jedno z horyzontem. Na pogodne niebo wybiegało coraz więcej gwiazd, aż się zaiskrzyło od nich, że czarny strop wydał się jakiemś ogromnem, porzuconem w bezmiarze ogniskiem, w którem tliły, to jaśniej to ciemniej, niedopatrzone węgle, rozdmuchiwane przez wiatr. Czasem, gdzieś zdaleka świeciły łuny większych osiedli, lub tułały się zapomniane światełka ludzkich samotni, ktore, gdy zbiegły nad brzeg, kładły się jasną linją po wodzie, także drgającą, jak te tam ogniki u góry.

Statek manewrował dalej niewidocznym szlakiem, i tak się przesuwało obok wszystko w coraz głębszym śnie pogrążone, jak za dnia w uśmiechu. Pokład pustoszał coraz bardziej; każdy szukał dla siebie cichego i ciepłego kąta, bo z zachodem słońca począł się chłód coraz bardziej dotkliwy, aż dostroiło się niebawem wszystko do siebie: i statek i ciemny szlak wody i jeszcze ciemniejsze brzegi i w gwiazdy ubrany strop nieba i przestrzeń cała, która też w sen popadła.

Aż woddali poczęła gorzeć łuna, silniejsza niż inne, i nie znikała, jak tamte, lecz owszem przybierała na mocy, rozszerzając się coraz bardziej. Raz zjawiała się z jednej strony, to znowu z drugiej, albo zabiegała nawprost wolno sunącego parowca. Czasem znikała na chwilę, zasłonięta silniejszem wzniesieniem brzegu rzeki, aby za chwilę zajaśnieć tem silniej i już bliżej tak, że poczynały być widoczne oddzielne zgrupowania świateł i jakieś długie ramiona jaśniejsze od tła, które wybiegały z niego odważnie i wżerały się w noc świetlaną smugą.

Usypiający już statek począł się znów ożywiać, a pokład, przed chwilą prawie pusty, wypełniał się coraz bardziej postaciami, które wypełzły z kryjówek i zwartą linją oblegały barjery.

Już się łuna rozłożyła po obu bokach i zprzodu, już ciemna smuga wody poczęła rysować się wyraźniej i też świecić zrazu niepewnie tylko, tu i tam, a potem już odważniej na całej swej długości. Już się i brzegi różowić poczęły, już blask wkraczał na statek, już się jego szczegóły rysowały wyraźnie, aż

wreszcie wtoczył się cały w sam środek tej pożogi, aż światła na pokładzie i z kabin przygasły.

Buda-Peszt...

Naznaczony był tutaj dłuższy postój, więc się nasze pudło obudziło doreszty, a miejsce ciszy, która dotąd panowała wszechwładnie, zajął gwar ludzkich głosów, nawoływania, turkot ciężarowych wózków po drewnianym pomoście, sapanie okrętowego żórawia, a towarzyszył temu wszystkiemu dolatujący tu z oddali jednostajny i niemilknący na chwilę szum wielkiego miasta. Nieco podróżnych wysiadło, nieco przybyło nowych towarzyszy, a z nimi spłynął na statek ten drażniący niepokój, jaki się zawsze wylęga tam, gdzie się człowiek zwiera z człowiekiem w wielkiej gromadzie, o miejsce dla siebie i swoich.

Gdy jednak tylko zwolniały liny, któremi okręt przycumowano do brzegu, gdy światła bulwarów poczęły się cofać wtył, a głosy ludzkie oddalać coraz bardziej, wróciło i tu wszystko do dawnego. Jeszcze, gdy ostatnie szeregi latarń sunęły obok długim korowodem w powadze i zamyśleniu, błąkał się po statku odzew wielkiego miasta, ale było mu tu coraz bardziej nieswojsko, więc się zsunął stąd, gdzie nie zaznał gościny, i odpłynął tam, skąd biła wciąż jeszcze łuna. Ale i ta gasła coraz bardziej. Już tylko różowiła niebo od północy, w niczem nie przeszkadzając panowaniu gwiazd, aż i to znikło, a niczem niezmącona cisza, spokój i senność wzięły wszystko we władanie.

I było znów dobrze...

Światła na pokładzie pogasły i tylko się jarzyły sygnały; od kapitańskiego mostku dochodził mia-

rowy odgłos kroków służbowego oficera, maszyny oddychały spokojnie. I tem tylko zdradzało się tu życie.

Nieliczni, pozostali na pokładzie podróżni, którzy widocznie już miejsca dla siebie w kadłubie znaleźć nie mogli, ułożyli się tu na spoczynek, i tylko czasem przesunęła się jakaś postać bez szmeru, zaczerniała na tle maszynowej luki i rozpływała się w nocy.

Zawsze, na każdym okręcie są takie nocne duchy, którzy, gdy na krok już niemal nic nie widać, oni widzą najwięcej. Wpatrzeni wtedy przed siebie, stoją u burty, jakby nie wiedzieć jakie przewijały się tam obrazy i nie wiedzieć jakie grały tam barwy.

Ci chcą być sami ze sobą, i korzystając z tego, iż innych sen zmorzył, chcą siebie odnaleźć w przestrzeni. Ludzie im wtedy na nic i na nic to wszystko, co tłum zajmuje, bo oni sami zaludnią tę pustkę, a potem patrzeć będą w to wszystko, jak patrzy dziecko w swe odbicie w strumieniu.

I jak ono nie może zrazu rozpoznać siebie w sfalowanej wiatrem powierzchni wody, a potem, gdy się ona wygładzi w ciszy, uśmiecha się do swego obrazu, który wydaje się jaśniejszy nad słońce, tak i ci, przerażeni zrazu chaosem stworzonych wizyj, czekają w przerażeniu, aż się to wszystko porwie za bary co rychlej i skotłuje w dzikim zamęcie, a gdy widzą, że się to samo z siebie ładzić poczyna i wygładzać, aż dziwną wreszcie zajaśnieje harmonją, oczu nie mogą oderwać od tego cudu, jaki się stał przed nimi i uśmiechają się także.

* * *

Poczynał się dzień.

Nie było jeszcze widać nic więcej, tylko zmieniała się barwa nocy w kolor matowo-szary, który bielał zwolna, aż przeszedł wreszcie w biel nieprzebitą dla wzroku, która ogarnęła wszystko. Utonął w niej statek, że tylko się niewyraźnie znaczyły kontury kominów, a gubił już kadłub zupełnie. Wciskała się w korytarz kabin, halę maszyn, zaglądała wszędzie w każdy zakątek, osiadając pyłem wody wszystko, co tylko dopadła. Wraz z nią przyszedł chłód przejmujący, potęgowany jeszcze bardziej powiewem, który też wstał ze snu, a teraz błąkał się niezupełnie rozbudzony, przystając co chwila i znów się przenosząc gdzie indziej.

Ale to trwało niedługo, a świat, z którego odpłynęło gdzieś życie jeszcze z wieczora, wracał do niego zpowrotem. Co chwila, to tu, to tam, wykwitały barwy, jedne świetniejsze od drugich. A więc ledwie widoczny odblask topazu przechodził gdzieś bez zmian widocznych w czerwień polnych maków, ówdzie wykwitał nieregularną linją różowy otok, który się w oczach krwawić poczynał, tam znów skądś wypływały nieśmiało i już w gromadzie barwne kłęby, popatrzyły na siebie zdziwione, skąd się tu wzięły w takim tłumie, i gnały wdal, gorzejąc coraz bardziej, aż wreszcie pożoga objęła pół horyzontu.

Poczęły się wyłaniać już z mgły brzegi, znacząc się na jej tle zrazu ciemnym tylko wałem bez zarysów: ten jednak gęstniał w oczach, aż odciął się wreszcie ostrą linją od przewalających się kłębów. Potem się rzeźbić na nim poczęły jakieś wnęki fantastycznych pokrojów, jakieś plamy o niepewnym

rysunku, potem ustalać się poczęło to wszystko, aż wyłoniła się wreszcie gęsta czupryna krzaków i wiklin nadbrzeżnych. Stały zwartą ławą, przykucnąwszy nisko nad wodą, połyskując obfitą rosą; czasem rwały się, a wtedy wybiegały wąskie łachy żółtego piasku głęboko w rzekę, albo pola i łąki, które się zaczynały Bóg wie gdzie, podchodziły aż tu i przywarowywały nad wodą.

Wszystko to jaśniało coraz bardziej w blaskach pełnego już słońca. Mgły rwane na strzępy tułały się jeszcze czas jakiś, przysiadały co chwila, czepiały wystających prętów, aż stopniały zupełnie w cieple. Dzień wstawał pogodny, jeszcze rześki od wczesnej godziny, ale czuć było, że przyjdzie upał niebawem. Narazie jednak nikt nie uciekał od słońca. Płacht ochronnych nie rozciągnięto nad pokładem, a po chłodnej nocy i śnie krótkim, każdy wchłaniał z lubością dech zbudzonego dnia. Zaludniał się też pokład coraz bardziej. Co chwila wychodził ktoś z kadłuba zziębły, nie całkiem ze snu otrząśnięty, a zobaczywszy dzień jasny, ubierał chmurną twarz w uśmiech i szedł radować się słońcem.

Kraj był zupełnie inny, niż wczoraj. Niskie brzegi szeroki otwierały widok na płaszczyznę, przez którą płynęła rzeka rozlewnie i wolno. Mimo niskiego stanu wody, wywołanego posuchą, były wciąż widoczne dalekie zalewy, po których brodziło ptactwo, w majestatycznym spokoju prawowitych władców tych skrawków ziemi, porzuconych przez człowieka. Czasem tylko podnosił się brzeg nieznacznie, a wówczas strome gliniaste osypiska opadały ku wodzie, odarte z zieleni, niby zapomniane miejsca

malarskiego płótna, na które wszędzie indziej nałożyła natura farby z rozrzutną hojnością. Osiedla ludzkie trafiały się rzadko, lub tak ukryte w zieleni, że tylko pomost portowy i zatrzymanie się przy nim statku świadczyły, że istnieją.

Życie płynęło zresztą tak jak wczoraj; oprócz dawnych twarzy zjawiały się na pokładzie i nowe, a i te zczasem znikały, i znów napływały inne, tak iż zdawało się, że się nic właściwie nie zmienia w tym pływającym zespole, i że twarz jego jest już taka z natury.

Statek też, jak wczoraj, myszkował coś raz u tego brzegu, raz u drugiego, to znów sunął środkiem, przystawał u portowych pomostów, a zamiłowany w ciszy, odsuwał się wnet od krzykliwej nadbrzeżnej gromady i hałaśliwych przekupniów. I tak jak wczoraj, mijała jedna godzina za drugą, jakby się nic nie działo, a mimo to nie było tam chyba u nikogo z podróżnych jednej naprawdę zmarnowanej chwili. Tak jak wczoraj, zmienił się chłodny poranek w pogodny upalny dzień, którego miły żar, chłodzony powiewem od wody, nie sprawiał udręki; tak jak wczoraj, załamała się potem siła dnia, przechodząc w krzepki podwieczerz, a potem w długie chwile łagodnego konania. Tak jak wczoraj, zagasł blask wody, potem się barwy wybieliły na lądzie, potem zmatowiało niebo i świat się cały jakoś zebrał w sobie przed nocą, która rozrzuciła wnet wszędy naręcze gwiazd.

I też, tak jak wczoraj, rozgorzała potem łuna od południa, lecz nierównie bardziej rozległa. Gorzał już nietylko horyzont, ale szła pożoga po brzegach

coraz bliżej i coraz bardziej w głąb, rozpalały się wciąż nowe miejsca, coraz to gdzie indziej i coraz to jaśniej. Łączyły się potem razem, aby się wzmóc w potędze, lecz wraz jakieś inne poczęły mrugać ogniki, które zrazu bojaźliwe i niepewne, też się zmieniały w pożogę. Rzeka zniknęła. Miejsce jej zajęło jakieś rozlewisko, zda się, bezbrzeżne, które też świecić poczęło, ale tylko miejscami, zapalone od brzegu, a na reszcie legła czerń, wzrokiem nieprzebita.

Statek wpłynął zwolna na wody Belgradu.

Ostrożnie manewrując pomiędzy gęstwą większych i mniejszych parowców, łodzi motorowych i barek rybackich, z których jedne stały na kotwicy z pogaszonemi światłami, a inne sunęły gdzieś wdal jak rój świętojańskich świetlików, stanęliśmy u kamiennego bulwaru. Objął nas odrazu gwar portu, potęgowany nawoływaniem się załogi, krzykiem robotników, ładujących towary, gwarem podróżnych, gotujących się do wyjścia, i podnieceniem pozostałych, którzy tłumnie zalegli pokład.

Widok był rzeczywiście piękny. Noc była pogodna, ale bezksiężycowa i ciemna, więc tem bardziej iskrzyło się każde światełko; a było ich tu bezmała tyle na wodzie, ile tam mrugało światów u góry. Szerokie rozlewisko Sawy, która właśnie zmierza w ramiona Dunaju, wydało się tak obszerne i tak tajemnicze swą czernią, jak te bezkresne obszary, po których błądziły one.

Z jednej strony, tuż za bulwarem, stały stłoczone światła Belgradu, długie, pnące się w górę szeregi ulicznych latarń, mknące wzdłuż rzeki oświetlone

pudła tramwajów, a od tego wszystkiego szedł gwar wielkiego miasta i życia. A z przeciwnej strony rzeki usiadła na niemej czerni też gromada stłoczonych świateł, ale szła od niej cisza oddali, chociaż wszystko wskazywało na to, że życie tętni tam niemniej bujnie.

To Zemlin, siostrzyca Belgradu u ujścia Sawy. Między niemi wciąż się uwijały posłanki wspólnoty, niby ruchome wysepki pełne świateł, małe parowce, lub pędziły, zawsze w pośpiechu, łodzie motorowe.

Postój był tutaj zapowiedziany dłuższy, bo i musieliśmy się zaopatrzyć w węgiel na dalszą drogę i wziąć obfity ładunek towaru do portów Czarnego Morza, no i wymiana podróżnych też była niemała. Ale jeszcze była noc czarna i nic nie zapowiadało świtu, a obie siostrzyce rozmawiały ze sobą wciąż jeszcze na dobre, mruganiem tysięcy oczu, gdy przeciągły głos okrętowej syreny zapowiedział odjazd w dalszą drogę. Musieliśmy bowiem jeszcze przed wieczorem dnia następnego pozostawić za sobą najcięższy, ale i najbardziej czarowny odcinek Dunaju, t. zw. przełom „Żelaznej Bramy".

Znów począł się przedzierać statek przez noc, odnajdując w niej szlak swój, niewidoczny dla nikogo, znów spokojny jego oddech i miarowy odgłos kroków dyżurnego oficera na kapitańskim mostku, były jedynemi odgłosami życia w zamarłej przestrzeni.

Gdy wreszcie wypoczęty już dzień począł noc spędzać z swawolnym uśmiechem, znów inny przed-

stawił się nam obraz z pokładu. Rzeka, poprzednio rozlana szeroko, płynęła teraz wąskiem korytem, a brzegi, tu i ówdzie już skalne, przeszkadzały niespokojnym wodom buszować po lądzie tak bezkarnie, jak było to wczoraj. Woddali rysować się poczęły zrazu lekkim konturem na niebieskiem tle nieba, a potem coraz wyraźniej znaczyły się siną płaszczyzną jakieś olbrzymie, poszarpane kontury skał. Zamykały one sobą widnokrąg od wschodu zupełnie. Chociaż już dzień był dobry, bo błękit płonął rumieńcem, długo jeszcze mocowały się ze słońcem, a czerniejąc coraz bardziej, jakby swą moc znacząc, trzymały go na uwięzi i puścić nie chciały, by, jak co dnia, potoczyło się w weselu po niebieskim szlaku.

Aż uległy.

A wtedy swawolny więzień plunął im w twarz płomieniem, że aż zagorzały najwyższe zręby, i chociaż stały dalej zimne, jakby niezwyciężone jeszcze, potoczyła się wdół ku wodzie, na nic już nie bacząc, orgja kolorów i blasku.

Na pokładzie powstał ruch. Co chwila wybiegał ktoś niezupełnie ze snu otrząśnięty, i biegł ku burcie, aby nie uronić nic z tego, co się działo.

Brzegi tymczasem napierały na siebie coraz bardziej, a rzeka, gniewna za pozbawienie jej swobody, uderzała w nie żółtemi falami z całą brutalnością świadomej mocy. Furja jednak ataku załamywała się rychło o niewzruszoną postawę nadbrzeżnych skał, a odrzucone wstecz wody oddawały swą złość zapalczywą ścianom statku, opluwając go białą pianą do wysokości burty.

Między podróżnymi poczęto podawać sobie wiadomość, że z powodu długotrwałej posuchy i niskiego stanu wody, w najbliższym porcie, przed wpłynięciem w samą gardziel Dunaju, będziemy zmuszeni przenieść się na mniejszy parowiec, któremu łatwiej przyjdzie manewrować wśród skał i wirów. Ten, na którym płynęliśmy dotąd, jeden z największych, jakie utrzymują ruch osobowy do Giurgiu*) był obecnie wypełniony już bodajże ponad oficjalną pojemność, więc nie bez słuszności wyrażano obawę, czy się pomieścimy na mniejszym. Pocieszano się jednak, że są to tylko pogłoski i że zupełnie nie zmienimy parowca. Tymczasem stało się rzeczywiście inaczej.

Już zdaleka zobaczyliśmy w małej przystani zgrabny parowczyk, który stał pod parą, ale przecież tyle mijaliśmy ich po drodze, więc dlaczegożby ten nie był jednym z nich!... Dopiero, gdy stanęliśmy tuż przy nim i zarzucono pomost, stało się pewnem, że czekała nas przeprowadzka istotnie. Poszły więc najpierw bagaże, a potem i my za niemi.

Pokazało się, że pojęcie pojemności jest istotnie względne. Parowczyk był już pełny, wszędzie piętrzyły się skrzynie, kosze, toboły, wolne miejsca zajęli już podróżni, a jeszcze nie przesiadła i połowa. A tu wciąż płynęła pomostem ludzka rzeka, która rozlewała się gdzieś i torowała miejsce dla nowego

*) Giurgiu, miasto handlowe na lewym brzegu Dunaju w prowincji Muntenia (Rumunja), naprzeciwko bułgarskiego Russe (Ruszczuk).

napływu. Parowczyk tylko sapał, osadzał się coraz głębiej w wodę i z naśladowania godną cierpliwości znosił to znęcanie się nad nim. Ale gdy ściągnięto już pomost za ostatnim podróżnym i założono barjerę, nie był zupełnie podobny do tego, jaki widzieliśmy zdaleka. Zniknął pokład, obniżył się jakoś mostek kapitana, gdzieś się podziała maszynowa luka, zatraciły się okna salonu i kabin. Pozostał ruchliwy pogórek ludzkich istot, ponad który wznosił się pękaty komin parowca, dymiąc w okropny sposób.

Niewidzialna syrena zawyła raz jeden i drugi, ozwało się głębokie sapnięcie, jakie wydaje żarłok, który już dawno powinien był mieć dosyć, i pagórek zakołysał się poważnie, potem odwrócił od brzegu, począł się od niego odsuwać powoli i podążył środkiem rzeki ku widnym już zbliska krzesanicom. Te, oblane słońcem, nie straciły nic ze swej powagi i grozy, lecz owszem napierały ku sobie coraz to natarczywiej.

Wreszcie podeszły już tuż do rzeki i stanęły obok, odrazu w całej potędze. Oślizłe jeszcze od porannej rosy, nagie, wybiegały wprost z wody, która w gniewnych kłębach i wśród groźnego pomruku biła o nie bezradna, ale nie pokonana bynajmniej. A gdy je zmogła, wtedy otwierał się z trudem wykruszony wnęk, jeszcze bardziej nagi i bardziej stromy, a masy wód, pijane odniesionem zwycięstwem, w tan się ujmowały wonczas zawrotny, okrążając w obłędnych podskokach pole niedawnych zmagań. I szła stamtąd i echem się włóczyła po skałach rozgłośna pieśń zwycięstwa, a były w niej

i grzmoty siłę głoszące i pokonanym pozgonne, i chichot upiorny tym, którzy legli.

Parowczyk, wprawną prowadzony ręką, odważnie szedł naprzód, uderzając zlekka wachlami kół niespokojne fale, odpędzone przed chwilą od brzegu. Czasem zadrgał zlekka pod ciosem niespodziewanego ataku, czasem przechylił się na bok nieznacznie, gdy szalejące wody w tan go swój pochwycić myślały, czasem zwalniał, że niemal stawał, jakby w zamyśleniu, jak ujść zastawionym pułapkom, a czasem znów gnał przed siebie obłędnie, jakby w panicznej ucieczce ku przeciwległym skalnym ścianom i tulił się do nich tak blisko, że niemal ręką można było dotknąć ich wilgotnej powierzchni.
A one piły się ku górze, jakby im oddechu brakowało w tym jarze, i rozpierały swą pierś mocarną wyżej, gdzie było więcej przestrzeni i gdzie silniejsze chodziły wiatry. Siostrzyce obok i z przeciwka robiły to samo, i tak wyrosły z obu stron rzecznej strugi potężne straże skalne, które patrzyły sobie w twarz, zimne, obojętne na wszystko, groźne. Tam u góry, pod stropem, ubierały się czasem ich dumne głowy w koronę z krzewów, lub nawet las czasem wybiegał aż do czoła, częściej jednak świeciły w słońcu nagie zręby, w fantastyczne powycinane zarysy. Tam jakieś smukłe wieżyce piły się wyżej nad otoczenie, niby minarety muzułmańskich meczetów, iż zdawało się, że lada chwila rozlegnie się tam z góry śpiewny głos muezina, zwołującego wiernych, by chwalili Ałłacha. Ówdzie wyrastały jakieś baszty obronne, świeciły w nich otwory strzelnic i tylko brakło rycerzy i bojowej wrzawy. Gdzie

indziej znów usiadło magnackie zamczysko i wały tam były, i komnaty widoczne i czatownie, lecz brakło i czatowników i pana.

Czasem, gdzieś w środku skłębionych wód, wyłaniała się nagle ponad ich powierzchnię jakaś samotna skała, a obita niemiłosiernie przez fale i kruszona brutalnie przez ich uderzenia, cała w szczerbach, okruchach i pełna złomisk, spoglądała beznadziejnie ku tym, które, pełne siły, wyrastały pod niebo.

Parowczyk, chociaż nadmiernie obciążony, przewijał się między zaporami, z których wiele było wręcz niewidocznych, gdyż kryły się jeszcze pod powierzchnią wody, ale bełkot fali ostrzegał, że czuwają, a czynił to z taką lekkością i niemal fantazją, że miało się wrażenie igraszki raczej, aniżeli walki o życie. A trwało to nie chwilę tylko, lecz godzina mijała za godziną, i bywało tak, że zdawało się, iż już koniec, i że nie istnieje już żadna szczelina w gęstwie skał, przez którąby się przemknąć udało. Wtedy wzrok szukał bezradnie wyjścia, a umysł silił się nad odpowiedzią, co dalej. Ale i wtedy nagle gdzieś z boku otwierała się ukryta dotąd wodna brama, w którą wpadał w podskokach parowczyk, jakby z dziecinną radością, że przecie postawi na swojem i ujdzie. Czasem było już nam tego wszystkiego dosyć i jakaś się rodziła obawa, że może w tem wszystkiem przeciąga już strunę, i przecie spełni się przeznaczenie.

Dunaj tymczasem poczynał wreszcie rozszerzać swe koryto; brzegi odbiegały od siebie coraz bardziej i stawały się mniej strome i niższe, a wody

coraz mniej gniewne. Już i jakieś zabudowania zjawiały się nad brzegiem od czasu do czasu, aż wreszcie woddali zabielała grupa domów, port i duży biały parowiec pod parą.

Orszowa. Tutaj mieliśmy się znów przesiąść na większy parowiec, aby na nim dotrzeć już do celu. Widocznie już oczekiwał naszego przybycia. Przeciągły gwizd powitalny, turkot maszyn i kotwicznych łańcuchów, kilka zwrotów, nawoływania się załogi i obsługi portu, i stanęliśmy przytroczeni do mola.

Najpierw wysiedli ci, którzy tu swą podróż kończyli, a potem poczęła reszta przechodzić po chwiejącym się pomoście, wprost już na swoje nowe czasowe osiedle. Było już luźno, nawet bardzo swobodnie, bo niewielu już z podróżnych jechało dalej i niewielu przybyło nowych, to też po niezbyt wygodnej drodze przez Żelazne Wrota, dalsza podróż przedstawiała się nam różowo. Prawda, że nieco przybladło nam to wszystko na chwilę, gdyśmy sprawdzili, że część naszych bagaży powędrowała na brzeg razem z tymi, którzy wysiedli, ale cóż to wszystko znaczyło wobec tego, że dzień był cudny, wyiskrzony słońcem, świat cały w świąteczne ustrojony barwy, a nam będzie tylko lżej wysiadać na końcowej stacji.

Dunaj znów powrócił do swojej potęgi i rósł w nią coraz bardziej, jakby powetować chciał sobie chwilowe poniżenie. Brzegi były już płaskie, ludne, przystanie coraz to częstsze, kraj żyzny i pracowicie uprawny.

Pojawiły się już i wyspy na Dunaju, zamieszkane i uprawne. Jedną z nich, Ada-Kale, t. zn. „wyspę twierdzę", właśnie mijamy. Rzeczywiście widoczne są na brzegu ruiny starej tureckiej warowni, która, jak świadczą pozostałe resztki, należeć musiała do większych i bardziej obronnych. Dziwne są jej dzieje. Kiedy po wojnie rosyjsko-tureckiej (1877—1878) Bułgarja odzyskała wolność i pokojem w San-Stefano (marzec 1878) zakreślono jej granice aż po brzegi morza Egejskiego, zapomniano o Ada-Kale. A i później, gdy dyplomaci na kongresie berlińskim (czerwiec 1878) wytyczali ostatecznie granice nowemu państwu, nikt się o to nie zatroszczył, że tam na Dunaju była pod władzą padyszacha też i Ada-Kale. I wyspa pozostała turecką, a właściwie bezpańską. Garnizon turecki odszedł, gdyż granice Turcji przesunięto znacznie ku południowi, twierdza rozsypała się zwolna w gruzy, a mieszkańcy pozostali na swoich dawnych siedzibach i tylko stracili pana.

Ale z pewnością niebardzo odczuli swoje sieroctwo, bo było ono związane z odpadnięciem obowiązku płacenia jakichkolwiek podatków i darzyło mieszkańców wyspy najzupełniejszą swobodą. Skorzystali też z niej skwapliwie, gdyż cała ludność dość sporej wyspy poczęła zawodowo uprawiać przemytnictwo i doszła w tym zawodzie do niebywałej wprawy, a nie podlegając nikomu, była bezkarną. Ale minęły dobre czasy, gdy po Wielkiej wojnie przyznano Ada-Kale Jugosławji.

Dzień tymczasem miał się już ku schyłkowi, widnokrąg zwężał się i zacierał powoli, wody Du-

naju straciły swoje barwy i stały się stalowe, na pokładzie niewielu jeszcze pozostało podróżnych, a i na samym statku była ich niewielka gromada. Szybkim krokiem zbliżał się wieczór, a z nim kres naszej podróży Dunajem, gdyż najbliższym portem miał być już Widin, na bułgarskim brzegu. Tu mieliśmy wysiąść, przenocować, aby następnego dnia już koleją udać się do Sofji.

Było też już prawie zupełnie ciemno, gdy zajaśniały najpierw światełka oświetlonego portu, a potem i światła domów u brzegu. Znów powitalny gwizd, trochę krętaniny na statku, i byliśmy u celu.

Dziwne są uczucia, gdy się jest u kogoś po raz pierwszy; a wszyscy prawie z nas byli po raz pierwszy na Bałkanie. Jacy tam są ludzie, jak się do obcych odnosić będą, czy nam tam będzie dobrze, swobodnie, czy przyjmą nas jak przyjaciół, czy zimno i obojętnie, oto pytania, które wirem waliły pod czaszką, gdyśmy schodzili po schodkach z pokładu ku pomostowi. Chciało się, by trwało to jak najdłużej i by jak najpóźniej przyszła niepewna odpowiedź. Ale chociaż posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli, przecie wkońcu znaleźliśmy się na pomoście.

Wtedy z górnego pokładu statku rozległ się bułgarski hymn narodowy: „Szumi Marica“. To bułgarscy studenci, wracający ze studjów zagranicą do domu, tak nas żegnali na swojej już ziemi. Sporą już ich grupę zastaliśmy przy wsiadaniu na parowiec w Bratisławie, a zwiększała się ona jeszcze po drodze tak, iż do sporej urosła gromadki, gdyśmy dosięgli wreszcie bułgarskiego brzegu. Co roku tędy jadą na obczyznę i tędy z niej wracają, aby

ominąć niezbyt dla nich gościnną Jugosławję. Podczas wspólnej podróży zawiązała się między nami a nimi bliższa znajomość, a może i przyjaźń, a teraz zostawiali nas po drodze, ale już u siebie w domu, więc rzucili nam na dalszą włóczęgę ową pieśń silną i dumną, która im dawała siłę wytrwania w czasach najcięższych.

Zrobiło się nam naprawdę raźniej i weselej i poczuliśmy odrazu, że tutaj nie będziemy obcymi. Zaraz też po minięciu pomostu otoczyła nas grupka ludzi. Wiedzieli już, że ma przybyć wycieczka z Polski, więc czekali swych przyszłych przyjaciół, aby im zaraz służyć pomocą. Przychodzili tak do portu już trzeci dzień do każdego okrętu, aż się doczekali, trzymając przez cały ten czas przygotowane dla nas na noc kwatery.

Lecz trzeba było najpierw przejść rewizję celną, co nie stanowi w żadnym kraju zbytniej przyjemności. Wprowadzono nas do obszernej hali rewizyjnej, gdzie złożyliśmy nasze bagaże, czekając na zjawienie się urzędnika celnego. Rewizja jednak odbyła się w sposób bardzo uproszczony, bo urzędnik, powiadomiony przez naszych nowych przyjaciół, że to wycieczka z Polski, która przybyła dla zwiedzenia Bułgarji, poprosił uprzejmie o zabranie bagaży i otworzył drzwi do wyjścia. Powtórzyło się znów to samo kilka tygodni później, gdyśmy w porcie Russe wsiadali na statek w drodze powrotnej do domu.

Ale w naszej bałkańskiej włóczędze natrafiliśmy na inną jeszcze formę uproszczonej rewizji

celnej, spowodowanej bynajmniej nie wersalską uprzejmością wobec obcych, a było to, gdyśmy z Warny zrobili kilkudniową wycieczkę do Konstantynopola. Gdyśmy już pokonali cały szereg trudności, związanych z wyjazdem, między któremi był i obowiązek wypełnienia przez nas, cudzoziemców, pewnych druków w języku tureckim i arabskiemi literami, znaleźliśmy się w hali urzędu celnego portu. Olbrzymia sala była zawalona pod sam niemal sufit pakunkami, a przy nich stał tłum zdenerwowanych podróżnych. Na to wszystko było obecnych tylko dwu celników, którzy w dodatku prowadzili ze sobą jakąś bardzo ożywioną rozmowę. Do odjazdu parowca mieliśmy niespełna jeszcze godzinę czasu, a w razie spóźnienia się miłą sperandę czekania na najbliższą sposobność odjazdu dni dziesięć. Tymczasem odprawa celna czekających wymagała kilku dobrych godzin ciężkiej pracy, a przydzielonym do niej bynajmniej się nie śpieszyło. Pomiędzy podróżnymi przechadzał się jakiś średniego wieku Turek, z widocznym interesem śledzący tych, którzy objawiali największy niepokój wobec bezczynności celników. My też byliśmy przez dłuższy czas przedmiotem jego obserwacji.

Po pewnym czasie zbliżył się do jednego z naszych i zapytał łamaną francuszczyzną, czy nam się bardzo śpieszy i czy nam wiele zależy na tem, aby odjechać statkiem, który właśnie dał pierwszy sygnał do odjazdu. Usłyszawszy zaś potakującą odpowiedź, nadmienił, że możemy być pewni odprawy na czas jeszcze, ale za cenę pięciu tureckich

lirów. Otrzymawszy żądany bakszysz, odbył krótką konferencję z celnikiem, a ten natychmiast z wielką powagą ponaklejał upragnione zielone kartki na naszych bagażach, nie przeglądając ich wcale.

Tak wygląda zeuropeizowana Turcja Kemala Paszy, gdzie pod tandetą wiedeńskich ubrań i kaszkietów, kryje się jeszcze dawna dusza bez zmiany. Tem jaskrawiej więc wystąpiła bezinteresowna gościnność i uprzejmość celników bułgarskich, którzy w niczem nie nasiąkli wadami swych pięciowiekowych władców.

To też odrazu, gdyśmy tylko dotknęli stopą bułgarskiej ziemi, czuliśmy się tak dobrze, jak w domu, a ludzie nowo poznani tak się okazali serdeczni i bez sztucznych form, jakgdyby łączyła nas z nimi wieloletnia zażyła znajomość. Kwatery zastaliśmy już przygotowane w małym, schludnym hotelu przy porcie, a chociaż po nocach na statku, wprawdzie niezapomnianych pod względem wrażeń, ale niebardzo obracanych na sen, należał się nam dłuższy wypoczynek przed dalszą podróżą, to jednak miła pogawędka przy wieczerzy w ogrodzie hotelowym przeciągnęła się do późnej nocy. I żal nam było już tak po kilku godzinach rozstawać się z nowymi przyjaciółmi, którzy zjawili się dnia następnego na dworcu kolejowym, by nas pożegnać odjeżdżających do Sofji, i życzyć szczęśliwej i wesołej włóczęgi po Bułgarji. Miało się wrażenie, że to odjeżdża ktoś z rodziny bardzo kochany, a nie ludzie zdaleka, poznani przed kilku zaledwo godzinami, z którymi może już się nigdy w życiu nie zetkną. Pociąg już ruszył, już budynki stacyj-

ne pozostały w tyle, a oni wciąż jeszcze stali, przesyłając ostatnie pożegnania.

Tor kolejowy wziął odrazu kierunek ku południowi, lekko się wznosząc, więc długo jeszcze było widać oddalającą się zwolna dolinę Dunaju, rozległą, podmokłą i pełną zalewów. Potem rozpoczął się kraj pagórkowaty, uprawny, o coraz to wyższych wzniesieniach, znak, że coraz bliżej było już pasmo górskie. Dobiegając do niego, trasa kolei skręciła nagle ku wschodowi tam, gdzie 12 km dalej na południe leży niewielkie, bo zaledwo 3000 mieszkańców liczące, miasteczko Belogradczyk. Żyłoby ono może spokojnie i zapomniane tu pod górami, pomimo swoich wspaniałych olbrzymich dębowych lasów, czarownego położenia, kopalni węgla i miedzi, wpobliżu obszernych winnic, gdyby nie jedna osobliwość, która co roku ściąga tu licznych turystów, a są nią skały porfirowe, dziwnej konstrukcji. Niby baszty jakiegoś zamczyska olbrzymów, sterczą czerwone krwiste skały, stłoczone na niewielkiej przestrzeni, widne zdaleka i groźne. One to uczyniły głośną małą podgórską mieścinę.

Linja kolejowa biegnie stąd najpierw ku wschodowi, potem ku południowemu wschodowi, mając wciąż od południa pasmo górskie, aż wreszcie dosięga blisko dwudziestotysięcznego miasta Wracy. Leży ono u północnego wylotu przełęczy Wracata. I tutaj też dążą co roku tłumy, ale nie są to międzynarodowi turyści, którzy włóczą się wiecznie znudzeni, tu i tam, podziwiają to i owo, przeważnie z obowiązku, ale tłumy te są to pielgrzymi, a ściągają tu co roku letnią porą z całej Bułgarji,

aby pokłon oddać temu, który młode swe życie oddał za wolność Bułgarji, przepotężną nadto pieśnią wzywając młodzież bułgarską do ofiarnej daniny i wiernej służby.

Był nim Christo Botew, poeta-powstaniec, który poległ w r. 1876 w walce z Turkami, na południu od miasta, pod szczytem góry Wół. Na rynku Wracy stoi jego pomnik, wzniesiony przez naród zaraz po odzyskaniu wolności, a tam w góry, na tę Golgotę bohatera, wędruje co rok młodzież bułgarska, aby ślubować wierność jego ideałom.

Nauczyciel ludowy z zawodu, gdy jego pieśń wolności przesiąkła już w naród, sam czynem wskazuje drogę do zrzucenia nienawistnych kajdan. Znika na jakiś czas z Bułgarji i organizuje własny oddział powstańczy poza granicami kraju. Była to nieliczna garstka gotowej na wszystko młodzieży, wierzącej, że czynem swoim i życiem zapali w ojczyźnie płomień, który będzie zaczątkiem nowej, szczęśliwszej przyszłości. Przebrani za ogrodników, wsiadają w Orszowie na austrjacki statek Radetzky, udający się wdół Dunaju. Po minięciu Widynia powstańcy opanowali statek, polecając kapitanowi pod grozą luf rewolwerowych przybić do brzegu we wsi Kozłuduj w okolicy portu Łom. Stąd zdążali ku południowi w góry, w znane, niedostępne kryjówki, aby z nich spadać potem na oddziały tureckie, jak orły górskie na zwierzynę. Kapitan jednak austrjacki, zaraz po przybyciu do Łomu, uwiadomił o wszystkiem garnizon turecki i rozpoczął się pościg. Wymykały się mu sokoły długo, aż wreszcie dopadnięto oddział Botewa na

południu od Wracy. Wywiązała się bitwa. Powstańcy wiedzieli, że ulegną w nierównej walce, ale wiedzieli także, że jeśli nie padną tutaj i żywcem dostaną się w ręce wroga, to czekają ich męki wyszukane, zanim ich czyste duchy połączą się z tymi, którzy zostaną tu w polu. Nie szukali ucieczki, bo otaczał ich żywy pierścień załóg tureckich i tych z północy i tych z południa, które dążyły, by drogę odciąć powstańcom. Ale młode życie sprzedać należało drogo. Cofała się więc gromadka ku szczytowi góry Wół, rażąc wroga celnemi strzałami, z których żaden nie chybiał. Szeregi wrogów rzedły, ale miejsce tego, który padł, zajmowało dziesięciu nowych. Tam jednak, w tej garstce broniących się, po tym, który padł, pozostawała już luka, a choć nie wypełniał jej żaden z żywych, nie pozostawała próżną. Bo oto duchy tych, którzy padali w nierównej walce przez lat dziesiątki, i tam na stokach Pirynu i w dolinie Marycy i wszędzie, wszędzie od Dunaju po morze Egejskie, tu się zbiegły, gdzie pieśniarz, który zaledwo wchodził w wiek męski i towarzysze, wielkie swe duchy składali w darze ojczyźnie. I nie walka to już była, lecz szał.

Ranni, zanim noc wieczna otuliła im oczy, walczyli dalej, a ostatniem drgnieniem tlejącego życia kierowali lufę ku sobie, aby pozostać tu z towarzyszami broni. Gdy zaś i do tego już sił im brakło, prosili tych, którzy jeszcze świat oglądali, aby dłonią przyjacielską otulili im oczy nocą wieczną. I tak topniała ta garstka upiornych, cofając się wciąż ku szczytowi, napierana przez gęst-

niejący pierścień wroga, pewnego zwycięstwa. Nie wpadał mu w ręce żaden żyw, a ci, którzy legli, patrzyli w twarz nacierającym szklanym wzrokiem tak nieugięci, jakimi byli za życia. Już padł wódz niezłomnych, ale druhy serdeczne, cofając się wciąż, uniosły jego zwłoki ze sobą, aby rozkazywał im dalej po skonie, a tych, którzy go słuchać jeszcze mogli, było zaledwo już kilku. Lecz i z tych zwalał się raz wraz któryś, padając zaś, obejmował w rozkrzyżowane ramiona ziemię świętą, której służbę ślubował, a teraz odchodząc, składał jej ostatni pocałunek synowski. Wreszcie padł i ostatni.

Ucichła na chwilę wrzawa wojenna. Napastnik stanął, jakby osłabły tą mocą, z którą walczył przed chwilą, a która pozostała tam pod szczytem. Choć już niewidoczna, bo legli wszyscy, lecz potężniejsza jeszcze, niż była. I stali tak w cichości sami naprzeciw siebie bez przeciwnika, jakby uszanować chcieli tę chwilę, w której wielkie te duchy odchodziły, by wędrować pospół z innemi nad krainą niewolną i dodawać sił tym, co zostali.

Tak zginął Christo Botew... pieśniarz.

A w dwa lata później swoboda zajaśniała na Bałkanie.

Dziwną jest rzeczą, jak się to w dziejach walk o wolność powtarza, że wszędzie, gdzie naród zrzucał nałożone mu pęta, obok szarego żołnierza stawał i żołnierz-pieśniarz, aby zakląć w słowa nieśmiertelne potęgę ducha, jaki się objawił walczącym, i podnieść moc jego do wyżyn niedościgłych. I dziwnie wszyscy ci ginęli młodo, jakby śpieszno im było

odejść w zaświaty, gdy spełnili już to, poco byli posłani, lub by złączyć się z tymi, których do czynu porwali i... śpiewać im dalej.

Zginął Szandor Petöfi, adjutant generała Bema w Siedmiogrodzie, zginął Christo Botew, zginął Mieczysław Romanowski w powstańczej zawierusze, i tylu, tylu bezimiennych pieśniarzy, którzy, gdy się Polska budziła, dzieciom, które niemocną dłonią za broń chwyciły, sił męskich dodawali i wytrwania i radości wielkiego czynu, a potem odeszli, zniknęli gdzieś, pewno padli bezimienni w krwawych zapasach, a może... może... były to jakieś duchy świetlane, które spłynęły tylko na ziemię, aby być przy żywych, gdy się spełnić miał czyn wielki, a potem złączyły się z rzeszą ofiarników z pól bitewnych.

* * *

W pewnej odległości od Wracy skręca tor kolejowy najpierw na zachód, a potem na czyste południe, aby wreszcie dobiec do Sofji, położonej już na południowych stokach Bałkanu, na płaskowyżu, wzniesionym na 552 m n. p. m., zwanym „Sofijsko Pole". Musi więc przeciąć pasmo gór w miejscu, gdzie wzniesienia dochodzą do dwóch tysięcy metrów. To też trasa ta należy do najpiękniejszych w Europie, i w porównaniu z alpejskiemi linjami kolejowemi, stanowi pod względem oryginalności krajobrazu coś, czego się nie widzi gdzie indziej.

Tam potężne masywy górskie, wyrzucone mocarną ręką przyrody do nieprawdopodobnych wysokości, przygniatają widza swą uroczystą powagą,

tu, kiedyś... kiedyś musiało też być to samo, ale to, co jest teraz, to jakby z innej wzięte planety, która niema nic z ziemią wspólnego.

Oto pną się wysoko pod niebo jakieś szkielety o upiornych zarysach, niby zdruzgotane szczątki dawnych olbrzymów, które uległy siłom, potężniejszym niż były one w czas sił młodzieńczych rozkwitu. Było tu tak, jakby jakaś moc przeszła przez te łańcuchy skalne i porozbijała je w dzikim szale w okruchy, które sterczą samotnie tam, gdzie je dopadła zagłada, przerażone tem, co się stało.

Tu wystrzela na setki metrów w górę jakaś poszarpana iglica tak smukła, że aż dziw, iż się dotąd wichrom oparła. Tam blok sterczy, niby ludzką wyciosany ręką, ówdzie już tylko ostało się rumowisko. Wokół zbiegły się tutaj te trupy nie wiedzieć skąd w takim tłumie i stanęły jeden przy drugim, ramię przy ramieniu, potulone, skołatane życiem i walką ponad siły, chcąc tylko w spokoju dokończyć dni swoich.

Czasem przecie zabłądzi tu nowe życie i rzuca się obłędnie na niegościnne upłazy skalne, nie bacząc na to, co się stanie. Wtedy, ni stąd ni zowąd, zajaśnieje minjaturowy trawnik młodzieńczą zielenią gdzieś na uwieszonej nad przepaścią półce, albo krzak wżera się w litą skałę, w nadziei dojścia kiedyś do mocy.

Nic to, że tuż obok o miedzę gaśnie młode życie, które kiedyś także marzyło sny o potędze. Korzenie nie znalazły życiodajnej gleby, gdy jej już więcej było potrzeba, więc nikłe liście marnego krzewia zbladły i przybrały barwę popiołu. Nic to, że

do obłędu rozpasane wichry miotają raz wraz pyłem skalnym i okruchami piargu na niemocne jeszcze źdźbła młodej trawy, nic to wszystko...!

Na nic niepomne, tu wciąż się młode życie wadzi ze śmiercią i wciąż pędzi dni marne w nadziei zwycięstwa. A gdy wreszcie nadejdzie kres i dreszcz zagłady zgasi już myśl o jutrze, idzie potulnie w objęcie śmierci i wszystko znów staje się jednakowo bezpłodne i szare.

Słońce też, które gdzie indziej weseliło wszystko, tutaj świeciło inaczej. Wprawdzie tam u góry tkwiła jego ognista kula na bezchmurnem niebie, ale to, co szło stamtąd w to rumowisko życia, miało w sobie coś z za grobu. Wygładzone wichrami i deszczem ściany skał świeciły ogniem, który nie płonął, a tuż obok kładły się cienie w ogromnych płatach bez przejść jakichkolwiek ciemnym fioletem, który w załomach przechodził w czerń, nie łagodzoną niczem. I tak wciąż graniczyły z sobą o miedzę światło dnia i noc.

A nad tem wszystkiem zaległa cisza, którą przerywał tylko od czasu do czasu gniew rzeki, płynącej głębokim kenjonem, gdy wody jej natknęły nagle na niespodziewaną zaporę.

Taki widok roztaczał się z okien wagonu, gdyśmy przebywali wpoprzek pasmo Bałkanu, dążąc do Sofji. Niegdyś były tu olbrzymie lasy dębowe i w bród zwierzyny, ale wycinane zachłanną ręką człowieka, zniknęły już dawno. Płytką glebę zmyły deszcze, odsłaniając litą skałę, która już nie oparła się wichrom i wodzie, lecz kruszejąc coraz bardziej, wyrzeźbiła się w dziwne kształty jakichś baszt, iglic

i kolumn. Rzeka Iskier, biorąca swój początek w masywie Ryły, bardziej położonym na południu, przecina te obszary głębokim jarem, by wlać swe wody do Dunaju. Jej wyłomem podąża też linja kolejowa, przebijając się ku stolicy Państwa w licznych tunelach, cudach techniki. Gdy jej miejsca już zabraknie po jednej stronie rzeki, przerzuca się na drugą, po śmiało rzuconych mostach i wiaduktach, by na chwilę skryć się pod skałą, a potem znów wypłynąć znienacka na jakiemś urwisku, w którem mózg inżyniera wykuł wąziutki tor drogi ponad pełną bełkotu wstęgą wody. Często tor kolejowy, wspinając się na masyw skalny, przebija go tunelem na drugą stronę, aby za chwilę, nie znalazłszy dalszej drogi przed sobą, znów powrócić podskalnym korytarzem na ścianę przebitą już poprzednio, a wtedy widzi się pod sobą wylot tunelu, ponad którym przechodzi wskos drugi, jeszcze śmielej pomyślany, niż pierwszy.

Pełno się tu widzi po drodze starych zamczysk lub monasterów w ruinie, w których już dawno przestano głosić Boga, bo dawno już opuścił człowiek te strony, które wyżywić go nie były już w stanie. Nierzadko też bielą się tutaj resztki obronnych czatowni, przylepionych jak gniazda jaskółcze do skalnej ściany. To resztki z wieków niewoli.

* * *

Już było dobrze pod wieczór, gdy pociąg wybiegł z górskiego labiryntu na obszerny płaskowyż, na którym leży Sofja, a minąwszy go szybko, dobił

do stacji. Rozgoszczenie się w przygotowanych nam uprzednio kwaterach zajęło resztę wieczora tak, że zwiedzenie miasta należało odłożyć do dnia następnego. Zresztą nie było i potrzeby pośpiechu, gdyż mieliśmy w projekcie pozostać tu dłużej, aby od poznania stolicy i jej otoczenia rozpocząć poznanie kraju.

Są miasta, mające swą twarz własną, którą witają przybysza w powadze i godności, jakby mu o niego nie chodziło zupełnie, lub też, jakby go wyglądały już dawno z utęsknieniem, widocznem w zalotnym uśmiechu, który ma wiele, wiele ze zdawkowej monety.

Są miasta, które się od pierwszego wejrzenia lubi, ale są i takie, o które nie zawadza się już nigdy, chociażby tamtędy nawet prowadziła droga.

Sofja ma swoją twarz bezsprzecznie, i to nawet w arterjach, które gdzie indziej drażnią międzynarodowym wyglądem. Nie objawia się ona ani patyną starości, ani monumentalnością gmachów lub ich architekturą, lecz i nie potrzeba jej szukać dopiero w zaułkach, lub specjalnych dzielnicach, albo w ludziach. Zjawia się ona sama, nie wyglądana nawet, lecz wita z uprzejmą godnością, czem chata bogata.

Przedewszystkiem niema to miasto w sobie nic z miny dorobkiewicza, który w miejscu najbardziej widocznem gromadzi wszystko, co uważa za najcenniejsze, a przedewszystkiem to, czemby olśnić potrafił. Sofja, to, co posiada cennego w budowlach, muzeach, instytucjach, lub pomnikach, rozłożyła po

całym swoim obszarze, nie troszcząc się o to bynajmniej, czy kto z obcych tam trafi, czy nie. Jako miasto nawskróś nowoczesne, w niczem nie odbiegło swoją strukturą od wielkich miast Zachodu, a chociaż rzymskie jeszcze czasy pamięta, to przechodząc jednak z rąk do rąk i leżąc na terenie największych zmagań i przesunięć narodów, zmieniała wygląd stosownie do woli każdorazowego ze swych władców, i z dawnych wspomnień pozostało jej niewiele.

Skromny, mały kościółek świętej Zofji, z pierwszej ery czasów chrześcijańskich, to niemal wszystko. Stoi sobie potulnie, jakby w świadomości, że jego czasy już minęły, obok wspaniałej ogromem i architekturą cerkwi Aleksandra Newskiego, i nie narzuca się nikomu. Dookoła ma zielony skwer, o wypieszczonych trawnikach i z gajem smukłych drzew, i spokój tu jest niczem niezmącony, jak wszędzie tam, gdzie coś już zamknęło swoje rachunki na zawsze i żyje jeszcze jedynie wspomnieniami tego, co było. Nie odwiedza go nikt, a ci, co przechodzą obok, już są z innego świata. I możeby tak szybko dokonał swoich dni w ruinie, gdyby nie zabiegi historyków bułgarskich i miłośników zabytków przeszłości, którzy doprowadzili w ostatnich czasach do powstrzymania zagłady i rekonstrukcji zabytku, ściśle według historycznych planów archiwalnych. Odnowa postępuje więc powoli, gdyż przywraca się kościołowi nietylko jego pierwotny wygląd zewnętrzny, burząc wszystko to, co dały późniejsze przybudówki, ale też i materjał do budowy użyty dostosowuje się ściśle jakością i wymiarami

do użytych pierwotnie. Z kościołem tym i jego wezwaniem łączą też i nazwę samego miasta, więc zrozumiały jest pietyzm, z jakim przeprowadza się restaurację tego zabytku.

Dziwne zestawienie z minjaturowym kościółkiem św. Zofji stanowi, wznosząca się tuż obok, monumentalna budowla cerkwi pod wezwaniem Aleksandra Newskiego, przemianowanej czas jakiś na cerkiew św. Cyryla i Metodego. Okazała nazewnątrz, kryje w swem wnętrzu nieprzebrane skarby w marmurach włoskiego i rosyjskiego pochodzenia, którym wykładane są ściany, kute strzeliste kolumny strop podpierające, rzezana balustrada chóru. Biały, różowy, zielony, a tak są te barwy razem dziwnie zespolone, że wierzyć się nie chce, iż możliwem było wogóle taką harmonję wydobyć z materjału tak różnolitego.

Zbudowana została ta cerkiew dla uczczenia i w dziękczynieniu za odzyskaną swobodę po wojnie rosyjsko-tureckiej, a na koszt jej budowy złożyła się ofiarność całego narodu, który w powadze struktury i bogactwie wyposażenia ujął swoje umiłowanie wolności. Ona też kazała tuż obok, na obszernym placu wznieść widomy znak własnej państwowości, gmach bułgarskiego Sobranja. Surowy w pomyśle i ogromny, najlepiej charakteryzuje tych, którzy niczem niezrażeni, pomimo mąk i tortur, prężyli się tylko w sobie, aby odwalić wreszcie kamień grobowy z nad wolnego narodu. Całość uzupełnia olbrzymi pomnik wdzięczności przed frontem gmachu Sobranja, wzniesiony na cześć Aleksanrda II, „Cara Oswobodziciela".

I tak na małym obszarze zestawiono tu najdawniejszą przeszłość Bułgarji, z pierwszych czasów chrześcijaństwa, z dniem dzisiejszym: kościółek św. Zofji i gmach Sobranja.

Ale i pamięć tych, którzy budzili naród zdrętwiały uciskiem przemocy i nieśli krew swą w ofierze, nawet i wówczas, gdy nie było nadziei zwycięstwa, ma tu swój pomnik chwały. W niewielkiej odległości od gmachu Sobranja, przy skrzyżowaniu bulwaru Moskiewskiego i Ferdynanda, wznosi się, może nie tak wspaniały, lecz równie wielki, pomnik Wasyla Lewskiego.

Przebiegał Lewski kraj swój, wiecznie nieuchwytny, niosąc wszędzie ewangelję wytrwania, aż wreszcie ujęty i skuty w kajdany miał ponieść karę za ukochanie wolności. Ale orzeł nie czekał wyroku i nie chciał dać wrogom widowiska ze swego konania w mękach, więc, nie mogąc inaczej, sam sobie głowę roztrzaskał w tureckiem więzieniu o kamienne jego ściany. I zimnego już trupa wywieziono na plac stracenia i powieszono w miejscu, gdzie dziś wznosi się jego pomnik.

Jest w sofijskiem muzeum etnograficznem mały kącik, trochę na uboczu leżący w szeregu sal, mieszczących okazy sztuki zdobniczej i strojów ludowych Bułgarji, kąt, który jest święty. I dobrze zrobiono, że usunięto go z przed gwaru zwiedzających, a kto chce, trafi doń i wejdzie jak do świątyni, ze świętych najświętszej. Bo oto tutaj skryła się cała kilkuwiekowa martyrologja narodu. Jest to dział powstań narodowych.

Od najdawniejszych czasów aż do chwili odzyskania niepodległości w pokoju w San Stefano, zebrano tutaj wszystko, co zebrać się dało. Więc ubiory powstańcze i broń, dziecinnie często prymitywna, i narzędzia mąk, stosowanych na tych, którym Bóg nie dał szczęścia legnąć w polu. Siekiery, szable swojskiej roboty, pistolety po pół puda ważące, strzelby, od takich, w których lufę drutem i sznurkiem przytwierdzono do niezgrabnej oprawy, do inkrustowanych srebrem, proce dziwnej konstrukcji do miotania kamieni, a raczej odłamów skalnych, armatki żłobione w pniach drzewnych i wzmocnione obręczami.

Nie istnieje chyba widz tak obojętny, któryby przeszedł obok tych zabytków, i nie zatrzymał się choć chwilę i nie podumał nad wartością narodu, który takiemi środkami potrafił walczyć tyle lat dziesiątek przeciw przemocy i przecież nie uległ. Obok tych pamiątek po bezimiennych bohaterach, ma tu swoje osobne miejsce i Wasyl Lewski. Jest tam złożona i broń używana przez niego osobiście, w niczem nie różniąca się od tylu podobnych, przechowywanych w tej sali, a obok niej ciężkie żelazne kajdany, że i wierzyć się nie chce, iż mogły być przeznaczone dla człowieka. Skuwały mu one ręce i nogi, a nadto były silnie wpuszczone w mur więzienny. Nie mógł się z nich wydobyć męczennik, więc choć duszę wolną wydobył, by się wróg nad nią nie znęcał.

Jest w tej samej stronie miasta jedna jeszcze pamiątka i jeden jeszcze pomnik, szczególnego dla Polaka znaczenia, a jest nim pomnik

lekarzy, poległych w wojnie rosyjsko-tureckiej (1887—1888), która dała wolność Bułgarji. Znajduje się on w t. zw. „Lekarskim ogrodzie“ (doktorska gradina). Wyryto na nim nazwiska poległych. Połowa z nich to rdzennie polskie nazwiska. Nie mogło być inaczej! Gdzie się czyjąś wolność wykuwa, tam musi być i pierś polska!...

W innych starych miastach szuka się nawiązania do przeszłości w specjalnych dzielnicach, częstokroć zaułkach, gdzie gnieździ się przeważnie biedota już tylko. Sofja starych dzielnic nie posiada, a miasto, przechodząc w ciągu wieków różne koleje, rozrastało się i przebudowywało ustawicznie bez specjalnego pietyzmu dla przeszłości, której ślady nawet celowo zacierali wielowiekowi najeźdźcy Bałkanu. A gdy wreszcie nadeszła swoboda, i tu stworzono stolicę państwa, miasto wzięło odrazu niebywałe tempo rozrostu, i dziś sprawia na przyjezdnym wrażenie czegoś, co się gorączkowo tworzy dopiero. Przesuwa się ono zupełnie widocznie ku południowemu zachodowi, okupując coraz większe przestrzenie płaskowyżu aż po stoki góry Witosza, której szczyt, wznoszący się na wysokość 2000 m n. p. m., jest błogosławieństwem dla miasta w upalne dni lata.

Ten młodzieńczy rozpęd życiowy w żyłach starego miasta, oto twarz Sofji.

Jako stolica państwa jest rezydencją cara, którego pałac zwraca uwagę nietyle wspaniałością lub bogactwem, ile surową prostotą. Jest też siedzibą najwyższych władz państwowych i licznych szkół, jak: wszechnicy, akademji wojskowej, akademji we-

terynaryjnej, szkoły ztuki stosowanej, przemysłowej, oraz licznych zakładów naukowych średnich i niższych. Leżąc zaś już na terenie bułgarskich term, posiada z luksusem wprost urządzony zakład kąpielowy w samem centrum miasta, z wodą, dochodzącą 40° C. Prócz tego w najbliższej okolicy Sofji, w kierunku południowo-zachodnim, ciągnie się długi łańcuch gorących źródeł, ujętych już w nowoczesne urządzenia kąpielowo-lecznicze, a połączonych z miastem jużto linją tramwajową, jużto kolejową, wiodącą do najbogatszego pod tym względem środowiska, jakiem jest miejscowość Kiustendil, z wodą mineralną o temperaturze wrzątku.

Wiele z nich, jak Banki, Górna Banja, Kniażewo, są ulubionem miejscem letnich wycieczek mieszkańców stolicy, a przedewszystkiem Kniażewo, położone w romantycznym wąwozie pomiędzy górą Witoszą, a nieco niższym Lulinem, lub też znacznie bardziej na południe wysunięte letnisko Władaja.

A wśród tych gwarnych w lecie miejsc jest jedno ciche i napoły cmentarne, ze starą cerkiewką prawosławną na wzgórzu, wśród ogrodu, pełnego ozdobnych krzewów i kwiecia. To Bojana. Tutaj to spoczywają śmiertelne szczątki królowej Eleonory, drugiej żony cara Ferdynanda.

Pokochała za życia kwiaty, mieszkając w lecie w małym domku euksinogradzkiego parku, gdzie z nią gwarzyły odwieczne drzewa i śmiały się do niej kwiaty. Tu też zamknęła oczy wśród swoich przyjaciół, a że miłość była zawarta na zawsze,

więc i po śmierci chciała mieć koło siebie tych, których ukochała najbardziej. Szumią stare drzewa-gaduły i kwiaty się tulą wokół starej cerkiewki, co już mchem zaczęła porastać, i spokój przyszedł w to miejsce i cisza...

MONASTER RYLSKI.

Siedzieliśmy w Sofji już od tygodnia.

Skwarna pogoda panowała tu nieprzerwanie już oddawna, a słupek termometru nie spadał w godzinach, południowych poniżej trzydziestu kilku stopni. Miasto, jakkolwiek położone na wysokości przeszło pięciuset metrów nad poziomem morza, oddychało żarem, od gór nie dochodził już chłodny oddech, a strażująca od południa Witosza, w godzinach tylko wieczornych słała chłód, który niewielką tylko niósł ulgę.

W mieście poczęło już braknąć wody, wodociągi otwierano na kilka tylko godzin dziennie, a rozpalone południowem słońcem bloki kamienic i bruki zionęły zaduchem piekarskiego pieca. Nad ranem tylko ochładzało się nieco powietrze, aby znów, gdy rozgorzeje słońce, stworzyć skwar, już trudny do zniesienia.

Trzeba było uciekać z miasta.

Przyjaciele nasi sofijscy, którzy nie odstępowali nas ni krokiem, pokazując i w mieście i w okolicy, co godne było widzenia, a było tego wiele, bardzo wiele, mieli od trzech dni miny wielce frasobliwe

i pełne tajemnicy. Coś ze sobą wciąż szeptali po kątach, to ten to ów znikał nagle na kilka godzin, potem zjawiał się znów, zdyszany i zlany potem, znów się naradzał szeptem z pozostałymi, i znów gdzieś gnał w skwar.

Aż pękła bomba...

Oto nie chcieli nas wypuścić bez pokazania nam narodowej świętości, gdzie chronił się twardy i niespożyty duch bułgarskiego narodu przez długie wieki ciemnej nocy niewoli i ucisku. Chcieli nas koniecznie wprowadzić w świątynię narodowej wiary, w Rylski monaster.

Ale to daleko...! W bok od linji kolejowej i bitych gościńców, głęboko w górach...!

To też dreptali i dreptali tak długo, aż wydreptali wreszcie u komendy sofijskiego garnizonu oddanie ciężarowego auta wraz z obsługą do dyspozycji wycieczki.

I było, jak gdy ktoś kogoś w świat puszcza, kto mu jest drogi, lecz zwleka i zwleka z dniem odjazdu, aby nie wypuścić go z niczem, lecz dać na drogę, a może i na zawsze coś, czego i czas nie zniszczy, i nie uroni się gdzieś niebacznie w zawierusze po wybojach życia, lecz uchowa, a niema coby dał... A potem już znajdzie, i jest pewien, że ten miły nie odjedzie tak z niczem.

Tak i naszym sofijskim przyjaciołom rozpogodziły się twarze i roześmiały, i byli jak dzieciaki radośni, że pojedziemy w świat już z talizmanem, z ich talizmanem, i będziemy go chować, jak chowają i oni...

Odjedziemy dalej, pójdziemy już potem każdy swoją drogą, lecz wprzód przejdziemy poprzez Rylski monaster, tak jak każdy prawy Bułgar poprzez te święte mury raz w życiu przynajmniej przejść musi...

Dzień wstawał, jak każdy inny, słoneczny i upalny, gdy wczesnym rankiem zajechało auto przed kwaterę. Ustawiono dwie ławki na niem, przykryto kocem, i pomieszczenie było dla wszystkich niezgorsze. Podróż więc zapowiadała się dobrze.

Usadowiliśmy się wcale wygodnie, pomocnik szofera zakorbował, motor począł terkotać i auto drgnęło. Trochę się nam wydłużyły miny. Nie pójdzie tak gładko!... Auto, nie przeznaczone do transportu ludzi, nie posiadało ani resorów, ani gum na kołach, a niezbyt obciążone, podskakiwało wesoło po kamiennym bruku.

Jak my będziemy wyglądali, i co z nas pozostanie do nocy w tym żarze, gdy wreszcie dobijemy do celu?!...

Ale nie było nam dane w zbyt nielicznym zespole oczekiwać tego, co będzie.

Oto co chwila, zanim opuściliśmy miasto, musiało auto przystawać, aby zabierać większe i mniejsze grupki naszych sofijskich przyjaciół, którzy czekali po drodze, już zaopatrzeni w składane krzesełka, ławeczki i t. p., aby przecie wtulić się tam, gdzie według wszelkich ludzkich obliczeń nie byłoby miejsca i dla szpilki. Ale jakoś pomieścili się wszyscy.

Nic dziwnego. Wszyscy chcieli być uczestni-

kami tego święta, o które zabiegali tyle dni tak pracowicie. Jakżeby inaczej być mogło?! Przecie miejsce to, do którego nas wiedli, wielcy carowie Bułgarji minionych wieków szczególniejszą otaczali opieką i wielkiemi darzyli przywilejami. A potem, gdy sułtan Bajazyd zwyciężył (ok. 1400 r.) cara Szyszmana, i krajem całym zawładnął, i przez następnych lat pięćset, gdy Bułgarja krwią spływała serdeczną, to miejsce pozostało święte. Wolne od składania daniny zwycięzcom, nietknięte przez nich i szanowane, stało się stróżem narodowego ducha i ukojeniem gnębionych. Więc, czyż mogli nas tam nie powieźć?!...

Miły chłód wczesnego ranka minął szybko i rozpoczął się skwar, a trwająca od wielu tygodni susza wypiła wodę już nietylko potoków, ale i większych rzek, po gościńcach zaś położyła warstwę kurzu kilkucalowej grubości.

Twarze naszej gromadki stały się zrazu czerwone, potem spopielały od ulicznego pyłu, a potem świeciły już tylko oczy, z wyrazem pełnej rezygnacji i biernego poddania się działaniu słońca, którego czterdziestostopniowy żar był dla nas, przybyłych z północy, już trudny do zniesienia.

Droga prowadziła stale ku południowi, z nieznacznem odchyleniem na zachód, w górę biegu Iskru, który, biorąc początek licznemi strumieniami w masywie Ryły, mija Sofję w niewielkiem od niej oddaleniu, aby wlać wreszcie swe wody do Dunaju.

Przerzucając się z jednego jego brzegu na drugi, mijaliśmy okolicę pagórkowatą, mało lesistą, lecz żyzną.

Lasów jest w Bułgarji wogóle niewiele. Bałkan właściwy, a więc pasmo, które biegnąc od zachodu na wschód, tworzy północną barjerę doliny Marycy, nie posiada ich prawie zupełnie. Częściowo zostały wycięte już dawno, częściowo zmarniały w ciężkich kolejach losu, jakie kraj przechodził. Wiosenne zaś zlewy dokonały reszty, a zmywszy ze skały niegrubą warstwę gleby, odsłoniły surowe zarysy ostrych grani, które w śmiało kreślonych linjach spadają prostopadłemi często ścianami ku gwarnym potokom i strumieniom. Te zaś, wyrwawszy się z objęć wąskich czeluści, pozbawionych słońca, śpieszą ku jasnym dołom, plując bryzgami piany w kamienne zapory skalnego koryta.

Czasem tylko jaskółczem gniazdem przylgnie do skały stary jakiś monaster, lub tureckie zamczysko z wieków niewoli, niczem nie odbijając od tła, tak samo surowe, tak samo płatami mchu obrosłe jak wszystko, i tak samo jak wszystko tutaj słońcem spieczone w proch.

Niżej tylko, na bardziej obłych garbach, ostało się jeszcze nieco zieleni, trochę nikłej trawy i nędzne krzaki, jako jedyna pozostałość dawnych lasów. Olbrzymie stada owiec, główne bogactwo miejscowej ludności, wypasają te miejsca, a obgryzając młode pędy, nie pozwalają na wzrost bujniejszy.

Pasmo Rodopów natomiast, równoległe do poprzedniego, a tworzące południową granicę doliny Marycy, przedstawia się już zgoła odmiennie. Są tu i hale trawiaste, i gleba żyźniejsza, i w wielu miejscach bujne lasy. Niżej zajęły swe stanowiska wonna lipa i dąb, wyżej drzewa iglaste.

Zachodnia część tego pasma dźwiga najwyższe wzniesienie Bałkanu, w odosobnionem gnieździe gór Ryły.

Usiadł sobie ten masyw wśród trzech obszarów, które zamieszkują Bułgarzy, a to, między Bułgarją, Tracją i Macedonją. On też daje początek czterem rzekom, które niosą ożywcze swe wody ku trzem tym siostrzanym dziedzinom.

Z północnych stoków błękitny Iskier pędzi z fantazją junaka, aby się przebić, głębokie żłobiąc kenjony, poprzez skalną Bułgarję. Na wschód ku trackim rozłogom podąża, w niedoli swoich ludów zadumana, Maryca. Ona to krwią spływała serdeczną, gdy przez pięć wieków półksiężyc Mahometa ciążył nad krajem. Ona to patrzyła bezradna na rzeź srogą w monasterze w Batak, ona też wyśpiewała narodowy hymn Bułgarów:

Szumi Maryca okrwawena,
Placze wdowica ljuto ranena.
Marsz marsz general e s nas!
Raz dwa tri, napred wojnicy!
Wojnicy mili napred da wrwim,
S presni sili Balkan da minem!...

— — — — — — — — — — — — — —

Szumi Maryca we krwi spłoniona,
Zawodzi wdowa ciężko raniona...
Wprzód, wprzód, wodzu z nami tu!!...
Raz, dwa, trzy, wprzód, wprzód co tchu!!...
Hej woje mili, zwycięstwo jest tuż,
Z nowemi siły przejdziem Bałkan wzdłuż...

1. Reprezentacyjna cerkiew w Sofji św. Aleksandra Newskiego.

2. Targ na garnki w Kjustendil.

3. Wieś Ryła.

4. Monaster św. Iwana rylskiego.

Od południa Struma i Mesta, dwie wierne rzeki, objąwszy w swe ramiona pasmo Pirynu, śpieszą ku Macedonji, umęczonej od wieków, a zawsze wiernej. Walczyli jej synowie oddawna, wolni synowie gór, wielkiego narodu spadkobiercy o prawo życia, o oddech wolny, o nieznikniecie z powierzchni globu. Walczyli z tureckim zalewem, z tysiąckrotną przemocą, śmierć przenosząc nad niewolę. Płonęły ich górskie sadyby, w pień wycinano całe osiedla, nikogo nie szczędząc, a oni trwali dumni jak zawsze, i jak zawsze nieugięci. Wypędzani z pradziadowych siedzib, szli w góry, skarżyć się ukochanym lasom Pirynu, a potem spadali w doły lawiną aniołów mścicieli.

A potem, gdy się już wyzwoliła Bułgarja z pod jarzma, walczyli dalej, o tych z braci, którzy pozostali jeszcze pod obcem władaniem, walczyli o zjednoczenie, o powrót do macierzy wszystkich, zawsze jednacy, nieugięci i dumni.

Dzisiaj dzielą Macedonję polityczne granice państw bałkańskich na trzy części. Najmniejsza, wschodnia, dostała się Bułgarji, największa, zachodnia, przemianowana obecnie na „Serbję południową", Jugosławji, a obszary południowe Grecji. Nic więc dziwnego, że przez tyle wieków, przez żadne moce nie złamani, nie chcą Macedończycy i teraz wyrzec się swej przynależności do wspólnego pnia bułgarskiego narodu, jako jednostka żywa, nie bez własnej nazwy.

I walka nie ustała. Tylko toczy się ona już teraz przeważnie legalną drogą, na terenie Ligi Narodów, o prawne uznanie przez świat odrębnej

macedońskiej narodowości. Ale jest i wielka grupa nieprzejednanych, u których nie zaginęła tradycja orężnej walki o prawa wolnego narodu. Ci walczą dziś, jak ich ojce walczyli w czas tureckiej niewoli. I jak ongiś, tak i dziś zjawiają się nagle to tu, to tam oddziały zbrojnych komitadżi, a w żelazną ujęci dyscyplinę, pełnią służbę narodową na swój sposób, w pełnej pogardzie śmierci.

I jest Macedonja ukochaniem Bułgara, a jak jest długa i szeroka, nie znajdzie się w niej chyba kąt tak zapadły, aby w najbardziej podrzędnej jadłodajni, w najskromniejszej mleczarni, lub najmniejszym sklepiku, nie wisiały na poczesnem miejscu sczerniałe już często i wyblakłe wizerunki tych, którzy krew swą oddawali ochotnie dla sprawy narodowej, tych... prawie świętych.

I niema chyba dziecka, któreby nie znało tej, mocą tętniącej, pieśni macedońskich powstańców.

Izgrej zora na swobodata
Zora na wecznata borba...

— — —— — — — — — — — — — —

Hej, wejdź swobody jutrznio... hej!
Jutrzenko walk, co wieki trwa.
Niewolnych budź i serca grzej,
I w żar niech spłynie łuna twa!...

Sztandary w krwi skąpane już
Junaków liczny rozwiał huf...
Po Macedonji wszerz i wzdłuż,
Zastępy zbrojnych brodzą znów!...

Tyrani hej... my wskrzesim cud!
Nie dla nas oków zimna stal...
My z wolnych ludów, wolny lud,
A was wśród krwi zadławim fal!...

Zagrzmiały góry, śpiewa las
Tę pieśń ze krwi zrodzoną: „w bój"!
Do walk gotowych w każdy czas,
Olbrzymich wojów krąży rój.

Daleki strach nam, obce łzy,
My żyjem dziś, zaś jutro skon,
W tych świętych borach wolni my,
Jak ptaków wolnych tu nasz schron.

Tyrani hej... my wskrzesim cud!
Nie dla nas oków zimna stal...
My z wolnych ludów, wolny lud,
A was wśród krwi zadławim fal.

Stara to pieśń, bo tureckie jeszcze pamięta panowanie, weszła już dziś w czcigodne grono bułgarskich dum narodowych. Zrodziła ją nie rozpacz gnębionego narodu, nie żal bezsilny za minioną wielkością, lecz poczucie tej siły, która czerpie swą moc z nieszczęść i klęsk, stając się tem bardziej niezmożoną, im są one większe i cięższe.

Wykołysały ją bory Pirynu i wichry dmące po jego halach, i szum dwóch wiernych rzek, Strumy i Mesty.

W te to strony zdążało nasze auto.

Południe było już blisko, słońce prażyło niemiłosiernie, rozgrzane powietrze drgało w miejscu, a wszelki podmuch przystanął, rozleniwiały i niemocny już żarem. Kupowane po drodze kawony już nie gasiły pragnienia, owszem potęgowały je jeszcze bardziej, iż zdawało się, że już i w żyłach krew chyba stężała, albo ją wypiły docna ogniste pociski bezchmurnego nieba.

Mijamy właśnie most długi, drewniany, dziwny most. Czyżby go dla wprawy tylko postawił tutaj budowniczy, ponad smugą bezładnie rozrzuconych otoczaków, kamiennych brył, kęp trawy zeschłej na słomę i zbutwiałych pni, wzniósłszy wprzód poziom gościńca o jakie dwa metry?!... Nie!... To Iskier, który niedaleka już Ryła stujeziorna i śniegiem uwieńczony Musała hojnie obdarzyły zimną wodą o przejrzystości kryształu, gdy rozbawiony i rozhukany nad miarę, wydzierał się z mrocznych borów, które sam Bóg zasiał, i jarów przepastnych, w świat... daleko w świat! Sama Ryła pięć strug dała mu w drogę, a jedne były bogatsze od drugich, i bardziej życia pewne, i bardziej swawolne, i w żywsze ubrane blaski. Pięć strug z własnej wytoczyła mu piersi, w miłości wielkiej i ukochaniu, aby był bogatszy nad inne i nad inne jaśniejszy tam... w życiu.

A gdy już miał rzucać dom, i z hałasem wielkim i śpiewaniem ostatnich skalnych progów dobiegał, nie wypuścił go rodzic dostojny, sędziwy gór patrjarcha, Musała, bez daru od siebie. Więc posłał mu potok, jeszcze większy niż tamte, i bardziej nad nie bogatszy, i bardziej krzepki, „Biały“ potok, a ten

runął olbrzymią masą spienionej wody z rozgłośnym rykiem i wśród górskich pohuków, aż oddał dar, gdzie go posłano.

Tak Iskier wypadł w doły z lipowych wonnych lasów, i płynął już przez pola uprawne, winnice i sady, a wciąż w śpiewie.

Ale gdy nadeszły dni letniego żaru, a słońce poczęło mu rabować jego dar, jaki niósł z domu, skrył się przed niem gdzieś w głąb, by czujność jego zmyliwszy, znów się wychylić niebawem, i dążyć do swego kresu, silniejszy już i w powadze.

I tak stał most ten nad suchem zupełnie korytem, aż do czasu jesiennych zlew lub wiosennych roztopów.

Tuż za nim skręcał gościniec wprost na południe, a przed nami zajaśniała wnet w blaskach południowego słońca grupa domów miasta Samokow. Tam mieliśmy stanąć na popas, aby przeczekać czas największego żaru i na noc dobić do bram rylskiego klasztoru.

Miasto było czyste i jasne, a domy ubrane w biel. Ulice szerokie, a przy nich sady i ogrody kwietne. Zajechaliśmy na rynek. Tak, jak wszędzie tutaj, orgja owoców i jarzyn, dziwnych jakichś i nieznanych dla człowieka z północy. Piętrzyły się one po straganach, w misterne ułożone stosy, zwisały na rozciągniętych sznurach i wabiły w wystawowych oknach handlarzy.

Widać stąd, że ta część kraju produkuje wiele i to przedniego towaru, a zbyt posiada duży wewnętrzny, wobec licznych tutaj letnisk i miejsc

kąpielowych, kuchnia zaś bułgarska zużywa wiele jarzyn i owoców.

W najbliższem zaraz sąsiedztwie miasta, o kilka zaledwo kilometrów ku wschodowi, znajduje się jedno z najbardziej wykwintnych i silnie odwiedzanych letnisk, Czam-Koryja, co się tłumaczy „las sosnowy", a miasto zaopatruje je w żywność, jarzyny i owoce. Tu ściągają ze stolicy najbogatsi na letnie wywczasy, aby zażyć miłego chłodu w powiewie z gór, gdy czterdziestostopniowy upał uczyni pobyt w większem mieście trudnym nawet dla południowca. A Samokow usiadło obok, jest zadowolone z losu i szczęśliwe i uśmiechnięte, wiecznie uśmiechnięte.

Niedługo trwał nasz popas, bo droga przed nami była jeszcze niemała, a zwłaszcza końcowy jej odcinek, trudny i niebezpieczny do przebycia w nocy, przy wspinaniu się silnie obciążonem autem do wysokości zgórą tysiąca metrów, gdzie leżał klasztor.

Posilano się więc w pośpiechu, po jakiem takiem obmyciu się z kurzu, a przedewszystkiem starano się ugasić nieznośne pragnienie całem morzem lekkiego bułgarskiego wina. Niewiele też zelżał upał, gdyśmy się znów znaleźli w drodze, dążąc już teraz wprost na zachód, w dolinę rzeki Strumy.

Humory poprawiły się w mig; może była to zasługa bułgarskiego wina na popasie, a może nadzieja wieczornego chłodu zwiększyła naszą odporność na żar, dosyć że chociaż nie zmniejszyły się wcale konwulsyjne wstrząsy ciężarowego auta, nic

nie hamowało zachwytów na widok tego zakątka, który spłoniony w swej krasie usunął się w bok od dróg uczęszczanych. Teren był już podgórski i silnie sfalowany, a gościniec wił się w ostrych skrętach, odsłaniając co chwila nowe obrazy. Więc pola uprawne, rozrzutne swym plonem, więc niekończące się sady, a na zboczach płowy krzew winny, ciężkie dźwigając grona, wygrzewał się leniwo w rozgorzałem powietrzu, aby spłacić człowiekowi dług, jaki zaciągnął. Tu i ówdzie śmiały się swą bielą schludne domki mijanych wsi, które ukryte w owocowych gajach, zdały się bawić w chowanego.

Oto na południe, w niewielkiem oddaleniu od gościńca, błyszczy z pomiędzy gęstwy zieleni jakaś grupa białych domków o dachach z czerwonej dachówki. To Saparewo, słynne z gorących źródeł mineralnych, których temperatura dochodzi do 86° C. „Słynne"... Niemal nieznane poza granicami Bułgarji, jak nieznane są też i inne stanowiska termów, a jest ich tu około 80, wszystkie niemal na południe od pasma Bałkanu. Ogółem źródeł termomineralnych posiada Bułgarja przeszło 200. Jest to bogactwo, jakiem nie może wykazać się żadne państwo Europy. Dość powiedzieć, że jeden ośrodek termów przypada w Bułgarji na 1300 km², podczas gdy w najbogatszej pod tym względem po Bułgarji Francji, zaledwie na 4500 km².

I myślałby kto, że dlatego, iż są to stanowiska naturalne, dzikie, bez urządzeń i wygód, o które przedewszystkiem pyta człowiek Zachodu. Nie..., nic podobnego. Prawda, że wiele jest jeszcze źródeł nie opanowanych zupełnie, ale jest ich tutaj takie

mnóstwo, że chyba nigdy nie zajdzie potrzeba opanowania wszystkich. I tak n. p. w odległem od Saparewa kilkanaście zaledwo kilometrów na zachód mieście Kjustendil, słynnem z eksportu przedniego gatunku śliwek, stoi sobie na placyku zwykła, niepokaźna, żelazna studzienka z dźwignią. Obok zwykły, otoczakami wyłożony rów przydrożny.

Jesteś spragniony, więc podchodzisz, ciesząc się już naprzód, że woda będzie smaczna i jak lód zimna w tej podgórskiej stronie. Naciskasz więc dźwignię. Lecz cóż to...?! Wali ukrop, a kłęby pary, unoszącej się nad rowem, którym spływa woda, świadczą, że temperatura niewiele odbiegła od wrzenia. Ot wiercono za wodą do picia, a dowiercono się termu. Wogóle w wielu tutaj okolicach jest łatwiej o mineralny term, aniżeli o zimną wodę źródlaną.

Ale jest w tem mieście jeszcze i inna specjalność.

Oto na jednym z bocznych placów stoi drewniany barak, przy nim budka z pomostową wagą, a od czasu do czasu podchodzą do okienka kobiety, dźwigając większe lub mniejsze toboły, ważą je, coś płacą, a potem z otrzymaną karteczką znikają w baraku. Jest to publiczna pralnia miejska. Wyzyskano mianowicie ogromną obfitość gorących źródeł, doprowadzono ich wodę rurami do zbudowanego specjalnie na ten cel baraku, i za skromną opłatą od wagi przyniesionej bielizny, tu ją piorą, zamiast odbywać to misterjum w domu.

Jest też w Kjustendil i wzorowo urządzony zakład kąpielowy, w pięknym, dobrze utrzymanym

parku. Budynek, jak wszystkie tu zresztą tego rodzaju, utrzymany w łagodnym stylu wschodnim, posiada urządzenia, które śmiało mogą rywalizować z najbardziej luksusowemi pomysłami podobnych zakładów na Zachodzie. Kabiny oddzielne, urządzone wprost wytwornie, wspólne baseny z wodą o temperaturze ciała, do trudnej wprost do zniesienia, natryski z zimną wodą, parnie, oddziały do masażu i t. d., i t. d.

Wszędzie polerowany kamień, marmur, mozaika i słońce, południowe słońce. I nie jest Kjustendil jedyny. Takich, w ten sposób urządzonych zakładów, ma Bułgarja mnóstwo, a przecie są one prawie nieznane, a owczy pęd gna ludzi do słabszych, prymitywniej urządzonych i dziesięćkroć droższych term Zachodu.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Słońce zniżyło się już silnie ku zachodowi, gościniec był niezły, więc szofer wziął największą prędkość auta, aby jeszcze za dnia zajechać jak najdalej. Ale inaczej nam pisano. Właśnie minęliśmy most na rzece Dżermeń, lewobrzeżnym dopływie Strumy, a gościniec skręcił silnie ku południowi, trzymając się biegu rzeki, gdy przy wielotygodniowej posusze, która wypiła wodę nawet większych rzek, ugrzęźliśmy z autem w błocie, w tem właśnie błocie, które powstaje tu, gdy woda, pędzona żarem letniego słońca, ucieka w głąb, tworząc podziemne zalewy, a natrafiwszy na nieprzepuszczalne dolne warstwy, podmywa sklepienie podziemnej strugi i wydobywa się na powierzchnię niewysychającem bagnem.

Motor pracował jak mógł, szofer robił nadludzkie wysiłki, ale wynik był ten, żeśmy siedzieli w błocie beznadziejnie. Podkładano więc pod koła kamienie, belki, wszystko naprożno; koła obracały się w miejscu, żłobiąc coraz głębsze doły. Nie było innej rady: trzeba było wysiąść, i przy pomocy miejscowej ludności odkopać wehikuł. Wreszcie po godzinnej ciężkiej pracy ruszyliśmy dalej, ale już zbliżał się wieczór.

Minął nas jakiś dziwny oddział, schodzący z pracy, niby to wojsko, a niby cywilni. To... „trudowacy".

Bułgarja, w następstwie przegranej wojny, ma ściśle układem pokojowym określony kontyngent siły zbrojnej, którego jej przekroczyć nie wolno. Nie przekracza go zatem pod żadnym pozorem. Ale młodzież bułgarska chce i musi spłacić państwu swój dług młodości, zwłaszcza że tyle jest przecież do zrobienia po wojnie. Gdy więc przyjdzie normalny czas służby wojskowej, tworzy oddziały robotnicze, a państwo przy ich pomocy naprawia gościńce, buduje mosty, rozszerza sieć kolejową i t. p. W ten sposób, nie naruszając traktatów, należny rok oddaje młodzież publicznemu dobru. Lecz i starsi nie pozostają w tyle, pracując w ten sam sposób dla państwa przez dwa tygodnie w roku, do pięćdziesiątego roku życia, a więc do czasu trwania powinności wojskowej.

Taki to właśnie oddział minął nas przed chwilą, wesoły i rozśpiewany.

Wieczór zapadał już na dobre. Ku wschodowi i południowemu wschodowi ciągnęły się hen, da-

leko, pola ryżowe i plantacje najprzedniejszych gatunków tytoniu, a zamykał je zwał gór, które już czarne od spodu, przechodziły ku górze przez wszystkie odcienie fioletu, aby zajaśnieć u szczytu purpurą zachodzącego już słońca. Ta podchodziła coraz wyżej i wyżej, a w ślad za nią pełzały języki cieni. Usiadła wreszcie u najwyższego zrębu i długo lśniła jeszcze żarem żywego ognia, a potem poczęła przygasać zwolna i nie świeciła już, lecz żarzyła się długo, ciemniejąc, aż wreszcie już rąbek tylko najwyższego szczytu znaczył się jasną linją na tle zimnego błękitu. Wreszcie i ta zniknęła, a cały potężny łańcuch gór, jakby się podniósł wyżej, i rozparł wygodnie na równinie przed nocą.

A wtedy stało się coś, w czem się zorjentować nie mogłem odrazu.

Jeden z uczestników wycieczki, Macedończyk, przerwał nagle prowadzoną rozmowę, zerwał się z miejsca i stanął wyprostowany i zesztywniały, z oczyma utkwionemi w zsiniałe już pasmo gór.

Bo oto w wieczornym mroku dźwignęło się w całym swym majestacie pasmo Pirynu, to schronisko macedońskich powstańców, od dawnych, bardzo dawnych czasów. Spostrzegła go wierna góra, a on jej patrzał w twarz, jak żołnierz patrzy karny, który już nie potrzebuje rozkazów dowódcy, ujętych w słowa, lecz umie je czytać i bez nich, bo wspólna myśl stopiła ich obu w jedno.

Tak i on patrzał w tę świętą górę, powierniczkę trosk i źródło siły, a piękna jego młoda twarz ściągnęła się w jakieś ostre, zastygłe rysy ascety. Stał

i patrzał, i rozumieli się ci oboje, a może powierzali sobie jakieś wielkie tajemnice odwiecznych walk o swobodę, a może krzepili się wzajemnie i ślubowali... wytrwanie.

A potem począł opowiadać w bezładzie o tej, o której wolność walczyli ojce od wieków, o tych beznadziejnych bojach i rzeziach bezbronnych, i o pognębieniu starego narodu, który nie chce umrzeć. A z tego wszystkiego szedł żal bezbrzeżny na obojętność świata wobec mąk, i za bezlitosne rozdarcie tego co żywe, dla dogodzenia drugim.

A myśmy słuchali i słuchali, porwani jego ekstazą i czuli, że wstępuje i w nas jakaś moc, która biła od niego, i że narówni z nim poczynamy miłować ten kraj, który wciąż żyje nadzieją szczęścia i zjednoczenia.

Hej... Boże mój... Jak wy go kochacie, jak wy go kochacie! A gdy przyjdzie wreszcie ten dzień, w którym rozdarte ciało Macedonji zrośnie się znowu, jak wy ją wtedy kochać będziecie!... Na to nie znajdzie się chyba określenia, w żadnym języku świata.....

A Piryn czeka w powadze i spokoju, i hołubi swoich u siebie, a czar ludowych legend i pieśni owiewa go siecią coraz bardziej i bardziej, i czyni go miejscem świętem...

O nim to śpiewa stara ludowa pieśń bułgarska:

Planino Pirin planino
Mnogo si Pirin hubawa.
He-ej he-ej.....
Mnogo si Pirin hubawa.

Pirynie, góro Pirynie!...
Nigdy już czar twój nie zginie!
He-ej he-ej.....
Nigdy już czar twój nie zginie!

Hale twe wonne, soczyste,
Żywią owieczki srebrzyste...
He-ej he-ej.....
Żywią owieczki srebrzyste.

Po turniach twych, szczytów macierzy,
Chronisz junaków... rycerzy...
He-ej he-ej.....
Chronisz junaków... rycerzy.

Pięknyś nad inne, ty, góry,
Lecz groźny w śnieżne wichury.
He-ej he-ej.....
Lecz groźny w śnieżne wichury....

Dojeżdżaliśmy właśnie do pierwszych domów wsi Ryły. Rozłożyła się ona długim łańcuchem nad wartkim, bogatym w wodę potokiem tej samej nazwy, i już się cała pogrążyła w nocy, która szybko zapadła po zachodzie. Zabudowana gęsto i solidnie murowanemi domkami, robi wrażenie sporego miasteczka, tem bardziej, że korzystając z taniego prądu, pędzonego wodną turbiną, posiada doskonałe oświetlenie ulic. W lecie chętnie zjeżdżają tutaj ci, którzy chcą odpocząć w ciszy, zdala od rozgwaru modnych i gwarnych letnisk. Zresztą jest wieś ostatnim etapem dla tych, którzy wędrują po pocie-

szenie do rylskiego monasteru, jak i dla licznych turystów, pociąganych pierwotną pięknością tego górskiego zakątka.

Mieliśmy przed sobą najcięższy odcinek drogi do przebycia, a noc już była zupełna, więc należało się wprzód zastanowić, czy ważyć się na dalszą jazdę w ciemnościach górską drozyną ponad urwiska, czy też lepiej i bezpieczniej będzie rozbić biwak gdzieś za wsią i dopiero rano puścić się dalej. Wszystko zależało od decyzji szofera, która przechylała się za dalszą podróżą, jakkolwiek odradzano ją nam we wsi.

Po niedługim więc postoju, ruszyliśmy znów naprzód.

Rychło światła wsi pozostały za nami i otoczyła nas ciemność, nieznacznie tylko i na niewielkiej przestrzeni rozświetlana reflektorem auta. Długie były chwile, gdy nikt nie wiedział, gdzie jest, i tylko wstrząsy świadczyły, że przecie posuwamy się naprzód. Jak i czem kierował się szofer, to pozostanie już jego tajemnicą. Raz skręcał w prawo, potem znów pod ostrym kątem w przeciwną stronę, raz posuwał się w tempie, jakby po wygodnym gościńcu, to znowu zwalniał, że ledwo odczuwać się dawał ruch jakiś, to stawał, nie zatrzymując motoru, jakby dla wytchnienia napiętych nerwów, a może... w cichej modlitwie oddawał nas wszystkich w opiekę świętego Iwana rylskiego,. do którego przecie zmierzaliśmy domostwa. Czasem podrywało się auto nagle na dwa, trzy kroki wprzód, przechylało się ze zgrzytem w bok, znowu stawało, znowu ostrożnie i delikatnie prostowało się, potem stawało

znowu, jak ktoś, kto uniknął złego, a teraz zbiera się w sobie i ślubuje jeszcze większą ostrożność, niż dotąd.

A wokół nic, tylko noc czarna, niczem nie przebita i cisza, mącona jedynie miarowym warkotem motoru.

Od czasu do czasu wyrastał ni stąd ni zowąd, gdzieś z boku, jakiś blok skalny, po którym prześliznęło się światło reflektora od dołu, a góra, zdawało się, pnie się gdzieś w nieskończoność, zwisa nad nami złowrogo i zgniecie swym ciężarem lada moment. Czułem, że mimo woli kurczę się, jakbym się gotował na to, co nastąpi za chwilę. Ale wnet znikało to wszystko, jak duch, i znów nastawała ciemność i cisza, i znów nic słychać nie było, krom zgrzytu auta i ciężkiego dyszenia motoru.

I tak minęła jedna godzina i druga...

Pytamy się, czy jeszcze daleko do celu, ale i ci z nas, którzy tę drogę odbywali już nieraz, nie mogą dać odpowiedzi, bo nie wiedzą, gdzie są, a szofer milczy jak grób, tylko skupiony w sobie wyczuwa, czy auto jeszcze wszystkiemi kołami trzyma się gruntu, a jego pochylenie się, czy to tylko nierówność terenu, czy może już zapowiedź stoczenia się w dół, skąd dochodzi nas gniewny szum potoku.

Wtem raz wraz zaczynają smagać nas gałęzie drzew; snać wjechaliśmy już w las przed monasterem. Auto poczyna się piąć coraz ostrzej ku górze, chwilami tak ostro, iż zdaje się, że nie udźwignie wielkiego ciężaru, więc przystawa, potem poczyna szarpać nierówno, cofać się, nagle podrywa się kilka metrów ku przodowi, i wreszcie staje bezradne.

Chcemy wysiąść, aby ulżyć nieco, ale łatwiej powziąć zamiar, niż go wykonać. Nie widzimy nic zgoła, więc gdzie wysiąść i dokąd iść, kiedy jeden drugiego dojrzeć nie jest w stanie. Szofer każe siedzieć i czekać. Jesteśmy zupełnie pod jego władzą, której poddajemy się bezwzględnie.

Wreszcie znów dalej. Teraz staczamy się gdzieś w dół, a hamulec pracuje ostatkiem sił. Jeżeli nie zdzierży, jesteśmy zgubieni bez ratunku. O tem wiemy, więc czekamy w zupełnem milczeniu, trzymając się tylko kurczowo, gdzie kto czego może, aby nie wypaść. Mijają nas jakieś olbrzymie kolumny, które wyskakują nagle z nocy i nikną. To pnie olbrzymich drzew Ryły. Potem wyrasta jakaś czarna ściana, ciemniejsza od nocy, napiera na nas brutalnie, i także znika, a z dołu słychać coraz wyraźniej i wyraźniej groźne pomruki górskiego potoku.

Wpadamy na jakiś lichy mostek, szofer skręca nagle, auto drgnęło jak w konwulsji i przechyliło się w bok. Słychać głęboki, urwany wpół oddech tu i tam, jaki wydaje człowiek w chwili, gdy nagle nadbiegnie już jego koniec, a na krzyk przerażenia już niema czasu.

Ale auto wyprostowało się, zwolniło tempa i przebyło trzeszczący mostek. Znowu poruszamy się wolno i znów pod górę.

A godzina tak mija za godziną.

Chyba już nigdy nie dobrniemy do celu. Zaczynamy żałować, żeśmy się wogóle puścili w tę drogę, ale już ją dokończyć musimy... Znowu mo-

stek, a szum potoku dochodzi nas już nie z takiej głębi. Zaczynamy stąd wnioskować, że już niedaleko, gdyż wiemy, że tuż obok monasteru przepływa potok, na równym z nim poziomie.

Ale gdzie tam!!!... Znów pniemy się w górę, w jeszcze większym trudzie niż dotąd, znów motor pracuje ostatkiem sił, szofer, czujemy to bardzo dobrze, bada wprzód każdy cal drogi, zanim odważy się pozwolić na obrót kół, a mimo to jesteśmy już pewni, że auto niezawsze wszystkiemi kołami toczy się po ziemi. Więc już bez komendy i nawoływań przechylamy się wszyscy to w tę stronę, to w ową aby nie runąć, a czas poczyna się wlec coraz bardziej powoli i coraz bardziej męcząco.

Trafia się czasem jakichś kilka metrów lepszej drogi, że auto idzie równiej, a ten czas wydaje nam się rajem, lecz za chwilę znowu to samo. Już nikt nie wie, jak długo jeszcze trwać będzie taka jazda, ale każdy dałby wiele, aby się już skończyła nareszcie. Ale końca nie widać wcale, bo wciąż las, wciąż skręty marnej drożyny, wciąż trzeszczące mostki, groźne pomruki potoku, i noc, czarna noc...

Wtem światło reflektora musnęło po czemś. Nie pojedziemy już dalej!...

Jakaś surowa, niekończąca się nigdzie ściana skalna stanęła nam wpoprzek. Auto staje a szofer zatrzymuje motor. Więc przecie nie dobijemy dziś do celu.

Lecz nie... nie...! To nie ściana skalna, to mury rylskiego monasteru. Była godzina druga po północy.

Było nam wszystkim tak, jak chyba może być tylko nagle ułaskawionym skazańcom, a szofer niby udawał powagę i spokój, że to wszystko to nic nie było, ale w nerwowo rzucanych słowach i w tonie czuć było, ile wysiłku i panowania nad sobą kosztowała go ta droga.

Oglądaliśmy ją następnego dnia przy świetle słońca, i wierzyć się nie chciało, że tędy ciemną nocą zdołało przemknąć silnie obciążone auto bez wypadku. Ale nikt nigdy nie słyszał, aby na tych górskich bezdrożach, i w czas najgorszy, zdarzyło się co złego tym, którzy tutaj wędrują. O to już troskę ma święty Iwan rylski, i o tem wiedział nasz szofer, więc się ważył.

Ale w drodze powrotnej, już za dnia odbytej, nie wsiadaliśmy do auta, lecz odbyli drogę wdół pieszo. Nie stało już nam odwagi na powtórzenie próby.

Zadzwoniliśmy do bramy klasztornej. Otworzono nam zaraz, monaster bowiem jest przyzwyczajony, zwłaszcza letnią porą, do przyjmowania podróżnych każdej chwili. Przyjął nas starszy, poważny mnich, i nie pytając wcale, kto zacz i skąd, prowadził przez szerokie korytarze, potem jakieś krużganki, skrzypiące schody, na trzecie piętro olbrzymiego gmachu, do obszernej izby, zastawionej szeregiem drewnianych tapczanów, przykrytych grubym kocem. Drugi taki sam koc leżał zwinięty do przykrycia, a obok wałek pod głowę.

Postawił świecę na stole, życzył dobrej nocy, i poszedł znów do bramy, oczekiwać przybywających.

Klasztor przyjmuje w ten sposób każdego, kto przyjdzie, i każdy ma prawo przez trzy dni korzystać bezpłatnie z gościnności mnichów. Później składa nieznaczną opłatę na cele monasteru, i może siedzieć tutaj, jak długo tylko zechce.

To też zawsze wszystkie cele i pokoje gościnne w liczbie 300 są pełne, zwłaszcza letnia porą. Ale i przez rok cały jest tutaj rojno od stałych mieszkańców monasteru, mnichów i służby.

Dość zaznaczyć, że dla samego personelu klasztornego piekarnia monasteru wypieka dziennie 700 do 800 bochenków chleba, po jednym kilogramie wagi, a w lecie, kiedy to zaroi się od pątników i turystów, po 10.000 do 15.000, tej samej wagi.

Położony na wysokości 1100 m n. p. m., zdala od gwaru świata, głęboko w lasach, był niejednokrotnie miejscem, gdzie w najcięższych chwilach zapadały postanowienia, decydujące o losach bułgarskiego narodu. To też klasztor był zawsze i jest narodową świętością, a jego czcigodne mury koiły zawsze i bóle jednostek, a przewodnikom narodu pozwalały znachodzić wyjście w chwilach, które wydały się już beznadziejne, iż zdawało się, że już wszystko przepadło, a naród czeka noc bez świtu. Tutaj to budowano wolność Bułgarji, tutaj wykuwano państwo.

Monaster sam, wraz z gospodarskiemi budynkami, młynami, oborą, składami, olbrzymią kuchnią, zaopatrzoną w kocioł, w którym można ugotować odrazu cztery woły, wygląda jak miasteczko, i to dosyć spore, które uciekło w góry. Jeśli się doda jeszcze do tego zabudowania prywatne poza

monasterem, mieszczące handle dewocjonaljami, gospody i t. p., to będziemy mieli dopiero obraz ogromu całości.

Przełożonym klasztoru jest biskup, który tu stale mieszka, opiekę zaś nad tem miejscem sprawuje Naród. Zgromadzenie Narodowe w r. 1883 uwolniło klasztor od wszelkich podatków i danin.

Z nocy już było niewiele, gdyśmy zostali sami w obszernej klasztornej celi, ale mimo trudów przebytej drogi jakoś nikt się do snu nie kwapił, bo powaga tego miejsca udzieliła się każdemu. A gdy wreszcie wzięło już górę zmęczenie, sen był przerywany i niespokojny, i każdy z nas oczekiwał dnia, aby ujrzeć własnemi oczyma to, o czem nasłuchał się tyle.

Ranek wstał, jak każdy inny, pogodny, ale upał nie zapowiadał się wcale. Szedł od gór miły powiew, a kłęby chmur tu i tam wałęsały się po szczytach.

Wyszedłem z celi.

Wiedziałem, że zabudowania klasztorne są obszerne, zresztą coś niecoś mogłem zaobserwować i wczoraj, po dobiciu nocą do celu. Ale to, co ujrzałem, przeszło wszelkie oczekiwania.

W ramiona wysoko strzelających szczytów wtuliło się coś, co im dorównać chciało ogromem i powagą, coś, co nie wydawało się dziełem rąk ludzkich, coś, co przygniatało śmiałością pomysłu, ale też i coś, co dziwnie nastrajało przecudną harmonją kształtów i barw.

Trzypiątrowy olbrzym obiegał w śmiałych linjach trzema kondygnacjami krużganków, o pięk-

nych łagodnych arkadach, obszerne podwórze, na którego środku stała mała cerkiewka, cała w rzeźbach, strojna polichromją, też z arkadami dookoła. Ta, wobec ogromu całości, wyglądała jak plamka jaskrawa, rzucona słońcu na zabawkę.

Było jeszcze wcześnie i cisza panowała wszędzie. Pątnicy i turyści spoczywali jeszcze utrudzeni, a spora ich liczba, nie mogąc znaleźć już miejsca w celach, ułożyła się po ławach na krużgankach, korzystając z ciepłej nocy. Od dołu tylko, z boku podwórza dochodził cichy szmer źródła, które, ujęte w kamienne ramy, kłębiło się przeczystą wodą gór. A gdzieś z większej dali, gdzieś z poza tego kamiennego czworoboku, dochodził jakiś szum, raz groźny i gniewny, to znów łagodny i pełen pokory, jak modlitwa pątnika. To potok Druszlawica, który w wiecznych śniegach poczęty, oblewa od zewnątrz mury klasztoru, dążąc w doły.

Zresztą tak nic nie przerywało ciszy, że i nieliczni turyści, którzy się wcześnie zerwali i wyszli z cel, rozmawiali szeptem, by jej nie spłoszyć. Czasem tylko niosło echo odgłosy miarowych uderzeń drewnianych sandałów o kamienne płyty. To mnich jakiś przesunął się jak duch, szepcąc ranne pacierze.

Nagle... uciekła gdzieś cisza w siwe bory i zielenią soczyste szczyty, na które właśnie wstąpiło słońce, a cały obszar klasztoru wypełnił po brzegi odgłos drewnianych kołatek, zwołujących mnichów na modły.

Wnet długie ich sznury przeciągały wolno i z powagą przez podwórze i znikały w drzwiach cerkwi. Wszędzie wszczął się ruch.

Wyszedłem poza obręb klasztoru. Z zewnątrz przedstawiał się jeszcze bardziej ogromny. Potężne jego ściany wyrastały ze skały, jakby z nią całość tworzyły i pięły się wgórę, zda się, bez końca, a małe, drobne okienka patrzyły przed siebie na czupryny borów, po których się wiatr wałęsał i ranne szeptał pacierze. Gniewna Druszlawica obryzgiwała pianą wszystko wokół, jak tylko mogła sięgnąć najwyżej, i łukiem obiegała występ gmachu, gdzie, hen, wysoko patrzą w świat okna celi carów Bułgarji, którzy tu właśnie idą po spoczynek i tu sił nowych szukają i mądrości.

Poszedłem wgórę potoku. Na obłym garbie, zanim rozpocznie się labirynt turni i szczytów, stoi skała samotna na trawiastej hali, a obok niewielkie źródełko przy górskiej szczelinie. To domostwo św. Iwana rylskiego; tu spoczywają jego szczątki, tu była jego pustelnia, w tem źródle gasił pragnienie, i tu rozmawiał z Panem.

Miejsce to jest więc celem pątników, a przez skalną szczelinę ten tylko przejść potrafi, kto jest bez winy. Inaczej nie puści ona, albo i wdół strąci.

A ponad pustelnią świętego już się zaczynają turnie: w ich wnękach drzemią senne jeziora, bory coś sobie prawią odwieczne, mgły się włóczą bezpańskie, a jeszcze wyżej w niebo sięgające szczyty, koroną wiecznych śniegów strojne.

Najwyższy z nich, granitowy Musała, wznosi się na wysokość 2923 m n. p. m., przewyższa więc o 5 metrów Olimp, bogów Grecji gazdostwo.

Lecz trzeba było już wracać do klasztoru, tem bardziej że, jako uczestnicy wycieczki z Polski, by-

liśmy zaproszeni na posłuchanie do biskupa, przełożonego klasztoru.

Ponieważ jednak było jeszcze nieco czasu do oznaczonej godziny, należało zwiedzić bibljotekę klasztorną i skarbiec, a raczej muzeum, w którem przetrwały czasy najcięższe największe świętości narodu.

Czego bo też tam niema!... W ciężkich, oszklonych szafach stare foljały ksiąg cerkiewnych, imponujące często przebogatą oprawą. Mnóstwo prastarych zabytków piśmiennictwa, jedynych w Europie, w języku greckim, bułgarskim i dialekcie słowiańsko-bułgarskim, jeszcze z czasow złotego wieku literatury starobułgarskiej i bułgarskiej potęgi państwowej, wielkiego cara Symeona (ok. r. 900 p. Ch.).

Stąd przecie, z macedońskich Salonik, pochodzili apostołowie Słowian, bracia ,Cyryl i Metody, twórcy słowiańskiej cyrylicy. Tego to pisma używano przy tłumaczeniu pierwszych ksiąg świętych na język bułgarski z języka greckiego. Stąd poszły one potem do Serbji, Rumunji i Rosji. Poważne te wiekiem zabytki drzemią w oszklonych szafach. A prócz tego, mnóstwo tu starych obrazów, pamiątek z czasów bizantyńskiej i tureckiej niewoli, narodowych relikwij z okresu dawnej potęgi państwa, okazów sztuki ludowej.

A nad te wszystkie zabytki jest jeden bezcenny dla każdego Bułgara. Jest to t. zw. „chryzowuł", t. j. własnoręczne pismo cara Szyszmana z XIV w., spisane na skórze półtora metra długiej, oprawne w bogate ramy i zawieszone na widocznem miejscu. W piśmie tem zatwierdza car wszystkie dawne

przywileje i prawa nadane klasztorowi, co stwierdza własnym podpisem i pieczęcią, wyszytą misternie złotą nicią, a noszącą z jednej strony wizerunek cara, a z drugiej św. Iwana rylskiego.

Ale już czas był na audjencję u biskupa.

Przyjął nas w drzwiach niewielkiej, skromnie urządzonej celi, poważny, średniego wzrostu starzec, o łagodnych, rozumnych oczach; potem usiadł za prostej roboty biurkiem, a myśmy usiedli przed nim w półkole.

Podano wschodnim zwyczajem słodycze i wodę, a biskup wypytywał o Polskę. Znał ją. Potem począł mówić o dziejach i znaczeniu klasztoru.

Więc o św. Janie rylskim, który urodzony w sąsiedniej wsi Skrypno w r. 876, więc za czasów wielkiego Symeona, tutaj w tych górach obrał sobie pustelnię, gdzie i umarł w r. 946. Pochowany zrazu obok groty, w której mieszkał, niedługo zaznawał spokoju, gdyż wnet zwłoki jego przeniesiono do Sofji, potem do Węgier, potem do Tyrnowy, za drugiego carstwa, w w. XII, gdy bracia Asenowcowie wyswobodzili Bułgarję z bizantyńskiej niewoli, zjednoczyli południowych Słowian i to miasto obrali za stolicę państwa. Wreszcie szczątki świętego wróciły tam, gdzie były pochowane pierwotnie, obok pustelni, gdy po raz drugi Bułgarja popadła w niewolę, tym razem turecką, po klęsce Iwana i Straszymira Szyszmanów, z końcem XIV w.

A potem, od czasów sułtana Bajazyda przez lat 500, aż do schyłku XIX w., było imię Bułgarji wykreślone z dziejów i dokumentów.

Przez cały ten czas klasztor, założony przez samego św. Iwana, w skromniejszych aniżeli dzisiaj rozmiarach, niósł ukojenie znękanym. Sława jego już wtedy była tak wielka, że nawet wolą sułtanów obszar jego został wyjęty z pod władzy paszów, i żaden z nich nie miał wstępu na teren klasztoru.

Trzykrotnie niszczył go pożar, i trzykrotnie bywał odnawiany, w coraz okazalszej formie, datkami całego narodu. Ostatni raz odbudowano go po pożarze w r. 1835 tak, jak dzisiaj wygląda.

I opowiadał nam czcigodny stróż świętego miejsca o tych nadludzkich wysiłkach nad zjednoczeniem, o tem morzu wylanej krwi, o ofiarach i o pocieszeniu, jakie zawsze niósł klasztor.

Słuchaliśmy tego wszystkiego, jako jakiejś dziwnej analogji naszych własnych dziejów porozbiorowych, a gdyśmy już pożegnali starca i w drogę powrotną udali się do Sofji, wciąż nam dźwięczał ów refren starej pieśni macedońskich powstańców:

Tyrani hej... my wskrzesim cud!
Nie dla nas oków zimna stal...
My z wolnych ludów wolny lud,
A was wśród krwi zadławim fal.

WSZERZ I WZDŁUŻ.

Dni pobytu w Sofji miały się już ku końcowi, a chociaż łatwiej było do niej dobić, aniżeli się z niej wydostać, gdyż przyjaciele nasi sofijscy ani słyszeć

nie chcieli o terminie naszego wyjazdu, który i tak był już kilkakrotnie odkładany, to jednak mimo wszystko nadejść musiała wreszcie chwila, w której należało pożegnać tych, z którymi związała nas już nie przygodna znajomość tylko przelotnych włóczęgów, ale przyjaźń prawdziwa i serdeczna, nie na krótki czas obliczona, ale już chyba na zawsze. Należało się już puścić w dalszą drogę, aby wszerz i wzdłuż przemierzyć kraj bratniego narodu, tak bliskiego nam już nie pochodzeniem tylko, ale dziejami i ukochaniem wolności, dla której odzyskania krwawiły się jak i u nas całe pokolenia.

Ostatni wieczór. Nie chciało się wierzyć, że to ostatni. Obszerna sala, jednej z pierwszorzędnych restauracyj sofijskich nie mogła pomieścić tych, którzy przybyli, aby widzieć nas po raz ostatni w swojem gronie i po raz ostatni dłoń uścisnąć. Nie było nic w tej wieczerzy z oficjalnych bankietów pożegnalnych, po których się wychodzi z pustką, a nawet czasem z ulgą, że się zadość uczyniło męczącym konwenansom. Posypało się dosyć mów i dosyć wzniesiono toastów, ale to wszystko było tylko formą, która była bogata w treść najcenniejszą, na jaką zdobyć się może człowiek, bo otwarło się w niej serce naszych przyjaciół tak ogromnie drogie i tak zupełnie bez osłonek, że czuło się tę wielką krzywdę, jaką myśmy wyrządzali im mimowoli, puszczając się w dalszą drogę. Było w tem wszystkiem wiele i osobistych sympatyj, ale było też bodajże czy i nie więcej wdzięczności, za zbliżenie się do nich braci z północy, i za zrozumienie, że tylko dziwna igraszka losu i niezbadane drogi

dziejów kazały tak niedawno jeszcze stanąć im wpoprzek usiłowaniom tych, których teraz żegnali. Ale było w tej nucie wdzięczności poczucie narodowej dumy, że mimo wszystko, mimo nieszczęść nie zginęli, lecz rośli w moc obłędną miłością ojczyzny, która tylko broni swego, ale po obce nie sięga, i że nią właśnie stopili się w jedno z narodem, który to samo prowadziło przez dzieje.

Pociąg odjeżdżał wczesnym rankiem, ale mimo to zaroił się sofijski dworzec kolejowy od tych, którzy nam chcieli powiedzieć „do widzenia", nie dopuszczając nawet do siebie myśli, aby nas mieli widzieć po raz już ostatni.

Droga nie leżała przed nami narazie zbyt długa, gdyż najbliższy postój miał wypaść w Płowdyw (Filipopol), odległym kilka zaledwie godzin pociągiem pośpiesznym od Sofji. Minąwszy płaskowyż, na którym leży stolica Bułgarji, rychło dosięgliśmy urodzajnej doliny Marycy, aby nie opuszczając już jej, dobić do celu. Zasłonięta od północy wysokiem pasmem Bałkanu, ma klimat znacznie cieplejszy, aniżeli reszta Bułgarji i gdyby nie kilkumiesięczna posucha latem i upały, dosięgające tutaj czterdziestu kilku stopni powyżej zera, dwukrotne zbiory roczne stałyby się normą. Mijaliśmy więc pola w tym czasie dawno już ogołocone ze zbóż, ale gęsta szczecina rżysk wskazywała, że zbiory były obfite i że trud człowieka zapłaciła ziemia rodzicielka z królewską hojnością. Teraz, spieczona żarem słońca i spękana, zażywała błogiego spoczynku, świadoma spełnionego obowiązku. Dziwnie ostro odrzynała się od żółtych ściernisk stalowa zieleń win-

nic, które rozłożyły się na południowych stokach pagórków, jakby im za mało było słońca i ciepła tu, gdzie wszystko inne mdlało z ich nadmiaru. Tam, gdzie pola były równe, pyszniły się znów ciemną zielenią pola ryżowe, lub chwiały w pełnej powadze wysokie badyle tytoniowych plantacyj. A nad tem wszystkiem wisiało gorące słońce na bezchmurnem niebie i w blaskach stały pola, i te żywe i te, które zapadły w sen odpocznienia. Zdala ku północy zamykała horyzont nieregularna linja fioletu, i ta gorzała też żywym ogniem.

Było właśnie południe, gdy pociąg stanął na stacji w Płowdyw.

Uf... Gorąco! Termometr wskazywał 42° C, i ani odrobina wiatru nie łagodziła skwaru, gdyśmy z dworca kolejowego wyszli na miasto.

Roztoczył się przed nami widok, którego nie zapomina się nigdy. Osiedle, drugie co do wielkości po Sofji, rozłożone na trzech wzgórzach nad Marycą, jeden z najważniejszych ośrodków handlowych kraju, węzeł dwóch linij kolejowych i szeregu gościńców, siedziba wielu fabryk, wszystko w gruzach! Przed kilku tygodniami nawiedziło miasto silne trzęsienie ziemi, jedno z największych, jakiego wogóle kiedykolwiek zaznała Bułgarja, w której wydarza się ono dość często, jednakowoż nigdy w rozmiarach tak katastrofalnych. Niemal co roku, szczególnie w południowej części kraju, wydarzają się wstrząsy, w niektórych nawet miejscach, jak w okolicy Płowdyw, kilkakrotne, tak iż miejscowa ludność jest już do nich przyzwyczajona, ale nigdy

nie przybierały one rozmiarów klęski To, które teraz nawiedziło Bułgarję, zmiotło poprostu wiele osiedli z powierzchni ziemi.

Tuż za dworcem obszerny ogród miejski o przepysznej roślinności zamieniono na tymczasowe koczowisko tych, którzy w katastrofie trzęsienia ziemi stracili dach nad głową. Dziwnie wyglądały kwietne gazony i grupy wypieszczonych drzew, obok których pozakładali swe koczowiska nieszczęśliwi, gromadząc tu resztki swego mienia, które unieść zdołali z pogromu. Tu stały luksusowe mebelki, świadczące o niedawnym dobrobycie ich właściciela, a nad solidnej roboty stołem zwisała, zawieszona na gałęzi obok stojącego drzewa, prosta, biedna latarnia, z wetkniętą wewnątrz świeczką. Tam znów, naodwrót, kulawy jakiś stół, który z pewnością już dawno był na zasłużonym spoczynku, został w tej ciężkiej chwili przywrócony do czci i dziwnie się nadymał w tej niesamowitej roli jedynego reprezentanta mieszczańskiego umeblowania. Czasem mały skrawek okupowanego terenu ogrodu był oddzielony żaglowem płótnem od reszty, rzadziej, napoły rozbitą szafą, lub przepierzeniem z desek, po największej części jednak podział odbywał się na mocy niemego porozumienia sąsiadów, którzy doprawdy nie mieli już ani czego pilnować, ani czem tak bardzo meblować kawałka trawnika. A nad głową miał ten koczujący naród wiecznie w tym czasie pogodne niebo, gwiazdami nabite nocą, a rozgorzałe za dnia i lśniące szafirem.

Niewiele jeszcze czasu ułynęło od dnia nieszczęścia, a ludzie, których ono dotknęło, bynajmniej nie

sprawiali wrażenia takich, którzy w ciągu kilku minut stracili wszystko, co posiadali, zdobyte w wysiłku wielu lat, a często i najbliższych w rodzinie. Krzątali się w tem nowem, dorywczo skleconem domowem ognisku, i jakby tu mieli pozostać już na zawsze, starali się ten nowy kąt swój uczynić nietylko wygodnym, ale nawet i pięknym.

Twardy naród!...

Ulice też wcale nie były puste, lecz zdawało się, że ruchliwe życie płynie dalej, i że każdy spełnia to, co robił i dawniej, jakgdyby nic nie zaszło. Domów, ocalałych zupełnie, prawie nie było. Często z piętrowego domu ostał się silnie uszkodzony parter, albo połówka zabudowania, jakby nożem odcięta od reszty legła w gruzach, albo runęła frontowa ściana jeno, odsłaniając urządzenia wnętrz, niby dekoracje jakieś potwornego teatru. We wszystkich zakamarkach wielkiego miasta, gdzie jeszcze coś zostało z dawnego, wrzało życie. Tu i ówdzie pootwierane były nawet handle, szczególnie spożywcze, a chociaż czasem wyłom w murze trzeba było załatać naprędce deskami, lub część lokalu dla bezpieczeństwa opróżnić, to mimo to starano się co prędzej nawiązać zerwaną nić codziennego życia i z pogodą spoglądać w jutro. Na straganach przy placach całe góry owoców. Wszędzie ruch, krzątanina i gwar.

Patrząc na to wszystko, chciałoby się mimowoli krzyczeć: „Ludzie, przecie dotknęło was wielkie nieszczęście, przecie potraciliście wszystko, a może i wszystkich, czyście poszaleli?“

Nie... To tylko twardy naród...

W ogrodzie miejskim biwakowały też zagraniczne kolumny sanitarne, które pośpieszyły z pomocą doraźną na pierwszą wiadomość o katastrofie; jest też tu i misja polska, której dwa wagony sanitarne stanęły na bocznym torze kolejowego dworca. Zniknęły polityczne przeciwieństwa, niewyrównane społeczne rachunki, osobiste zwady, wobec grozy tego, co się stało.

Od gruzów, już nieco uprzątniętych, przynajmniej na tyle, że można było przejść przez ulicę bez obawy zasypania przez jakąś walącą się ścianę spękanego domu, bił żar hutniczego pieca. Trudno było przyzwyczaić się do niego człowiekowi, przybyłemu z północy, chociażby już czas jakiś przebywał w tych stronach. Skóra na twarzy zdawała się napinać do tego stopnia, że miało się wrażenie, iż pęknie lada chwila i spłynie żywą krwią. Tętna biły w skroniach młotem, oczy piekły nieznośnie, drażnione leciuchnym pyłem, jaki wiatr, nie dający się wyczuć zupełnie, unosił w powietrzu. Dałoby się nie wiedzieć co za odrobinę cienia, którego nie było nigdzie, bo domy przestały istnieć, a dla promieni słońca nie było żadnej zapory. Rozpalony gruz oddawał co rychlej pobrane ciepło, wyciskając strugi potu, który zalewał oczy, spływał po twarzy tak obficie, że wytarta, za chwilę znów była mokra.

Czasem z pośród gruzów wyrastał dom, prawie nietknięty, dziwnym trafem zachowany z ogólnego zniszczenia. Widocznie ruch skorupy ziemskiej odbywał się pasami i gniazdami, bo te z budowli, które zostały, nie odznaczały się bynajmniej większą solidnością konstrukcji, owszem, często było

wręcz przeciwnie. I tak np. raziła swą samotnością olbrzymia fabryka tytoniu, gmach trzypiętrowy z żelaza i betonu, który wprawdzie zarysował się miejscami od dachu po fundamenty niemal, lecz stał nietknięty tak dalece, że zupełnie nie zastanowiono w nim pracy. Maszyny były w pełnym ruchu, setki robotników i robotnic spełniały przydzielone im czynności, magazyny pełne przygotowanego na eksport towaru. A był to towar pierwszorzędny i wysokiej wartości, gdyż właśnie dolina Marycy daje jego najprzedniejsze odmiany, charakteryzujące się drobnym liściem i bajecznym zapachem. Wszystko to jednak wywozi się zagranicę, w kraju natomiast pozostają tylko pośledniejsze gatunki do wyrobu miejscowych papierosów. Tytoniu samego, który jest objęty banderolą, wogóle nie sprzedaje się nigdzie, za wyjątkiem fajkowego, pośledniejszego gatunku. Banderolą objęte są także i zapałki, a używanie tak popularnych wszędzie benzynowych zapalniczek jest surowo karane.

Dobrym naprawdę bułgarskim tytoniem można się rozkoszować jedynie poza granicami Bułgarji. Lecz i nie inaczej rzecz się przedstawia w Turcji, której przemysł tytoniowy posiada starą i ustaloną sławę. Jako smakosz tytoniowy, próbowałem tam najrozmaitszych, często bardzo drogich sort tego narkotyku, i zawsze wzdychałem za... polskiemi wyrobami.

Fabryka tytoniu w Płowdyw zaopatruje w już przefermentowany surowiec wiele państw Europy, które ze względów klimatycznych są pozbawione przedniejszych jego odmian. Nie dziw więc, że w ob-

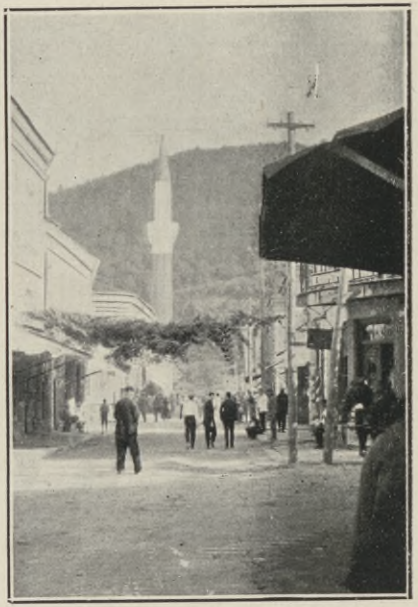

5. Główna ulica w Kjustendil.

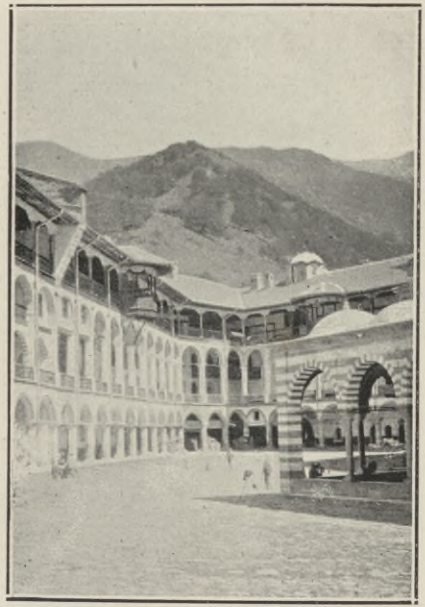

6. Arkadowy dziedziniec monasteru rylskiego.

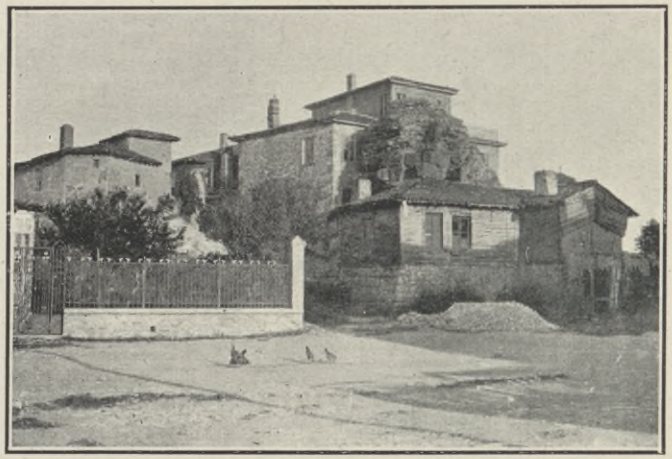

7. Na pograniczu starej i nowej Warny. Nowoczesna willa dobudowana do resztek rzymskiego muru.

8. Zaułek w Trnowie.

9. Chłopi bułgarscy.

szernych magazynach całe góry bali czekały swojej kolei. Trzęsienie ziemi nie tknęło niemal solidnej budowy fabryki, która też ani na chwilę nie zaprzestała pracy.

Ale na drugim końcu miasta ostały się też w całości zabudowania zakładu hodowli jedwabników. Stare budowle, zębem czasu silnie nadgryzione, nie nosiły najmniejszego nawet śladu katastrofy. Najwięcej stosunkowo ocalało domów, położonych na szczytach skalistych pagórków, między któremi rozłożyła się reszta miasta.

Niewątpliwie ten obraz, jaki zastaliśmy w kilka tygodni po trzęsieniu ziemi, zmieni się rychło i niebawem znowu potoczy się tutaj bujne życie, a miasto odrodzone ani na chwilę nie straci tego stanowiska, jakie dały mu i geograficzne położenie w środku państwa i pracowitość mieszkańców.

Stara to ludzka siedziba, która leżąc na drodze odwiecznych zmagań Wschodu ze Zachodem, a nadto narażona wciąż na katastrofy trzęsień ziemi, nie zachowała nic prawie ze swojej przeszłości.

Niegdyś tracka osada pod nazwą Pulpudeva, szybko zasłynęła handlem i bogactwem swoich mieszkańców i już za czasów Filipa, ojca Aleksandra Macedońskiego, stała się środowiskiem w państwie ważnem, tak dla handlu, jak obrony. Otrzymała i wały obronne i wojskowe umocnienia, a panując swemi wzgórzami nad okolicą i mając oparcie o rzekę, rychło stała się twierdzą, jedną z najważniejszych w państwie. Została też nią i za czasów rzym-

skiego panowania na Bałkanach, a dla trzech swoich wzgórz, na których rozłożyło się miasto, otrzymała nazwę Trimontium.

Po odzyskaniu swobody przez Bułgarję, tutaj począł się ruch religijny ku oswobodzeniu kościoła od wpływów greckich i tutaj doprowadzono go do zwycięskiego końca.

Ale nie było co długo robić wśród ruin. Rychło więc znaleźliśmy się znowu w wagonie kolejowym, aby raz jeszcze przeciąć pasmo Bałkanu wpoprzek i pobuszować jeszcze trochę, tym razem w północnej części kraju. Jedziemy zrazu na czysty wschód i mijamy Czirpan. Jest to miasto, które „było". Po trzęsieniu ziemi nie zostało z niego nic, zgoła nic. W Płowdyw zawsze coś niecoś ocalało, można było widzieć budynki, wznoszące się ponad poziom, nawet niektóre i nietknięte, tutaj wszystko legło w gruzy. Cóż dziwnego? Tu właśnie było centrum trzęsienia. Tor kolejowy do Starej Zagory i dalej do Trnowa naprawiono już jako tako, ale obok plantu leżały jeszcze stare szyny wymienione na nowe, tak powyginane i pokręcone, jakby nie z żelaza były, lecz z ciasta.

Cóż za olbrzymia, potworna wprost musiała tego dokonać siła!... Pod jej uderzeniem musiały paść miasta, skruszyć się budowle z żelaza i betonu, spękać skorupa ziemska w długie i szerokie rozpadliny. W Czirpan, w ciągu kilku minut, dwanaście tysięcy mieszkańców znalazło się bez dachu nad głową, opłakując stratę najbliższych. A miasto było bogate. Najprzedniejsze gatunki winorośli

udawały się tutaj na stokach Średniej Góry (Sredna Planina), na północ od miasta, kwitła hodowla jedwabników, a żyzna gleba doliny Marycy rodziła pszenicę, ryż i sezam. Ożywiony handel produktami ogrodniczemi, rolnemi i przedniemi gatunkami owoców dawał mieszkańcom dobrobyt i zabezpieczenie jutra. Wszystko to „było"...

Od Czirpan droga skręcała na północ, aby przebiegłszy tę najżyźniejszą połać doliny Marycy, dobić do Starej Zagory, położonej już na południowych stokach górskiego pasma, które oddziela ją od doliny Tundży, legendarnej doliny róż.

Tutaj należało się przesiąść na boczną linję, którą mieliśmy zdążyć do Trnowa, obecna bowiem prowadziła do Burgas, portu nad morzem Czarnem. Była już godzina nadwieczorna, gdyśmy wysiedli z pociągu, a ponieważ dalej mogliśmy jechać dopiero rano dnia następnego, więc usłużny zarząd stacji oddał nam na zasłużony wypoczynek jeden wagon osobowy.

W kilka godzin później znów siedzieliśmy w wagonie kolejowym, aby po przebyciu niskiego łańcucha gór, przeciąć dolinę Tundży, opiewaną przez poetów.

O niej to śpiewa Iwan Wazow, jeden z największych pieśniarzy Bułgarji, ostatniej doby.

Przez Włoch doliny pełne słońca,
I łany zbóż bez końca,
Pomarańcz gaje, gór błękity
Gna potwór w dym spowity.

Ach raj tu, raj tu jest nie życie,
Tak Anglik rzekł w zachwycie.
Spojrzałem nań. Mój drogi panie,
Znam raj, jak hymnów granie...!

I w Bałkan myśl ma szła daleki,
Gdzie dom mój, góry, rzeki,
A duch mój błądził tam, gdzie ona,
Dolina róż... wyśniona...

W tej porze roku dolina róż odpoczywała już, spełniwszy swoje zadanie z wiosną i początkiem lata. Oddała całą swą ozdobę człowiekowi, aby miał chleb codzienny, dach nad głową i spokojne jutro. A za kilka miesięcy znów uśmiechnie się kwieciem, jak co roku i znów popłyną śpiewy nad czystą Tundżą.

Pociąg począł się wspinać niebawem w śmiałych skrętach coraz wyżej i wyżej, aż dosiągnąwszy grzbietu pasma Szypki, na wysokości ponad tysiąc metrów, dopadł źródeł potoku Drenowa. Nie opuszczając już jego brzegów, opadał dalej ku północy drogą, jaką wypracowały wody poprzez zapory skał, znojnym wysiłkiem wielu wieków. Minął po drodze Trewnę, w sadach rozsiadłe miasteczko, ulubione letnisko północnej Bułgarji, dla swego położenia jak z bajki, łagodnego klimatu i mineralnych zimnych źródeł opodal.

Tu w roku 1866 ujrzał światło dzienne wielki poeta ludowy Bułgarji, Penczo Sławejkow, tu się też urodził niezmożony bojownik wolności, Angel Kanczew.

Ale wciąż spadamy wdół. Wodom Drenowa pilno jest do objęć Jantry, aby już potem spokojniej podążać razem przez uprawne pszenne pola na północ ku Dunajowi. Mijamy jeszcze miasteczko Drenowo, ze słynnym klasztorem św Michała, przylepionym do skał, który, jako naturalna, niezdobyta forteca, chronił niejednokrotnie w swych murach w okresie walk o swobodę oddziały powstańcze, napierane przez wojska tureckich paszów. Czcigodne jego mury, szczególnie tuż przed wojną rosyjsko-turecką, osłaniały orłów-junaków, gdy zrazu własną tylko piersią bronili zagród ojczystych przed stukrotną przemocą. A potem, gdy przyszła już pomoc z północy, a szala zwycięstwa raz jeszcze to na tę, to na ową chyliła się stronę, klasztor przytulał utrudzonych bojem, aby, sił nowych nabrawszy, spadli jak sępy po skałach się gnieżdżące na karki wrogów, już pewnych zwycięstwa.

Dziś miasteczko jest ciche, spokojne uliczki wciśnięte w dwa szeregi drewnianych jednopiętrowych domków, które dawne, bardzo dawne pamiętają czasy, a tam opodal w górach, w dostojności swej wielki, strażuje, jak strażował oddawiendawna, klasztor św. Michała.

Ale już Jantra. Wije się z obu stron napierana przez skały, niby olbrzymi wąż lśniący, obudzony z miłego spoczynku i gniewny. Czasem skręci się tak, że w pętli ciałem o własne ciało dotyka, a potem znów się sprostuje i pędzi naoślep, jakby chciał uprzedzić przeszkody, a gdy się te skorsze okażą niż on, to syknie tylko i pianą bluźnie, jak może najwyżej, i w bok odskoczy tam, gdzie się niedosyć

jeszcze zwarły zapory. Ale nic z tego, bo oto przyszła niedostrzeżona zrazu pomoc i dalszą drogę zamknęła. Więc się wąż raz jeszcze rzucił, już w gniewie obłędny, i zacisnął pętlę w ostatnich spazmach śmiertelnego wysiłku tak subtelną, że się snem wydała, lub wizją jakąś, poczętą w gorączce. A w tej pętli, na skalnych zboczach usiadło miasto, zbiegając na samą krawędź przepastnego jaru.

Na Boga... Jakżeż piękne jest Trnowo!... woła Iwan Wazow.

Niema chyba tutaj jednej ulicy w poziomie. Wszystkie, albo pną się do góry, albo spadają wdół, w jakichś nieprawdopodobnych zakrętach i załomach, wpadają nagle na jakieś placyki, wciśnięte upornie w gmatwaninę domków o staroświeckiej strukturze, przebijają się przez nie cienistemi przejściami, przeciskają popod kamienne ogrodzenia prywatnych ogrodów, staczają wdół schodkami tak stromemi, że się widzi ponad dachy niżej położonych domów zaciszne podwórka ujęte w ramiona winnego krzewia, spokojne jakieś i szczęśliwe. A potem nagle, jakby się przeraziły, że zeszły już zbyt nisko, podrywają się znów wgórę, znów odrabiają ciężką pracą to, co tak lekkomyślnie strwoniły przed chwilą, zwabione ponętnym stokiem góry. Co chwila odpływają w obie strony równie kręte boczne uliczki, które albo szybko nikną za węgłami domów, albo kończą się ślepo po kilkunastu lub kilku metrach przebytej drogi. Niejednokrotnie, dając już zgóry wszystko za wygrane, wpadają odrazu w prywatne obejścia.

W każdem obcem mieście może się i bez planu

orjentować turysta kierunkiem lub pewną jakąś zasadą w prowadzeniu ulic. Tutaj jest to trudne, bo może i teren nie pozwalał na jej ustalenie, a może miasto stare, przechodząc różne koleje losu, niejednokrotnie zdobywane i znów oddawane pokonanym, ginęło i odżywało na nowo, a gdy ruiny zacierały ślady dawnych ulic, wznoszono nowe budowle tam, gdzie było więcej miejsca, wygodniej, lub bezpieczniej. I tak to wszystko tutaj narastało z wiekami. Obok przestronnych obejść, klateczki uczepione o zrąb skalny, misterne, jak dziecinna zabawka, a uśmiechnięte wciąż i wesołe, że przecie znalazły dla siebie jeszcze dość miejsca na tych porzuconych już skrawkach nieużytków.

A uliczki tworzyły się już same, niewytyczane przez nikogo.

I może obok samego położenia, to się właśnie przyczynia do piękności Trnowa. Niema tutaj bynajmniej jakiegoś bezładu, chaosu, jakiegoś bezmyślnego nagromadzenia wielkiej ilości banalnych i dorywczo skleconych ludzkich siedzib na niewielkiej przestrzeni. Brak tylko sztywnych reguł, poświęcających często i piękno i wygodę dla zasady. Zostawiono tu naturę taką, jaką była, a człowiek budując, dostosowywał się tylko do niej, stwarzając sobie domowe ogniska i wygodne i bynajmniej niepozbawione piękna, jak pięknem znalazł otoczenie.

Dlatego Trnowa nie można zwiedzać tak, jak się zwiedza inne miasta, tak te, które nie posiadają własnego oblicza, jak i te, których dusza skryła się w odległych zaułkach. Pierwsze zwiedza się banal-

nie, spacerem przez główne arterje, albo można ich wcale nie zwiedzać, tak są wszystkie do siebie podobne. W drugich trzeba odnaleźć ich duszę i tam już zostać, nie interesując się resztą. Po Trnowie trzeba błądzić, nie pomijając żadnego zaułka, żadnej główniejszej arterji, trzeba wchodzić na podwórza domów, bo może tam właśnie zabudowano później coś, co może być godne widzenia, zaglądać w wąskie szyje uliczek, pozornie niewabiących niczem, trzeba poprostu być wszędzie, bo wszędzie jest tutaj dusza tego miasta.

Oto główna arterja miasta, poprowadzona we względnym jeszcze poziomie, ale w zawrotnym łuku, pozornie niczem się nie różni od zwykłej ulicy średnio wielkiego miasta. Ruch dosyć znaczny, przewala się całą szerokością ulicy, bo wehikuł jakikolwiek to rzadki gość tutaj. Trochę sklepów i wiele przekupni ulicznych. Jest niemożliwy upał, a na niebie ani śladu najmniejszej chociażby chmurki, i jest godzina wczesnego popołudnia. Skromna wywieszka na jednym z domów głosi, że tu jest kawiarnia, więc wchodzimy, bo trudno sobie odmówić na taką spiekotę filiżanki doskonałej kawy, ugotowanej po turecku. Obszerna, czysta izba i miły chłód, ale nęci nas długi drewniany ganek, biegnący wzdłuż okien, zastawiony stolikami, więc tam się kierujemy. Nie...! Trzeba mieć silne nerwy, aby tak wejść odrazu. Ganeczek jest trzeszczący i stary, i wisi w powietrzu, a pod nim o jakie sto metrów niżej gniewne wody Jantry.

Ulica poprowadzona została tuż nad przepaścistym brzegiem rzeki, a domy po jednej jej stronie

wyrosły wprost ze skały, częściowo nawet są w niej kute. Jakieś zręby obronnych starych murów sterczą tu i tam, a do nich doklejono fundamenty późniejszej budowli, trochę wzmocniono to wszystko cementem, podparto gdzie niegdzie belkami, i jakoś się to trzyma, Bóg wie, jak już długo, bo domy są stare i niedzisiejszej struktury. Trochę jest nam niewyraźnie tak śmierci patrzeć w oczy, ale wchodzimy widząc, że już coś ze trzy stoliki są zajęte przez przybyłych przed nami.

Podają nam w małych filiżankach gęstą, wonną mokkę. Jesteśmy w cieniu, a lekki chłodny wiatr przeciąga od wody. Przed nami, już po przeciwnym brzegu rzeki, widać ruiny potężnego ongiś zamczyska, które też wyrasta ze skalnej ściany stromego brzegu. Są to pamiątki potęgi dawnych władców państwa, kiedy to potężny bastjon trzymał w posłuchu Bizancjum, usiłujące wciąż więzy narzucić wolność miłującym góralom Bałkanu. Tuż obok poprzylepiane do skał mniejsze ruiny prywatnych, zda się, obronnych osiedli wielmoży, co bezpieczeństwa życia szukali pod osłoną potężnych murów twierdzy.

Trzeba i tam zajrzeć, więc załatwiamy szybko rachunek i wychodzimy, bo wieczorem czeka nas droga dalsza do Plewny. Ale jakoś mi trudno pożegnać się z amfiteatrem miasta, tem bardziej że wabi mnie jakaś uliczka ogromnie ustronna i cicha, i już na skraju miasta, gdzie stok góry był najbardziej urwisty.

Odłączam się więc od towarzyszy, aby ich dognać później, gdyż i tak z pewnością tam na ruinach

będą znów zażywali spoczynku wobec niezmiernego znużenia, jakie odczuwali już wszyscy.

Uliczka ma szerokości jakie trzy metry, nie więcej, wyłożona płaskiemi kamieniami i niezmiernie czysta. Małe, jednopiętrowe domki, również przeważnie budowane z kamienia, obróciły się do niej z obu stron plecami, widocznie zapatrzone w minjaturowe ogrody na podwórkach, pełne zieleni i kwiatów, jak zresztą wszystko tutaj. Idę więc niby tunelem, otwartym tylko u góry, gdzie spoczął niepokalany błękit nieba, który białe ściany czyni jeszcze bielszemi.

Po kilkunastu metrach skręt i schodki. Teraz się domki już odwróciły frontem, bo dosyć już wtyle pozostała krzykliwa i niezbyt czysta główna arterja. Patrzą na siebie z łobuzerskim uśmiechem, jakby się przedrzeźniając wzajemnie, który z nich bardziej strojny i bardziej odmienny od reszty.

I tak stoi sobie jeden, oddzielony od schodków balustradą, nieco od nich wtył odstąpiwszy. Małe okienka, drobne szybki i misterna żelazna krata, która sama dla siebie już jest poezją. Zresztą dużo ścian ślepych, wciąż gdzieś jakiś załom, wykusz, jakby niedbale, ale na swojem miejscu postawiony filar, jakieś pną się schodki, które wraz giną w ciemnej plamie drzwi, a wszystko to połyskuje od promieni słońca, jakby samo świeciło od siebie. Okienka zaś są niebieskie, niby żywe plamy błękitu. Przed domkiem mały ogródek, ale tak owładnięty zielenią i kwieciem, że aż dziw, jak się to wszystko tam pomieścić zdołało. A gdy już całkiem zabrakło

miejsca, to się zieleń ukwiecona wdarła na ściany, podchodząc coraz wyżej i wyżej, lub przewaliła przez balustradę ku kamiennym płytom schodów, zupełnie nie bacząc na to, że rozgnieść je może każdy przechodzień. Nic to!... Dosyć jest życia...

A z przeciwka przygląda się temu wszystkiemu znów drugi domek, zupełnie do tamtego niepodobny. Pobiegł aż po samą balustradę schodów, aby lepiej oglądać sąsiada, wspiął się na podmurowanie kamienne i na niem rozłożył się wygodnie. Niskie pięterko z płaskim dachem też mrugało jasnemi plamami okien, które jakkolwiek rozrzucone w nieładzie i na nierównych wysokościach, przecie jakąś dziwną tworzyły harmonję. Jedne w ramach, rzezanych misternie w kamieniu, dostojnych starością i poszczerbionych zębem czasu, inne usadowiły się wprost na gładkiej ścianie; tu ostała się jeszcze krata mozolnie wykuwana ręką bezimiennego mistrza, w takiej świeżości, jakby dopiero wczoraj posłuch dawała uderzeniom młota, tam szczątki się zaledwo ostały z tego, co lśniło dawniej przepychem, ówdzie znów usadowiło się okienko bez jakichkolwiek ozdób, ale dostrojone do całości i piękne powabem prostoty.

Tam zawisł, niby jaskółcze gniazdo, drobniuchny ganeczek, na jedną lub dwie najwyżej osoby, prostej roboty, ówdzie drewniany wykusz, wsparty o drewniane belki w kamień wpuszczone, późniejszego, zda się, pochodzenia. W załomy murszejącej skały i w szpary drewnianego belkowania wdarła się zieleń, gdzie tylko mogła, tworząc jasnozielone pełzające wstęgi pnączy, ciemne plamy

mchu, lub bure łaty porostów. I tak stała ta ściana naprzeciwko tamtej, jak chochoł leśny gdzieś z gór nadbiegły.

Na płaskim zaś dachu krzewiła się też zieleń w nieładzie, a przez jej szczerby widne były jasne światła kamiennych ścian domów, pnących się wyżej po skale od tyłu.

Lecz idźmy dalej, bo czas nagli; mam się przecie połączyć z resztą towarzyszy jeszcze przed wieczorem.

Kamienne schodki zbiegają wdół, w ostrych łukach, napierane z obu stron albo przez malutkie skrawki ogrodów, albo przez tłum domków, każdy wznoszący się w innym poziomie i jakby wzniesiony w innym czasie. Od czasu do czasu schodki przerwane są dla nabrania tchu małą, kilka stóp zaledwo mierzącą platformą, a wtedy zmieniają nagle dalszy swój kierunek, aby za chwilę znów zrobić to samo. Ale wreszcie dopadły nieco terenu już mniej stromego i znowu rozpoczyna się uliczka, miejscami tak wąska, że rozpostartemi rękoma można dotknąć ścian przeciwległych domów, a miejscami znów rozszerza się nadmiernie, tworząc jakby placyki.

Lecz cóż to jest, dokąd zaszedłem?...

Jest placyk, okolony solidną balustradą, lecz tylko z trzech stron, bo czwarta jest wolna i przylega do czegoś, jakby rzymskiego atrjum. Niezbyt obszerna, niby izba, z wyjętą frontową ścianą, tworzy z przyległym placykiem pełną całość, wznosząc się swoim poziomem nad nim na jaką stopę za-

ledwo. Nieco lekkich ogrodowych foteli rozstawionych w ładzie, i niewielki stolik stanowią całe umeblowanie tego zacisza, które wygląda tak, jakby przed chwilą dopiero opuścił je człowiek. Jest cicho i spokojnie i jakby za światem. Słońce obniżyło się już znacznie i jego silne dotychczas światło przeszło w łagodną czerwień, która ustępowała coraz bardziej przed długiemi językami fioletowych cieni, przyczajonych dotąd w załomach murów, lub rozsiadłych wygodnie pod koronami drzew. U góry jeszcze zatrzymały się jasne płaty na filigranowych oknach i zaglądają w głąb, lub pełzną po dachach, krytych czerwoną dachówką, pieszczą chwiejące się baty kwiatów wyżej położonych ogrodów. U dołu jest już niepodzielnie miły cień, łagodny chłód przedwieczornej godziny i świeżość.

Żaden przechodzień nie mąci ciszy i nie dochodzi tu żaden głos. Wygląda to tak, jakby się rozwarły kulisy jakiejś mistycznej sceny, a aktorzy jeszcze nie weszli na nią, lub szanując spokój, jaki tu usiadł, czekają. A tymczasem włóczą się po tych zaułkach niewidoczne wspomnienia dawnych czasów i minionej wielkości. Tutaj błąkał się duch swobody, gdy kraj został skuty w okowy, tutaj spotężniał on w piorun, który ogłosił wolność drugiego cesarstwa. Tu była stolica państwa przez trzy wieki świetności i stąd wyruszyli w bój ostatni władcy przed nową niewolą. Tu też zbiegli się w pięć wieków później wybrańcy narodu, aby obrać tego, komuby znów włożyli na skronie starodawną koronę carów Bułgarji, gdy w ciężkich walkach legł wreszcie ciemiężca, a nad krajem zajaśniało słońce

swobody. Wtedy to może było tutaj rojniej i bardziej głośno i życie bardziej wartkim płynęło strumieniem; dziś tu jest spokój i... wspomnienia.

Stoję i ja cicho przy balustradzie i patrzę na to wszystko, jak na wczoraj, i mimowoli, gdy chcę przejść w inne miejsce, staram się to czynić bez szelestu, stąpając na palcach, abym nie wydał się tutaj jakimś natrętnym intruzem innych czasów, który nie potrafi uczcić tej mowy, jaką w sobie zaklęły kamienie. Byle tylko nie spłoszyć tej wizji, byle tylko trwała tak dalej!...

Ale czy jest to ślepa uliczka, która wpadła w prywatne obejście i trzeba będzie wracać tą samą drogą do góry, czy też przewinie się gdzieś dalej, tego rozeznać niepodobna, owszem wszystko wskazuje na to, że tu jej koniec. Lecz nie!... Ona przystanęła tylko na chwilę, aby zachwycić ciszy, bo odkryłem niebawem wąziutkie przejście popod węgieł, a potem znów schodki, zakręty, łuki, jak dotychczas.

Lecz nie widziałem już nic więcej po drodze, schodząc wdół, gdyż wciąż jeszcze stałem tam przed tem atrjum, wsłuchany w ciszę, spokój i przeszłość....

Ocknąłem się już na dole nad Jantrą, tuż przy moście.

Takie to są te uliczki w Trnowie.

Szybko przeszedłem przez rzekę i zastałem resztę towarzystwa jeszcze w miłym spoczynku na ruinach, ale czas już był najwyższy na stację kolejową, gdyż następnym naszym etapem była Plew-

na, miasto, które przeszło do historji, dzięki krwawej i decydującej bitwie, jaka rozegrała się na jej polach w wojnie rosyjsko-tureckiej, w r. 1878.

Znowu trzeba było kilka godzin przebyć w wagonie, dążąc ku północnemu zachodowi, i późna już nocą stanęliśmy na miejscu. Miasta nie było narazie widać, gdyż jest znacznie oddalone od stacji kolejowej; wsiadamy więc w dwa zdobyte wehikuły i pogrążamy się w ciemność odrazu. Gościniec nie był widocznie pierwszej klasy, bo silnie naładowane pojazdy przechylały się mocno raz w tę, to w ową stronę, grożąc za każdym razem wysypaniem zawartości, ale jakoś obeszło się bez katastrofy i zajechaliśmy cało przed kwaterę, aby zażyć zasłużonego wypoczynku przez resztę nocy.

Ranek wstał, jak każdy z poprzednich, pogodny i upalny. Trzeba było się przedewszystkiem rozejrzeć po mieście, co niewiele zajęło czasu, bo, jakkolwiek stare to jest osiedle i ludne, gdyż liczy zwyż 30.000 mieszkańców i jest ważnym ośrodkiem handlowym i rolniczym północnej części kraju, to mimo wszystko nie wiele tu jest do zwiedzania. Miasto rozłożyło się w kotlinie, z ogromną rozrzutnością miejsca, a ujęły je ze wszystkich stron wzgórza, czyniąc z niego naturalne miejsce obronne. To też zrozumiał to Osman Pasza, gdy napierany przez wojska rosyjskie od wschodu i mając odciętą już drogę na południe, tutaj się zamknął z liczną jeszcze załogą, broniąc i miasta i panowania półksiężyca nad Bałkanem.

Idziemy więc na te wzgórza w południowej części miasta. Poszczególne pozycje tureckie są

doskonale zachowane, nawet stanowiska artylerji i okopy. Wszystko to uporządkowano jednak, obsadzono drzewami, pozakładano kwietniki i miejsce najkrwawszych zapasów, jakie znają dzieje, zamieniono na obszerny i piękny park miejski. I tylko wzniesione tam mauzoleum pamiątek wielkiej bitwy, jak również dwa działa zdobyczne, ustawione na pozycjach, wskazują, jakie było dawne przeznaczenie tego miejsca. U stóp wzgórz roztacza się, jak okiem sięgnać, równina niemal bez zmarszczek; tam to stanęły wojska rosyjskie, przybyłe z pomocą braciom z południa, krwawiącym się od lat tylu w nierównej walce o swobodę. Nierówne były szanse zwycięstwa wobec górujących na wzgórzach wojsk tureckich i krwawą musiała być walka o miasto i panowanie nad krajem.

Lecz z pośród wielu bezimiennych, którzy tu legli, było wielu, bardzo wielu z tych, których kości bielały i bieleją wszędzie tam na obu półkulach, gdzie się bój toczy o wolność.

Pomiędzy przedmiotami, które wyorali i wciąż wyorywują na polu pamiętnej bitwy, a które jako drogie relikwje składane są następnie do mauzoleum, znajdują się szkaplerze, medaliki z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej lub Częstochowskiej, polskie książeczki do nabożeństwa. To Maćki i Bartki z nad Wisły, lub litewskie niedźwiedzie z nad Niemna, tu obcą ręką pędzone, krew swą serdeczną przelały za sprawę, chociaż im obcą. A w chwili, gdy zgasło im w oczach słońce, gdy uznojeni w trudzie, okryci kurzem bitewnym i utarzani w kałużach krwi śmiertelnych zapasów poszli po

spokój wieczny i na ojce swoje natknęli i tych, co z myśliwską zaledwo dubeltówką porwali się na przemoc, i tych co pod Grochowem stawali i Wawrem i Iganiami, i tych, co jeno z kłonicą w garści pod Grunwaldem szaleli i tylu, tylu innych, to się tym rozpogodziły stare marsowe oblicza, że syny w ojców się wdały, a potem to już wszyscy hurmem poszli przed tron Przedwiecznego i runęli na twarz w ogromnej podzięce, że z Jego woli i Jego kierowani ręką i ci też oddali życie za wolność, choć sami w niewoli.

Dobrze jest pobłądzić tu trochę i podumać nad tym dziwnym posiewem polskiej krwi i tem dziwnem przeznaczeniem, które jej każe siać po wsze czasy i wszędzie jedno i to samo.

Wracaliśmy do miasta z okopów w milczeniu, bo coś się nam tłukło po duszy i czuliśmy, że się w tej chwili jakaś nowa nić nawiązała ogromnie silna pomiędzy nami a tymi, którzy nas w gościnę przyjęli.

Do zwiedzenia było już niewiele. Winnice, ciągnące się bez końca na południowych stokach wzgórz, najstarsza i największa w kraju szkoła winiarska. Wyposażona we wspaniale urządzone laboratorja i pracownie, wypuszcza rok rocznie w świat liczne zastępy pracowników, którzy podnoszą dobrobyt mieszkańców i bogactwo państwa. W olbrzymich piwnicach szkoły stoją w dwóch rzędach beczki, z których każda zawiera po 1000 litrów wina, a niejedna liczy sobie i po 30, lub 40 lat wieku.

Na Plewnie kończyła się pierwsza część naszej włóczęgi po Bułgarji, skąd mieliśmy się udać na dłuższy wypoczynek do Warny. W ostatni więc wieczór przed odjazdem zebraliśmy się i my i nasi bułgarscy przyjaciele na pożegnalną wieczerzę. Posypały się i mówki, polało się i wino. Byliśmy, jak starzy dobrzy przyjaciele. Lecz nie zrobiło tego wino. Jest w człowieku zmysł jakiś jemu nieznany, którym odczuwa dobrych ludzi i który mu każe być z nimi tak, jakby się razem przeszło przez życie i ból. Wtedy to nie wypowiada się słowami nic, nie zapewnia się nikogo o niczem, a mimo to jakoś się wszyscy stapiają w jedno, że aż pomyśleć trudno, iż niektórzy widzą się po raz pierwszy i może już nigdy nie zobaczą się więcej. Co tworzy ten cement nie wiadomo, ale tu, wielką jego częścią był nasz wspólny los, świetna przeszłość, długie lata niewoli, bezprzykładne walki o jej zdobycie zpowrotem i zaświtanie wreszcie jasnego słońca swobody. Było nam ogromnie dobrze ze sobą, a było nam tak, jak jest człowiekowi, który się bardzo utrudzi pracą, a potem, gdy już z niej zejdzie, uśmiecha się pomimo bólu w spracowanych członkach i tak jest rad wszystkim, że świat cały objąłby w ramiona.

A potem to mauzoleum bitewne tam na okopach... Te polskie modlitewniki, te szkaplerze, medaliki!...

Łopotał nad nami, gdyśmy tak siedzieli w przyjacielskiej rozmowie przy wieczerzy, stary sztandar kochany: „Za naszą wolność i waszą."

KRÓLOWA CZARNEGO MORZA.

...Znowu w wagonie!

Już opuszczała nas czasem odwaga, gdy trzeba było wsiadać do rozpalonego do niemożliwości kolejowego pudła, aby przerzucić się kilkadziesiąt kilometrów dalej. A chociaż kraj, który przebiegaliśmy wszerz i wzdłuż, czarował swą krajobrazową pięknością, chociaż ciekawiła nas jego kultura i urządzenia społeczne, chociaż ludzie, z którymi zetknąć się nam było dane, byli nam braćmi z serdecznych najserdeczniejsi, to jednak ogrom odebranych wrażeń robił swoje, a natura domagała się zwolnienia tempa i chociaż krótkiego wypoczynku, aby ład jakiś wprowadzić w tem wszystkiem, co wchłonęliśmy w siebie dotychczas, z łapczywością głodomora, przed którym zastawiono nagle stół obfity.

A gdzież mógł być odpoczynek piękniejszy i bardziej dokładny, jak nie nad wiecznie słoneczną taflą Czarnego Morza?

Wsiadając więc w Plewnie do pociągu, który miał nas zawieźć do Warny na tygodniowy przynajmniej odpoczynek, byliśmy, mimo spiekoty, jak odmłodzeni nadzieją, że się przecie zwolni to szalone tempo, w jakiem przebiegaliśmy Bułgarję, i że się wreszcie uładzi ten ogrom wrażeń, jaki zebraliśmy dotychczas.

A potem... przecie tam czekała na nas królowa Czarnego Morza, odwiecznie tu władająca wśród blasków słońca, choć czasem gniewna wichrami.

Trasa kolei prowadziła zrazu ku północnemu wschodowi, a potem na czysty wschód, przez pszeniczne obszary Bułgarji.

Było już dawno po żniwach. Jak okiem sięgnąć, lekko sfalowane pola, zapłaciwszy za trud człowiekowi i staranie z rozrzutną iście hojnością, stały w złocie. Pieściło więc słońce te rżyska bez kresu i dawało im barwy z siebie wzięte, że poczęły świecić i one i oddychać żarem, jak tamto. Miejscami, gdzie wyschłe już źdźbła skruszyła w pył dłoń wiatru, odsłaniała swą pierś nagą ziemia rodzicielka. Lekko ceglasty jej odcień potęgowało słońce do tonów żywej czerwieni, że wyglądała jak ktoś, kto bardzo umęczony pracą nad siły, spocznie, ciężko dysząc w zadowoleniu, iż spełnił, co mu kazano. Miejscami w długich spęknięciach otwierała na żar swe żyzne łono na świadectwo, że dała z siebie wszystko, co dać mogła, siebie nie szczędząc, aby błogosławiony był po wszystkie czasy trud człowieka.

I wielkiem też bogactwem dla Państwa, a źródłem dobrobytu jego mieszkańców są te bezkresne pszeniczne obszary. Rozciągają się one, w przeważnej swej części, między pasmem Bałkanu a Dunajem, a liczne porty nadrzeczne wypełniają corocznie długie szeregi spichrzy, tym błogosławionym potem bułgarskiego chłopa.

Na blisko dwóch miljonach hektarów roli chwieje się tu corocznie kłos pszenicy, a blisko piętnaście miljonów kwintali ziarna idzie różnemi drogami w świat szeroki.

Ale nietylko chlebem płaci swych włodarzy odwiecznych ta ziemia, bo oto niedaleko stąd, po drugiej stronie Bałkanu, nad Tundżą, aż do północnych stoków Średniej Góry (Sredna Planina), rozłożyła się dziwna dolina.

Nibyto jawa, a niby sen, ze wszystkich najcudniejszy i najbardziej bogaty w barwy, jeden z tych, jaki Bóg dobry wkłada czasem pod powieki człowieka, którego bardzo miłuje.

Na wielu, wielu setkach hektarów kwitną róże i... tylko róże, a srebrna Tundża, toczy środkiem tych pól swe wody, koloru porannego błękitu, i... śpiewa.

Krzewy królewskich kwiatów, wysokie na wzrost człowieka, kołyszą się miarowo i wolno pod ręką łagodnego wiatru, który przeciąga doliną. Gdy zwały chmur ześlizną się wczesną wiosną z górskich łańcuchów i ciepłym deszczem roszą raz wraz tę dolinę z bajki, wówczas krzewy piją wilgoć, niby spragniony wędrowiec pustyni, a życie młode i bujne święci wtedy tutaj jakąś uroczystość mistyczną swej potęgi.

Młode pędy bujają z dnia na dzień, z godziny niemal na godzinę, jakby chodziło o wyścig, o każdą chwilę życia. Przepędzają jedne drugie, plączą się wzajemnie, byle tylko prędzej i wyżej. A potem, gdy odpłyną już chmury na długo, a słońce ze wzmagającą wciąż mocą poczyna słać na ziemię promienie coraz bardziej gorące, wówczas pęki, które dotąd kryły się w liściach, pęcznieją w nadmiar soków zasobne, aż wreszcie, jak okiem sięgnąć, puch kwiecia, przymilając się słońcu, zaleje tę dolinę róż.

Wówczas to subtelna woń unosi się nad Tundżą, a gdy zgaśnie już dzień, znużona zaś ziemia oddychać pocznie chłodem wieczoru, zda się, że stanęło tu powietrze w bezruchu, przesycone docna tchnieniem tych łanów z bajki.

Dwa miasta, Kasanlik i Karlowo, rozłożyły się tutaj, i przerabiają dary doliny nad Tundżą na drogocenny olejek różany, który stąd potem w małych, zatopionych fiolkach idzie w handel.

Niebo było niepokalanie czyste, bez chmurki, słońce prażyło niemiłosiernie, w wagonach, mimo otwartych na przestrzał okien, był żar, który wypił chyba już dawno ostatni ślad wilgoci naszej skóry, a do wieczora, kiedy pociąg miał dobiec do Warny, było jeszcze daleko.

W tyle już pozostała, niewidzialna z okien wagonu, bo zasłonięta pasmem Bałkanu, dolina róż. Obok przesuwały się tylko bezkresne rżyska pszenicznych pól, wciąż jednakowo złote, i wciąż jednakowo spłoniona ziemia, w głębokich spęknięciach odkrywała swe żyzne łono. Pociąg zbliżał się wolno do miejsc, które są kolebką bułgarskiego narodu i zaczątkiem Państwa. Owiane legendą dawnych wieków i zasłuchane w wielką przeszłość, usunęły się od gwaru dzisiejszego życia, które potoczyło się gdzie indziej.

...Szumen... Szumen... Wołała obsługa pociągu.

Myśli mimowoli cofnęły się wstecz, do czasów, o których już człowiek zapomniał. Tuła się jeszcze o nich czasem legenda, czasem pieśń ludowa coś wspomni, czasem oracz pracowity, tnąc pługiem ziemię chlebodajną, natrafia na dziwne jakieś okruchy

nie z dzisiaj, na jakieś ślady ludzkiej ręki, na jakieś w zygzak biegnące, a starannie poukładane zwaliska kamieni, niby ślady zamczysk tych, o których już dawno słuch zaginął.

...Szumen...

Tu właśnie ziemia kryła, a człowiek znalazł przypadkiem ślady tych, co przyszli tutaj pierwsi — ale skąd, o tem milczy nawet i legenda. A że byli mocarni, o tem świadczy to, co jeszcze po nich zostało. Pracowicie rzucone jakieś wały obronne, jakieś umocnienia grodziszcz, czerepy naczyń, strzępy zbroi.

Zda się, że stepy między Aralem a morzem Kaspijskiem były ludów tych dawną siedzibą, więc może za rojno im było, i szli za chlebem na zachód, a może szukali ujścia dla swej krzepoty i dawne swe rzucili dzierżawy dla podboju ludów. Któż to wiedzieć może...

Pewnem jest tylko, że tu ostali, na naddunajskich rozłogach, a czy byli tu pierwsi, czy już zastali tu kogo, czy zmogli ich, czy w braterstwie gospodarzyć poczęli na tych ziemiach, mniejsza o to. Dość, że stworzyli tu lud osiadły, pracowity, zespolony w państwo, a o mocy jego władców świadczą szczątki Pliskiego zamczyska w pobliżu Szumenu.

Czcigodna jest mowa gruzów i poczynania tych minionych pokoleń, które przemawiają przez nie. A ta, którą zaklęły w sobie Pliskie zwaliska i skryły w swem łonie tajemnice pobliskiej wsi Aboba, są po stokroć czcigodne, gdyż są zaczątkiem tej mocy, która się oparła zagładzie w kilkuwiekowej niewoli.

Bo i też ten lud spokojny i orny od samego swego zarania krwawo musiał opłacać spokój pracy przed naporem orężnych sąsiadów, którym wyprawy wojenne były chlebem codziennym, a rozgwar bitwy weselem. Mała, naturalna obronność Szumenu, który Turcy dopiero, krajem zawładnąwszy, w twierdzę zmienili, zbyt wielką była przynętą sąsiadom, więc władcy Bułgarji przenieśli rychło stolicę do bardziej ku południowi wysuniętego Presławia, który, tworząc naturalną bramę wschodniego Bałkanu, przedstawiał z natury miejsce bardziej obronne.

I tak rozpoczął się dla Bułgarji złoty okres władania presławskich panów, których władzę uznawały nietylko ludy bałkańskie, ale i sąsiednie narody. Już z końcem piątego wieku po Chrystusie posłowie wschodnio-rzymskiego cesarza Zenona czołem bili w Presławiu, prosząc o pomoc dla Bizancjum. A gdy wnet odwróciła się karta dziejów i to same Bizancjum poczęło zagrażać tym, których dawniej o pomoc prosiło, wielki Asperus upokorzył dumnego sąsiada, że ten wiele ziemi odstąpiwszy presławskim panom, wysoką nadto daniną opłacić musiał drogi pokój. Gdy zaś zamknął powieki wielki władca naddunajski bojami utrudzon, a berło ujął godny swego poprzednika Terwel, uładził wojną domową niszczone Bizancjum, zawarł z niem sojusz, a głowę swoją mitrą cara ozdobił.

Lecz wnet za ciasno już było bitnemu ludowi na dotychczasowych dzierżawach. Przesuwa się w tych mrocznych dziejach długi szereg przesławnych władców z Presławia, Sabin, Bojan, Kardan, Krum. Już Dunaj przekroczyły zbrojne hufy bitnego ludu, a na-

stępca Kruma oparł granice państwa o stoki Karpat. Potem pod carem Prejsanem, w pierwszej połowie dziewiątego wieku, parły bułgarskie woje na zachód, coraz dalej i dalej.

Ludy uznawały ich władztwo, sąsiednie potęgi wchodziły w sojusze, państwo potężniało rządzone silną ręką, i coraz bardziej wchodziło w rodzinę wielkich mocarstw Europy. Wreszcie z końcem dziewiątego wieku, car Borys, przyjąwszy naukę Chrystusa, ogłosił się carem Greków i Bułgarów.

I jako apostoł swego narodu otwiera długi szereg narodowych świętych Bułgarji.

Lecz żywiołowy pęd wzrostu potęgi państwa nie miał zamrzeć ze śmiercią cara Borysa, bo oto usiadł na presławskim tronie wielki Symeon.

I nigdy przedtem i nigdy już potem moc państwa nie sięgała tych szczytów. Rozrosły się dzierżawy Bułgarów tak, że mawiano, iż carstwo Symeona o trzy opiera się morza: Czarne od wschodu, Egejskie od południa, a Adrjatyk od zachodu. Ludy Bałkanu pod jedną znalazły się władzą i jedną były kierowane myślą; zakwitły sztuki i nauka, a liczne zastępy uczonych i artystów uświetniały dwór w Presławiu. I przeszło carstwo Symeona do legendy i do ludowej pieśni, która krzepiła zawsze i sił dodawała, gdy w wiekach późniejszych odwróciło się szczęście, gdy przyszły czasy klęsk, a potem niewoli, chyba najcięższej, jaką świat widział.

Gdy utrudzoną głowę złożył Wielki Symeon na pokój wieczysty, gdy nie stało już jego prawicy mocarnej i rozumu, spory wewnętrzne poczęły rujnować

państwo, aż pokonywane dawniej Bizancjum więzy niewoli nałożyło na tych, przed których władcą czołem biło nie tak dawno jeszcze w Presławiu.

Cóż za dziwna analogja i dziwna równoległość z dziejami Polski!...

Wszak i myśmy mieli swego Symeona, który rozumem i mieczem zakreślał granice państwa, i przez złotą bramę Kijowa jako bóg wjeżdżał do kresowego miasta, a i potem nieraz czołem bili przed polskimi królami sąsiedzi ze Wschodu i Zachodu, aby potem, gdy niemoc przyszła w ślad za wewnętrzną niezgodą, swym niewolnikiem uczynić tych, przed którymi leżeli w prochu niedawno, o wiecznej zapewniając przyjaźni.

I chciałoby się zatrzymać pociąg w biegu, gdy dążył ze Szumenu na wschód ku morzu, aby podumać trochę nad temi dziwnemi kartami dziejów dwóch słowiańskich narodów, które równocześnie niemal dosięgły szczytów potęgi, potem legły, zbyt ufając słodkim słowom sąsiadów, a potem znów niemal równocześnie odzyskały swą wolność, Bułgarja bowiem Polskę wyprzedziła w wielkim dniu odzyskania wolności zaledwo o lat pięćdziesiąt.

Minęło już południe i coraz bardziej czerwone plamy słońce kładło po polach; spalona gruda i szlak gościńca powlekały się przejrzystym fioletem, a cienie przydrożnych drzew wydłużyły się niepomiernie. Niepokalany wciąż błękit począł blednąć, a tracąc barwy od wschodu, tem silniej świecił u przeciwnej strony horyzontu, raz czerwienią, to znów roztopionem złotem, które w żółty przechodząc odcień, tra-

ciło blask coraz bardziej, aż wszystko wreszcie wziął mrok w posiadanie.

Przez otwarte okna wagonu wpadał powiew chłodu, który jednak nie zdołał odrazu usunąć z nich żaru dnia, gdyż rozpalone drzewo i metal oddawać poczęły z siebie, co w dniu wzięły ze słońca. Ale mimo wszystko, odczuwać się dawał powiew bliskiego już morza.

W przedziałach wszczął się ruch, gdyż Warna stanowi końcową stację linji kolejowej, przebiegającej wzdłuż północną Bułgarję i łączącej państwo przez porty naddunajskie z Zachodem. Wielojęzyczny więc tłum podróżnych przelewa się tą drogą do Carogrodu, wysp Lewantu i dalej, a sporą ich też liczbę wchłania sama Warna, dzięki idealnemu położeniu, jako pełne zawsze słońca letnisko i kąpielisko morskie o wodzie, której temperatura waha się w porze letniej bardzo nieznacznie około 26° C. Jeśli się doda do tego jeszcze plażę, wprawdzie siłą wydartą morzu, ale o piasku z subtelnością pyłu, to dziwić się wypada, dlaczego o warneńskich kąpielach morskich mówi się stosunkowo tak niewiele, a spragnieni słońca szukają go przeważnie gdzie indziej, a nie tutaj, gdzie go jest nadmiar naprawdę.

Przez kilka letnich tygodni niepokalany błękit, o barwie jasnego szafiru, lśni rozpalony słońcem, a delikatny, ledwo wyczuwalny powiew od morza sprawia, że upał, chociaż znaczny w tym czasie, nie daje się we znaki.

Była zupełna już noc, gdy pociąg stanął na warneńskim dworcu.

Brała wprawdzie chęć przebiegnięcia chociażby miasta, a przedewszystkiem partji jego nadbrzeżnej i pozdrowienia morza, ale i znużenie i późna pora kazały oczekiwać ranka.

Skoro jednak wytoczyło się słońce na bezchmurne niebo, a Warna stanęła w światłach, wybiegłem zaraz na miasto, przemierzając je zrazu bez najmniejszego planu wzdłuż i wszerz i po głównych arterjach, niczem się nie różniących od ulic innych wielkich miast, pełnych błyszczących wystaw i rozrywkowych lokali, i po uliczkach krętych i wąskich na zacisznych peryferjach. W tej gonitwie nie zwiedzałem nic, nie zatrzymywałem się nigdzie dłużej, gdyż parło mię coś przed siebie jakby jakiś niepokój, że często spostrzegałem po niewczasie, że mijam po raz już drugi, lub nawet i trzeci tę samą ulicę.

Starałem się tylko nie być ślepym na nic, na co trafiłem po drodze, a odbywając tę gonitwę samopas, skręcałem w bok natychmiast, gdy mię tam właśnie coś ciągnęło.

Szukałem... duszy miasta.

Ta jednak wychodzi rzadko sama na powitanie wędrowca. Jest na to zbyt dostojna.

W Warnie legły właściwie obok siebie dwa miasta o miedzę, każde inne i o własnej twarzy. Warna stara i nowa; ale niema w tem bezpośredniem sąsiedztwie niczego, coby raziło, pomimo tej ogromnej przestrzeni czasu, do jakiego należy jedna i druga. Pierwsza młodością krzepka i zawsze pełna uśmiechów, druga poważna i przyproszona patyną wieków. Ale obie radowały się wspólnie zielenią, słońcem i życiem i nie wynosiły się jedna nad drugą,

lecz stroiły się obie w wielkie święto lata, w błyskotki z dzisiaj i w błyskotki z wczoraj.

Oto nowe miasto rozparło się swobodnie, z pewną nawet rozrzutnością miejsca na zachód od warneńskiej zatoki. Szerokie, czyste i pełne światła ulice ocieniają często długie szeregi drzew o przepysznej wegetacji, a po bokach stanęły łańcuchy domów, bynajmniej nie banalnej struktury. Rzadko wyższe niż dwupiętrowe, pełne wnęków, ganków i balkonów, na które jakby niedbała jakaś ręka rzuciła całą orgję zieleni i kwiecia, ot tak odniechcenia.

Pnie się więc to wszystko swobodnie, zagląda do okien, poza wywieszki sklepów, oplata klosze latarń ulicznych, lub w długich warkoczach, kołysząc się wolno na lekkim wietrze, spływa ponad chodniki ulic. A na nich, niby barwne plamy, goreją w słońcu olbrzymie naręcza ciętych kwiatów ulicznych przekupni.

A wszędzie, szczególniej zaś na arterjach, prowadzących do nadmorskiego parku, przewala się tłum wielojęzyczny. Wieczorem zaś, aż do późnej nocy, tłum gęstnieje, stając się bardziej ruchliwym i gwarnym.

Oto twarz nowej Warny.

A tuż obok niej widok zgoła odmienny. Oto wije się w licznych skrętach wąziutka uliczka, ale tak wąska, że rozkrzyżowanemi rękoma dotknąć można ścian przeciwległych domków. Misterne, jednopiętrowe wszystkie, z wysuniętem na ulicę pięterkiem, domki z kart! Także pełno zieleni i kwiatów, tylko że nie ludzka pielęgnuje je już ręka, lecz czas. Ten, korzystając z każdej kruszyny niesionej tu wiatrem

ziemi, poubierał kruszejące już mury w różnobarwne kobierce, a jeżeli było gdzieś obok coś, co jeszcze dawny zasadził człowiek, najczęściej krzew winny, to przygarnął to ku dostojnym ścianom starych domów, porozprowadzał gdzie mógł tylko poskręcane wiekiem konary, powyginane gałęzie, splątane pędy, aby tylko drogie to życie zatrzymać jak najdłużej.

To stara Warna.

I tak żyją oboje tuż obok siebie własnem życiem, ani jedna drugiej nie wadząc, ani nie zazdroszcząc niczego, nie wypierając się wzajemnie. Tylko gdy tu i ówdzie legnie jakiś staruch, swego czasu dobiegłszy, staje placówką tam nowa Warna, ale tylko dlatego, że tu i tak nie ożyje już stara. O tem wiedzą obie, więc pogodzone są z losem. I tylko tam, gdzie się to stało, wąska dotąd uliczka staje się szersza, jak inne towarzyszki nowego miasta. Wyrosły jednak nowy dom nie rozpiera się brutalnie łokciami, jak to często bywa gdzie indziej, gdzie nowe życie wyrasta na gruzach starego, lecz szanując dostojność wieku towarzyszy, staje skromnie w szeregu i uśmiecha się do sąsiadów bielą swych ścian, łagodnością linji, zielenią frontowego ogródka, kwieciem balkoników i okien, a one też odpowiadają uśmiechem, jeno nieco innym. Wiedzą, że żyły długo, bardzo długo, że widziały niejedno, że się obok przewalał czas i ludzie się zmieniali, że szły zawieruchy po świecie, po których przetwarzało się wszystko, że już nie rozumieją dnia dzisiejszego, i że tak bujnemu ongiś życiu należy się przecie spokój i zapomnienie, i że w samotnem dumaniu zmurszałych gruzów le-

piej jest przeżywać raz jeszcze dzień po dniu czasy, które nie wrócą, aniżeli porać się w beznadziejnej rozterce z nowym światem.

Więc uśmiechają się też do nowych towarzyszy tym dobrotliwym, wyrozumiałym na wszystko uśmiechem, który zjawia się zawsze, gdy się już zamknie pracowity dzień, dobrze przemyślany. Wtedy to i wielkie rzeczy maleją i nadludzkie wysiłki wydają się jakąś dziecinną igraszką w rozwoju rzeczy, które toczą się swoim trybem, nie troszcząc się o ludzi. Ale muszą być i uniesienia podniebne, i zgrzyty wszelakie i walki i zło musi być i błądzenie i bezlitosne smagania losu i przelotne chwile szczęścia, wszystko to musi być, bo inaczej nie byłoby życia.

O tem wszystkiem wie stara Warna, bo szmat czasu przeżyła w glorji, więc jest wyrozumiała na wszystko i spokojna i niczego już nie chce dla siebie, krom dokończenia swych dni. I wie, że gdy już zniknie, przyjdzie tu nowe życie, które już buja żywiołowo o miedzę. Wie, że dokończy swoich dni w spokoju, że ich tu jej nikt nie zadrości, ani niecierpliwie wyczekuje ich kresu.

Tak żyją tu sobie obie Warny obok siebie, w cichym, rodzinnym zespole; stara zanika zwolna, bynajmniej nie wypierana, a rozwija się nowa.

A mówią o niej już zdawna, że jest królową, i że płaszcz swój w słońcu kowany włożyła na się już przed wiekami, na wyniosłym brzegu Czarnego Morza, i że chłonie tu w siebie ciepło w upalne dni aż do omdlenia, a potem w ciche noce, pełne gwiazd,

gwarzy z sobą o dawnych dziejach w cichym szepcie, niby w szmerze wolno przesuwanych paciorków różańca.

Bo też, kiedy i kto założył tu pierwszą osadę, o tem tylko niepewne wieści głoszą stare dzieje. Podobno założyli ją Grecy z Miletu z końcem szóstego wieku przed Chrystusem i nazwali ją Odyssos. Nazwę „Warna“ spotyka się po raz pierwszy dopiero z końcem VII w. po Chr. Co ona oznacza i skąd się wzięła, tego nikt nie wie.

W r. 513 przed Chr., już jako miasto wielkie, zamożne i zamorski prowadzące handel, dostało się pod panowanie Persów, ale na czas niedługi, gdyż zbyt dogodne położeniem i w bogactwa wszelakie zasobne, nie mogło być tak łatwo zapomniane przez dotychczasowych swych gospodarzy. Rychło więc doznaje oswobodzenia i wraca do macierzy, aby w niespełna dwa wieki później, bo w r. 323 przed Chr. wejść w skład imperjum Aleksandra Macedońskiego.

Później włączona została Warna do wschodniorzymskiego cesarstwa, gdy panami całego bałkańskiego półwyspu zostali Rzymianie. I pozostawała w ich władaniu przez długie wieki, aż wreszcie, gdy w długich bojach i pod uderzeniem wewnętrznej niezgody skruszała potęga państwa, dostała się wreszcie w r. 678 po Chr. w moc potężnego już i bitnego sąsiada. I odtąd stale pozostaje już w mocy Bułgarów, dzieląc z ich państwem i dni radości i noce niewoli.

Rozłożyło się stare osiedle u samego krańca warneńskiej zatoki, która dawniej daleko się w głąb lądu wrzynała, ograniczona od północy i południa

niewysokiemi wzgórzami. Dzisiaj zachodnia część zatoki, do której wlewa swe wody rzeka Prowadija, tworzy jezioro, połączone wąskim przesmykiem z właściwą zatoką warneńską.

Nowe miasto, dalej na północ i zachód położone od morza, rozrasta się ustawicznie w miarę wymierania starego. To zaś rozpada się na dwie części, różne charakterem. Wschodnia, snać handlowa część dawnego osiedla, zabudowana jest gęsto i bardziej dostatnio, zachodnia natomiast, zamieszkana widocznie dawniej przez rybaków, ma nieregularnie rozrzucone domki, raczej lepianki, dziś już w gruzach przeważnie, wzdłuż przesmyku, łączącego otwarte morze z jeziorem. Tam to zapewne roiło się dawniej od rybackich łodzi, brzegi były pełne suszących się na słońcu sieci, a wszędy rozlegał się gwar ubogiego, lecz pracowitego ludu. Tu też zapewne i kupcy oglądali swój towar, aby przewiózłszy go następnie przesmykiem do portu, załadować na czekające ładunku okręty i barki i wywieźć w świat daleki.

Pełno w obu częściach starej Warny śladów tureckiej niewoli. Więc jakiś minjaturowy placyk, a na jego środku kupa gruzów, walają się jakieś ciosy, z boku zaś przywarował do tych resztek dawnej wielkości śmigły, dobrze zachowany minaret. Nawet ganeczek muezina, skąd głosił on chwałę i moc Ałłacha, bez jednej rysy, jakby stąd wczoraj jeszcze rozlegał się śpiewny głos sługi Proroka w cztery strony świata.

Wejściowe drzwi minaretu dawno już zgryzł czas i widny jest tylko jego wnęk na słońcem oświe-

tlonych ścianach. Tam to jakiś przekupień rozłożył swój skromny towar, trochę owoców i jarzyn. I tak się wszędzie tu widzi to bezpośrednie sąsiedztwo dwóch światów, z których jeden zamiera wolno, niczego się już nie spodziewając od życia, krom spokoju, a drugi zajmuje miejsce po nim, ale nie pierwej aż ten zginie.

Dlatego często w jednej i drugiej części starej Warny zdarzają się ni stąd ni zowąd często wysepki nowego miasta. Willa z ogródkiem, piętrowy domek, skwer jakiś lub kwietnik. Tam zakwitło nowe życie, a obok, tuż obok i dookoła często, stoją, jak stały, staruchy i grzeją sterane ciało w południowem słońcu.

Najczęściej jednak widzi się puste place-cmentarzyska, które czekają, aż ujrzy je ten, który pełen gwaru, radości życia i wesela, pędzi swe dni młodości i śni o potędze tuż obok. A gdy dojrzy i przekona się, że już można, wtedy i tu zabłyśnie świat nowy.

Tam to wiele błądziłem i zawsze jakieś targnęło mną uczucie, gdym z krzykliwej, ludnej, szerokiej ulicy nowego miasta, wpadał wprost w wąskie, okrągłym kamieniem brukowane uliczki starej Warny, a krok każdy odbijał się głośnem echem o milczące stare domki, jakieś wpół rozwalone mury dziedzińców, puste placyki. Życie, które tu dawniej z pewnością wartką płynęło falą, uciekło stąd już dawno, a ci z nowych ludzi, którzy tu objęli spuściznę po tych, którzy byli, też się do starego przystosowali otoczenia. Więc, jeśli spotkać tu można rzad-

kiego przechodnia, to idzie w milczeniu i jakby w zadumie, szanując gruzy. Czasem się przemknie ze staroświecka w stare łachmany odziany jakiś portowy chamal lub nosiwoda, jakby ze starych wycięty sztychów, albo poganiacz mułów. Zresztą cisza...

Tu i ówdzie tylko gromadka bosych smagłych dzieciaków, o zwiehrzonych, kruczych czuprynach, zabawia się na placyku lub uliczce w jakieś gry zupełnie mi nieznane. Ci w niczem tu nie psują harmonji, bo i dawniej przecie było zupełnie tak samo.

W uliczkach miły chłód, mimo słonecznego żaru, bo piąterka domów z obu stron wysunięte na środek ulicy, że czasem trzeba aż głowę pochylić, aby się przemknąć pod nie, rzucają cień, iż upał, choćby największy nie daje się tutaj odczuwać wcale. A jeśli zamiast domów biegnie gdzieś stary mur, to gałęzie drzew figowych wychylają się z poza niego, lub grube skręty winnego krzewia, i też dają schron miły przed palącemi promieniami południowego słońca.

Tak, gdy wędrowałem tutaj z uliczki w uliczkę, nie mogłem się oprzeć pokusie, aby przecie nie zajrzeć, co się też tam dzieje poza temi milczącemi murami, jak też dzisiaj wygląda tutaj to życie z wczoraj.

Był właśnie mur na jakie dwa metry wysoki, łączący na niewielkiej przestrzeni dwa domki o ślepej ścianie od strony ulicy. W środku muru zwisała na tęgich, żelaznych zawiasach brama, niezupełnie domknięta. Trąciłem ją zlekka i wszedłem, a raczej wśliznąłem się cicho do wnętrza.

I było mi, jakby mną ktoś rzucił nagle na jakąś odległą, bardzo odległą planetę, ale nie zupełnie

obcą. Może tu już kiedyś byłem, ale to było chyba już bardzo dawno, może o niej coś słyszałem od kogoś, może czytałem, a może śniłem kiedyś... nie wiem. Dosyć, że wchodząc, uczułem, iż się uśmiecham radośnie, jakbym znalazł coś, co zgubiłem już dawno, a teraz znalazłem. I powitałem to, co ujrzałem tam wewnątrz, jak się wita kogoś, którego się przebolało już stratę, a który zjawia się nagle zdrów i cały i tak krzepki, jak był w dalekim dniu pożegnania.

Przymknąłem za sobą bramę. Przede mną było malutkie podwórko, wyłożone całe płaskim kamieniem, w środku minjaturowa sadzawka, raczej basenik, o kamiennem też obrzeżeniu, z misternie rzezanym gzymsikiem wokół. Nad całem podwórkiem zwisał dach winnego krzewia tak gęsty, że tylko tu i ówdzie przeświecały plamy gorącego nieba, a na kamienną posadzkę kładło płomienne słońce nieregularnie rozrzucone kręgi koloru złota. W jednym kącie kwadratowego podwórka czerniał otwór drzwi, o kamiennej, w łuk wygiętej framudze, pełen rzeźb i gzymsów, w których czas wielkie porobił już szczerby.

Pomiło upału, panował tu chłód przyjemny, a przedewszystkiem był spokój, ale nie taki, jaki zapewnia sobie człowiek na czas krótki, by odpocząć, a potem znów sił nabrawszy, rzucić się w fale życia i walczyć o błyskotki jutra.

W tworzeniu spokoju, jaki tu był, nie brał udziału człowiek, lecz czas. Więc treścią jego było zamknięcie wszystkich rachunków, jakie daje życie,

całkowite z niem zerwanie i puszczenie go wolno, aby się swobodnie toczyło obok, za cenę marzeń o dniach, które minęły.

Stałem, zdaje się, już dobrą chwilę na skraju podwórka, zupełnie bez ruchu, aż spostrzegłem u przeciwnej strony siedzącą na kamiennej ławce pod murem jakąś babuleńkę. Może miała sto lat, a może i więcej. Z pod chusty, narzuconej niedbale na głowę, wymykały się kosmyki siwych włosów, cała twarz była w głębokich brózdach, które krzyżowały się i przecinały we wszystkich kierunkach, zbiegając się gęstą siatką przy oczach i ustach.

Czesała wełnę.

Ręce, a raczej kości, obciągnięte skórą koloru ziemi, poruszały się wolno, lecz miarowo, wpółprzymknięte zaś oczy zdawały się nie widzieć nic, a może patrzyły, lecz nie przed siebie, tylko na ten szmat życia, który pozostał w tyle.

Gdy wszedłem, zupełnie nie przerwała roboty, jakby nie spostrzegła mnie wcale. Postałem więc chwilę niepewny, czy nie wyproszą mnie przypadkiem stąd, gdzie się schroniła przeszłość i odgrodziła od wszystkiego grubym murem, porosłym mchem, lub pokrytym zielenią wina i drzew figowych.

A potem, gdy spostrzegłem, że w niczem nie naruszyłem tu spokoju i, że wszystko toczy się tutaj bez zmiany, podszedłem cicho, jak tylko mogłem najciszej do kamiennej ławki, którą zobaczyłem tuż obok i usiadłem.

Cisza była taka, że słychać było wyraźnie każde odwijanie się skrętów owczego runa pod palcami

babuleńki, nastawianie się winnych liści, łakomych słońca, na jego ogień, przeciskanie się lekkiego jak myśl oddechu morza poprzez szpary w pnączach na cieniste podwórko, po którem błądził tu i tam, aż wreszcie, znalazłszy wyjście, wysuwał się chyłkiem tak cicho i niepostrzeżenie, jak wszedł tutaj przed chwilą.

I tak siedzieliśmy oboje po dwóch stronach cienistego podwórka, ja wsłuchany w ciszę, a ona w to co... było.

Jak długo to trwało nie wiem, bo czas nie miał tutaj dostępu. Dosyć, że było mi ogromnie dobrze w tem oderwaniu się od wszystkiego, co może wchodzić w krąg myśli i zabiegów dzisiejszego człowieka.

Wtem babuleńka podniosła się z ławki powoli i ciężko, odłożyła nabok robotę i pochylona ku przodowi, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, obeszła drobnemi kroczkami basenik na środku podwórza, wybijając głośno takt o kamienne płyty i stanęła przede mną.

Może coś chciała powiedzieć, bo poruszały się lekko jej bezzębne szczęki, może zapytać chciała, co robię tutaj ja z innego świata, może wyłajać, dlaczego mącę spokój omszałych kamieni, a może... może chciała, nim jej słońce zgaśnie, przypatrzyć się tylko, jak wyglądają ci, co przyszli. Głosu jednak nie słyszałem żadnego. Chwilę tak dobrą patrzyła na mnie spłowiałemi oczyma, ale wzrokiem, który nie widzi, a potem odeszła znowu, jakby się nic nie stało, na swoje miejsce, usiadła na kamiennej ławeczce i... czesała dalej swą wełnę.

A mnie się zdawało, że jakiś pakt cichy został zawarty między przeszłością a dniem dzisiejszym i, że teraz już mogę tu pozostać jak długo tylko zechcę i jak długo tylko zechcę mogę tu dumać i cofać czas wtył, że mię już rozumieją kamienie i, że przyjaźnie tu na mnie patrzy wszystko.

Jak długo siedzieliśmy tak oboje na cichem, kamieniem wymoszczonem podwórku, ocienionem winem, w żarem płonący dzień... nie wiem. Zapewne długo. Nie wiem też, dlaczego wyszedłem, ale wiem, że mię po wyjściu drażniły niesłychanie i gwar nowoczesnej ulicy i pstrokacizna wystaw sklepowych i szerokość ulic, krzykliwe rozmowy spotykanych przechodni, a przedewszystkiem ich... oczy, oczy, które płonęły blaskiem i patrzyły przed siebie wdal, a tamte, tam na podwórku, były wpatrzone w głąb. Więc się czem prędzej starałem wydostać gdzieś w ciszę, i mijałem krzykliwe ulice nowego miasta, nie widząc ich wcale, aż ujrzałem przed sobą zwartą masę soczystej zieleni, a cichy, ledwo słyszalny miarowy pomruk zwiastował bliskość morza.

Park nadmorski...

Tu było mi dopiero dobrze, tu też uciekałem zawsze, gdy chciałem podumać trochę nad tem, co się widziało, uładzić to jakoś, lub z teraźniejszością zespolić przeszłość. Ten więc kawałek zieleni, a szczególnie jego pas nadbrzeżny, hen, daleko od gwaru letniskowych gości, stał mi się szczególnie drogi i bliski. Tem bardziej, że gdy bezpośrednio po przyjeździe tu zaszedłem i po raz pierwszy stanąłem nad warneńską zatoką, wrażenie, jakie odebrałem wówczas, było też niezatarte.

Było to wczesnym rankiem, nawet bardzo wczesnym, bo uleżeć nie mogłem i wyszedłem. Na świecie już był dzień, chociaż słońce nie wtoczyło się jeszcze na niebo i chłód nocy nie zeszedł, gdy skierowałem się ku nadmorskiemu parkowi.

Szeroki pas nadbrzeżny, silnie zacieniony starodrzewiem, oddychał też chłodem, i kwiaty, gdzie tylko spojrzeć kwiaty! Na pieszczotliwie utrzymanych trawnikach porozrzucane niby odniechcenia ich plamy, lub misternie utkane desenie, płonęły setkami barw skróś zieleni. Z koszów zaś, przytwierdzonych do pni drzew lub słupów do oświetlenia, spływały powiewne ich warkocze, pławiąc się w świetle, w wiecznej zwadzie z powiewem, który szedł od morza. Przed głównem wejściem do kuracyjnego pałacu, urządzonego z luksusem, grupa palm.

Subtelne ich liście drgały lekko, lubując się ciepłem, ale jakoś nie brały udziału w ogólnej radosci życia otaczających je towarzyszy. Może go nie ceniły tak, jak tamte, umierające corocznie, gdy żar słońca zelży w swej mocy, a zimny wiatr, jaki gniewne już wówczas morze w głąb lądu wysyła, z chichotem zedrze brutalnie z nich liście. Wtedy tarza niemi po zabłoconej ziemi, a uchwyciwszy lodową dłonią nagie już gałęzie i konary, szarpie niemi bezlitośnie, jakby i je chciał strącić i wytarzać tak w brudzie, jak uczynił to z tem, co je zdobiło niedawno. Te więc, umierające tak często i zmartwychwstające z trudem, radowały się z każdej chwilki, jak tylko mogły najwięcej, i w wiecznym szmerze śpiewały potężny hymn upojenia.

A te tam, troskliwie ręką człowieka hodowane i osłaniane od zła, żyły bez walki i trosk, więc i życia nie ceniły tak bardzo i radość nie miała takiego już dla nich dostępu. Żyły, bo miały poddostatkiem wszystkiego. Gdy słońce, w długie dni skwarne wypijało skwapliwie wszelki ślad wilgoci, że otoczenie mdlało z unużenia, choć mu uśmiech nie schodził z oblicza, one miały zawsze wody do syta, a liście zraszały zawsze krople życiodajne. I gdy wokół był wszędzie szał życia, życia za wszelką cenę, one, zdawało się, pozwalały tylko łaskawie, aby dostarczano im obficie tego, co tamte zdobywały w boju.

Tak więc stały tam obok siebie dwa światy żywe, ale jeden z nich tylko był żyjący naprawdę, ten w walce.

Ale gnało mię coś nad morze czem prędzej.

Pomiędzy gałęziami drzew powinno już być widoczne jego zwierciadło. Tymczasem przeświecał tylko błękit nieba, u góry ciemny, nieskażony najlżejszą chmurką, który rozjaśniał się ku dołowi subtelnie i bez przejść, przeświecając fioletem coraz bardziej. Ten nie barwił już nieba tylko wyłącznie, lecz odrywał się od niego w miarę zbliżania się do linji horyzontu, że pełno go było wszędy, niby przejrzysta, lśniąca zasłona, która nie zasłaniała niczego, tylko wszystkiemu dodawała światła.

Zupełnie już nisko znów barwy tężały bez przejść, a błękit przechodził w szafir. Ale i ten nie był barwą wyłącznie, lecz świecił, jak świeciło tu wszystko na wzór słońca.

Czem prędzej więc, czem prędzej nad morze!!!

Nie przeszedłem już, lecz przebiegłem ostatnich kilka kroków, i stanąłem niebawem na wyniosłym brzegu...

Chyba zawiodły nagle te moce, które słońce dźwigają codzień z za horyzontu, przetaczają przez pustkę nieba i znów zatapiają z wieczora. Chyba, że zawiodły i upuściły cenny ciężar, a ten błąka się teraz u początku swej drogi, przerażony ucieczką przewodnika i bezmiarem przestrzeni!!...

Chyba, że zawiodły...

Bo oto stały przede mną płomienie, które objęły wszystko, i niczego zrazu rozeznać nie mogłem ponad nie. Po chwili dopiero, gdy się już oko przyzwyczaiło do blasku, leżało przede mną gorejące morze, o które się oparł gorejący strop nieba. Godzina była jeszcze wczesna. Lekki powiew biegł w stronę lądu, a zabierając z sobą subtelne naręcza mgły, koloru błysków topazu, roznosił ją tu i tam, zabrawszy jej wprzód te blaski, jakie miała tam nad wodą. A ona wraz ginęła zawstydzona, że już iść w zawody nie może ani ze słońcem, ani z gorejącym błękitem, ani z roziskrzonym bezmiarem morza.

I tak powoli, bardzo powoli wyłaniać się poczęła z tego chaosu barw i światła warneńska zatoka, zamknięta od południa fioletowym zarysem lądu, u którego krańca znaczyła swą smukłą postać morska latarnia. Od północy ląd uciekał bardziej w głąb, i tylko widać było wyraźnie pusty jeszcze o tej porze pomost do lądowania łodzi i mniejszych statków i w mgłach niepewnie znaczący się cypel euksinogradzkich ogrodów.

Morze było spokojne, jak zwykle o tej porze roku, i w niczem nie ujawniało swojej mocy, która je czyni jesienią i w zimie postrachem marynarzy. Wtedy to, drzemiące w niezmiernych głębinach masy wód, zazdroszcząc tym u powierzchni i słońca jasnego i ciepła, prą ku górze, a gdy nie zastaną już tam tego, czego szukały, szaleją. Mocarny zaś wicher, który tu wtedy ma panowanie, gdy postrzeże te obce mu dotąd moce, sam w swoją wszechmoc wmodlony, rzuca się wraz na nie, by spędzić je tam, skąd przyszły. Lecz masy wód, którym nikt dotąd nie stanął na drodze i nikt się nie oparł, za wygrane dać nie chcą odrazu. Więc się wznoszą ku górze z rozgłośnym grzmotem, by pochwycić wicher i wciągnąć go w sobie tylko znane głębiny, by sczezł, ale ten pewny swej przemocy, podejmuje walkę ochotnie, i tak się zmagają tu te potęgi, żadna nie chcąc dać za wygrane.

Bywają chwile, że zdaje się, iż wicher uległ. Wtedy cisza się czyni na mgnienie, a bezdenny lej wodny zda się wciągnął już przeciwnika w otchłanie. Lecz był to tylko podstęp, lub igraszka dziecinna tego, który wie dobrze, że mu nikt nie sprosta. Bo wnet szyderczy chichot ponad wszystko doniosły rozlega się ponad skłębionem morzem, a masy wód, gnane przez tego, którego ujarzmić chciały przed chwilą, pędzą przed siebie naoślep, strachem obłąkane, a wpadłszy w dzikiej ucieczce z przepotężnym rykiem na ląd, niszczą, co napotkają po drodze, nie przepuszczając niczemu.

Takie to jest oblicze Morza Czarnego...

Teraz było spokojne, choć żywe, a nieustanny

cichy pomruk przewalał się po niem i odbijał echem o wyniosłe brzegi. Woda miała kolor ciemnego szafiru, który jaśniał w miarę odległości od lądu, aż do bieli, by u horyzontu, skąd wzniosło się słońce niedawno, przejść w ton żywego ognia i lśnić barwami płynnego metalu.

Wpoprzek znaczyły się ruchliwe grzywy fal, które zrodzone na pełnem gdzieś morzu, i przez wiatr zganiane, rosły w swawolnej przed nim ucieczce, zanikały w płochej zabawie, znów się tworzyły gdzie indziej i konały wreszcie u brzegu.

A wszędzie słońce... południowe słońce...

Park nadmorski urywał się kamienną balustradą, a szeroka, piaskiem wysypana ścieżka, prowadziła w serpentynach do kąpielowego zakładu. Olbrzymi gmach parterowy zamykał swoim frontem i dwoma skrzydłami obszerną plażę lotnego piasku. Po obu bokach były dwie, tak zwane, wolne plaże, jedna, dostępna dla wszystkich, za znacznie niższą opłatą aniżeli w zakładzie kąpielowym, a na drugiej był... raj dziecięcy.

Liczne kolonje szkolne, które tu ściągają z całej Bułgarji, na tej plaży przez czas wakacyjnych miesięcy dają swoim pupilom sposobność powrotu do sił i zdrowia. Rojno tu jest i gwarno od wczesnego ranka do chwili, gdy zgasną już życiodajne promienie. Wtedy to długie szeregi dzieciarni różnego wieku, spieczonej słońcem i wesołej, wracają ze śpiewem do kwater, na które obracane są corocznie wszystkie niemal budynki szkolne Warny.

Pod tym względem robi się w Bułgarji dziś bardzo wiele, a liczne towarzystwa specjalne i zrze-

szenia nauczycielskie patronują usiłowaniom, by dać państwu zdrowego obywatela, kraj zaś nie szczędzi na ten cel pieniędzy w zrozumieniu, że buduje przyszłość narodu.

Ale wejdźmy do kąpielowego zakładu.

...Morze światła... Zalewa ono tu wszystko, wlewa się szeroką strugą przez obszerne wejście, sączy się przez dziesiątki okien porozmieszczanych u góry holu, pełza po ścianach, korytarzach, kamiennych schodach. A z tem wszystkiem zharmonizowano w jakiś dziwny sposób strukturę wnętrza, utrzymując ją w prostych, łagodnych linjach, a tak pogodnych, jak wiecznie jest pogodne o tej porze warneńskie niebo.

Niema tu nic z banalności, nic z przesadnego przepychu, a wiele subtelnego smaku urodzonego estety. A przedewszystkiem czystość, tak wyszukana czystość, że się wprost zmusić trzeba wejść tutaj w zakurzonem obuwiu wprost z ulicy. Skrzydłowe, oszklone drzwi prowadzą z obszernego holu na plażę.

Wzdłuż zwróconej ku morzu ściany kąpielowego zakładu biegną długie szeregi kabin w dwóch kondygnacjach, a że czas swój tu każdy w całości ofiarował słońcu, wprowadzono bardzo pomysłowy sposób ich używania. Po wykupieniu biletu u wejścia, wchodzi się do pierwszej lepszej otwartej kabiny. W jej tylnej ścianie jest okienko, przez które podaje szatny wieszadło na ubranie i worek na drobiazgi, to też przez okienko odbiera, wiesza w szatni i podaje umieszczony na gumce numer do włożenia na przegub ręki. Ta sama znów kabina wchłania w siebie zaraz nowego czciciela słońca.

W ten sposob nikt nie czeka, a ograniczona ilość kabin może obsłużyć nieograniczoną ilość gości.

Prócz tego posiada zakład oddział dla ciepłych kąpieli w wannach, chociaż przeciętna temperatura wody w morzu wynosi letnią porą 26° C.

Nic więc dziwnego, że przewazna ilość kąpielowych gości spędza niemal cały dzień, naprzemian, na plaży i w wodzie.

A potem znów chwyta się pierwszą, lepszą wolną kabinę, szatny wydaje ubranie za oddanym numerem, i tak dzień za dniem.

Codzienne koncerty muzyki marynarskiej przed domem zdrojowym skupiają w nadmorskim parku wielojęzyczne tłumy przybyszy przez dzień cały, a szczególnie wieczorem. Ale olbrzymi obszar parku, który przeszło na kilometr rozciąga się na wyniosłym brzegu Czarnego Morza, i bezpośrednio przechodzi w warneńskie winnice i park w Euksinogradzie, daje dostatecznie miejsca największym nawet tłumom.

Lecz nie samemu tylko wytchnieniu dla sezonowych gości służą nadmorskie plantacje. Tutaj to odbywają się corocznie w sierpniu wielkie manifestacje narodowe, przed skromnym pomnikiem jednego z największych bohaterów Bułgarji, Wasyla Lewskiego, którego popiersie zdobi główną aleję parku.

Z zawodu nauczyciel ludowy, działał bezpośrednio przed wojną rosyjsko-turecką, która zakończona pokojem w San Stefano (1878 r.), oswobodziła Bułgarję z pod tureckiego jarzma.

Ale nie czekając obcej pomocy, wciąż się burzył bitny naród, dawnej swojej wielkości pamiętny i sławy, a choć liczne powstania topił zawsze wróg w morzu krwi wśród okrucieństw, na jakie tylko zdobyć się mogła myśl ludzka, to mimo to przebiegały zawsze kraj rzesze emisarjuszy, ptakom wolnym podobnych, gotowych na wszystko i niepewnych jutra, a płomienie wolności, gaszone w jednem miejscu, wybuchały tem żywiej w drugiem.

Jednym z tych, którzy budzili śpiących, pocieszali zwątpiałych, a niemocnych niezwyciężonymi czynili, był Wasyl Lewski.

Bez chwili wypoczynku, nawet takiego, by pochwycić dech, przerzucał się niespełna trzydziestoletni zapaleniec z miejsca na miejsce z nieprawdopodobnym pośpiechem, jakby w przeczuciu, że już niewiele mu życia. Wyrastał jak z pod ziemi i zapadał jak w ziemię, zawsze czujny, niezżarty trudem, zgoła nieuchwytny.

Bywały chwile, że zdawało się, iż już... już, a zostanie ten orzeł spętany. Często wojska tureckie otaczały żelaznym kręgiem całe osady, gdzie zjawił się ten ogień wiecznie płonący. Żywy łańcuch zacieśniał się coraz bardziej i bardziej, że ujśćby i mysz nie zdołała, już się wzajem widzą postępujące naprzód szeregi, już pohukują radośnie pewni obławy, a tymczasem dziesiątki mil dalej, za łańcuchem gór i szczytami, rozgorzał nowy płomień walki o wolność, a wzniecił go, podsycił i dał moc swego ducha... Wasyl Lewski!

Obława uderzyła w próżnię...

Ważne narady toczą się w Russe. Lewski bierze w nich udział. Widziano go, jak wszedł do miasta, bo nie krył się zupełnie, widziano, jak się uwijał po mieście, pomimo obecności tureckiej załogi i szpiegów. Pościągano więc śpiesznie wojska z pobliża i zamknięto miasto. Teraz już nie ujdzie, a rozkaz wydano surowy, brać żywcem, aby wprzód męki wyszukane wyprzedziły chwile, w której duch wielki opuści ciało.

Ulice ruchliwego miasta opustoszały zupełnie, wszyscy się skryli, życia niepewni, po domach, i tylko ukradkiem ktoś się przemyka spóźniony, kołując, by uniknąć spotkania z wojskiem. Obcy, którzy przybyli do miasta po zakupy Dunajem, plątają się bezradni tu i tam, nie mogąc wrócić na statek.

Żołdactwo rozlało się wszędzie i pod komendą oficerów przetrząsa miasto. Wpadają do mieszkań, badają, kto i gdzie widział orła, aresztują podejrzanych o sprzyjanie powstańcom. Kordon wojska, po przeszukaniu przedmieść, opasał środek miasta żelaznym pierścieniem.

Nikt nie ujdzie!...

Wymarłą ulicą posuwa się wolno ku szeregom wojsk, jakby ogólnej nie widział grozy, jakiś wieśniak, prawie w łachmanach, zbiedzony zda się i chory. Głowa owinięta szalem, że tylko błyszczą oczy, a ciche, urywane jęki, i krok niepewny świadczą, że cierpi. Lecz kordon zatrzymuje i prowadzi do oficera.

„Och, już chyba przyjdzie mi umierać, jęczy wieśniak, mam chory ząb i cierpię już tak wiele dni. Nie znam miasta, nie wiem, gdzie się obrócić, a tu

10. Typowa uliczka starej Warny.

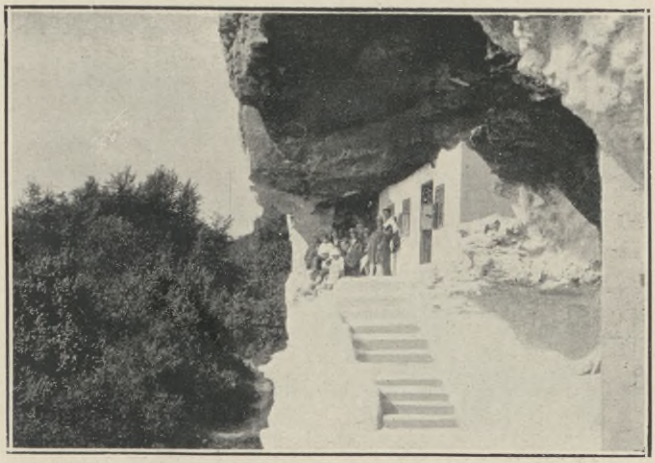

11. Monaster Aładża (górny).

12. Kamień pamiątkowy na mogile króla Władysława Warneńczyka.

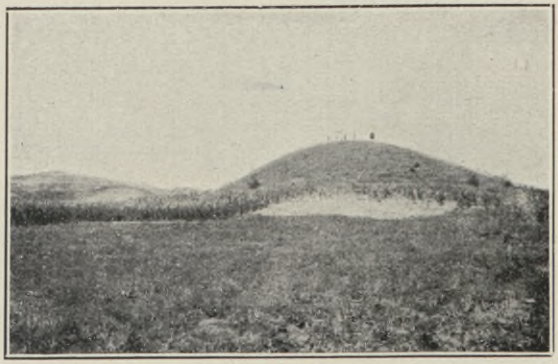

13. Mogiła króla Władysława Warneńczyka. Na lewo niższa mogiła poległego rycerstwa polskiego.

nikogo się dopytać nie mogę, bo miasto puste. Pomóżcie mi, pomóżcie..."

I otworzywszy szeroko usta, pokazywał chory ząb, jęcząc.

Prorok nauczał miłosierdzia i pomocy biednym, więc oficer kazał przepuścić i wskazać mieszkanie lekarza.

Tak oto z osaczonego zewsząd miasta wymknął się znów Wasyl Lewski...

I znów rozgorzała łuna powstania za górami, i znów pościg za nieuchwytnym, znów nieudałe zasadzki, i znów złość bezsilna wobec tylu klęsk tej walki jednego przeciw wielu.

Aż oto przyszła zdrada...

Było to w czas ciężkiej zimy, gdy Lewski, znów się wymknąwszy obławie, przysiadł u popa wśród gór, aby przeczekać zamęt i jąć się dalej roboty. Pop, znęcony wysoką nagrodą, wyznaczoną przez wroga za pomoc w jego ujęciu, uwiadomił najbliższy turecki posterunek, gdzie się ukrywa ten, który tak drwił sobie bezkarnie z potęgi padyszacha. Wojsko otoczyło nocą obejście, lecz Lewski i tym razem wymknął się z chaty, lecz przesadzając płot, potknął się i runął w śnieg.

I to go zgubiło.

Nadbiegli tureccy żołnierze, pojmali wreszcie nieuchwytnego i odstawili do Sofji. Bułgarja okryła się żałobą, a najeźdźca sądził, że uwięził wolnego ducha narodu, który już po wieczne czasy nosić będzie bez szemrania ciężkie okowy niewoli.

Zakuto Lewskiego w kajdany, które dzisiaj, jako świętość narodową przechowują w muzeum

w Sofji. Nieprawdopodobna ich waga i wymiary wskazują, jak cenną zdobyczą dla wroga był ten skromny nauczyciel wiejski. Tymczasem osadzono go w więzieniu pod strażą, zanimby nie zostały obmyślone tortury, godne zdobyczy.

Ale Lewski nie czekał. Wróg, przeciw któremu walczył tak długo, któremu tyle razy uchodził, nie mógł patrzeć na jego męki, nie mógł się cieszyć jego, bólem wykręconą twarzą. Nie, nigdy!!!...

Uprzedzając więc zamiary wroga, w lochu więziennym sam sobie głowę roztrzaskał o ściany kaźni. Gdy go następnego dnia przyszli brać Turcy na męki, zastali już zimne zwłoki. Ale musieli, koniecznie musieli dać wyraz zemście, za tyle doznanych upokorzeń.

Na drugi dzień zawisły na szubienicy w Sofji zwłoki Wasyla Lewskiego...

Nic dziwnego więc, że stał się on narodowym świętym i niedoścignionym wzorem hartu bułgarskiej młodzieży.

W tej samej alei nadmorskiego parku, na wysuniętym w morze cyplu, z dalekim widokiem w głąb, stoi drugi pomnik, tak skromny jak ten i również wielki.

To pomnik największego poety współczesnej Bułgarji, Iwana Wasowa.

Urodzony w r. 1850, brał udział jako młodzieniec we wszystkich poczynaniach tych, którzy w lepszą przyszłość wpatrzeni, budowali z trudem i poświęceniem wolną Bułgarję. Należąc do najgorętszych, pozostawał stale w kontakcie z kołami rewo-

lucjonistów w Bukareszcie i Braile, a gdy wojna o wolność szczęśliwego dobiegła końca, przebywał stale w Plowdyw.i w Sofji. Wśród poetów należy do tych, którzy w czar słowa zaklęli czasy zmagań i bojów swego narodu o wolność. Wszechstronna też była jego literacka działalność, bo pisał i wierszem i prozą, a treścią jego dzieł zawsze bezgraniczna miłość swojego ludu. Nie było chyba działu literatury, w którejby nie pracował Wasow. Utwory liryczne, eposy, opisy podróży, opowiadania, dramaty, romanse, krytyki literackie, wszędzie był on czynny i równie wielki. Należy on też do największych postaci współczesnej Bułgarji. Już jako starzec patrzał na spustoszenia Wielkiej wojny, lecz i wtedy krzepił słowem upadłych. Zgasł po znojnem życiu w r. 1921.[1])

Ukochał Wasow Warnę i chętnie spędzał tu swój czas wypoczynku. Często widziano tu na wyniosłym brzegu Czarnego Morza siwego lecz krzepkiego starca, jak się wolnym krokiem przechadzał samotnie, w głębokiej pogrążony zadumie, po alejach parku. Odkrywały się głowy przechodniów, matki go pokazywały dzieciom, by zapamiętały tego, który ukochał Naród, krzepił mocarnem słowem w latach niewoli i przygotowywał do oglądania słońca wolności. Tego, który zaklął w pieśń potężną i wielką przeszłość narodu i jego zmagania się z wrogiem, i jego ofiary krwi, i jego trud w goje-

---

[1]) W polskiem tłumaczeniu istnieją następujące dzieła Wazowa: Pod jarzmem tureckiem, Nowa ziemia, Królowa Kazalar, Dziadek Joco widzi.

niu ran, gdy już zajaśniała swoboda, i jego łzy serdeczne nad nieszczęsnym losem tych braci, którym pisane było dalej dźwigać kajdany. Pokazywały Go, by kochały jak On, i by jak On służyły Narodowi ostatnią kroplą krwi.

Tu, gdzie mu krótko po skonie skromny wystawiono pomnik, najchętniej i najczęściej przesiadywał Wielki Starzec. Stąd, z tego cypla, wysuniętego w morze, błądził wzrokiem daleko, ponad wiecznie żywe wody warneńskiej zatoki i lądy, ku nadewszystko ukochanej Macedonji, oddartej od Macierzy, a zawsze wiernej.

Tu to, z tego morskiego cypla śpiewał Iwan Wasow:

Ochryda śpi, a od niej mogił wiew...
W snach ciężkich śnią i mąż i niewiasta.
Wtem w ciszy tej szmer jakiś wyrasta.
To... z ust dziecięcych płynie wolnych śpiew...

Ach, zgaś tę pieśń!... Tak woła w lęku on...
Lecz pieśni czar rósł w potok wezbrany.
Już idź!... Lecz nie... Ach pieśń ta kajdany
Przyniesie nam i w mękach strasznych skon...!

Ach, uciisz pieśń tę!... Cyt... Na miły Bóg!!!
Więzienie, męki nam zgotuje wróg...
Lecz... słówko jeszcze chwycę gdzie może!

Ach, biada nam za szczęścia chwilkę w śnie.
Do pieśni tej ma dusza się wszak rwie...
Już dość, ach, dość... Mój Boże... mój Boże!!!

Nie umarł Iwan Wasow, lecz usunął się tylko z przed śmiertelnych oczu ukochanego narodu, który ustawił jego popiersie w tem miejscu, gdzie go widywał najczęściej i skąd potęgą swego ducha krzepił potężny odłam bułgarskiego narodu rozkazem: „Wytrwajcie"!...

Lecz idźmy dalej w głąb parku...

Jest znów u jego krańca, w miejscu najbardziej wzniesionem nad zwierciadło morza, dziwny pomnik z kamienia: Żołnierz w bojowym rynsztunku, z... psem u boku. Wzniesiono go już po wielkiej wojnie, tak nieszczęśliwie zakończonej dla Bułgarji. Gdy przyszło do wytyczania granic, ważył się los rdzennie bułgarskich ziem na północ od Warny, które miały wejść w skład Rumunji. Słupy graniczne miano wbijać pod samym Euksinogradem, a monaster Aładża, o historycznem dla Bułgarji znaczeniu, miał pozostać poza jej granicami. Wtedy to słowiańska wspólnota odezwała się u wczorajszego wroga, Serba, i wytyczono granice bardziej ku północy.

A na wrzynającym się w morze cyplu wzniesiono pomnik: Żołnierz w bojowym rynsztunku, z psem u boku.

Trudno chyba o zespół bardziej znamienny. A jest w Bułgarji, a w Warnie specjalnie, pewien sentyment dla tego zwierzęcia, które się z człowiekiem związało na złą i dobrą dolę, które mu nigdy żadnych nawet wyrządzonych krzywd nie pamięta, i jedną jest tylko owładnięte myślą od szczeniaka, aby mu służyć każdej chwili całą swoją istotą, miłować go i ufać mu całem psiem sercem, w którem

niema już miejsca na co innego, i dochować wierności po wszystkie dni, żadnej nie żądając za to zapłaty, krom dobrego słowa, uśmiechu, lub pogładzenia ręką.

Więc u granic Bułgarji, na skrawku ziemi, którą miano oderwać od macierzy, stanął dziwny pomnik z kamienia, żołnierz w bojowym rynsztunku, z psem u boku.

I pełno włóczy się po Warnie psów bezpańskich. Mógłby ktoś powiedzieć, że to pozostałość po panowaniu Turków nad krajem, i że po ulicach Konstantynopola też się niemało ich błąka. Ale tam są to zbiedniałe i wychudzone istoty, którym człowiek nie robi wprawdzie nic złego, ale też i nie ma w swem sercu ani śladu tego, czego psie serce jest tak pełne. Psy w Konstantynopolu istnieją, a raczej istniały, przebiegały ulice i place, biły się ze sobą na śmieciskach o marny ocnłap strawy, a człowiek przechodził obok, i nie widział nic, nic zgoła. Nie widział tej bolesnej mowy oczu wychudzonej na szkielet, bezmlecznej matki, która błagała człowieka o życie nie dla siebie, lecz szczeniąt. Jedynie piątek był dniem oficjalnego miłosierdzia, ale ono zupełnie nie usuwało kurczów głodu tych zwierząt. Dziś psów w Konstantynopolu już niema. Zastąpiły je zgraje również wychudzonych, brudnych, nawpół zdziczałych kotów, i one teraz walczą o resztki strawy na śmietniskach Galaty, w portowych zaułkach Pery i krętych labiryntach Stambułu.

A psy?...

Jest na Morzu Marmara, w drodze do wysp Książęcych, magnackiej siedziby możnych tego świa-

ta mała, zupełnie bezwodna i wskutek tego niezamieszkana, skalista wysepka bez nazwy.

Gdy Turcją owładnął pęd zbliżenia się do Zachodu, zostawiono duszę turecką w spokoju, a zamieniono tylko barwne turbany i fezy na marnej marki kaszkiety, powiewne zaś stroje Wschodu na źle skrojone tużurki; wtedy przyszła także kolej na psy Carogrodu.

Koran uczynił z nich „tabu". Nie wolno tych zwierząt zabijać. Są miłe Prorokowi. Ale przecie należało zewnętrzny wygląd miasta uczynić podobnym do wielkich miast Zachodu. Przybysz nie śmiał ujrzeć Wschodu!!!...

Wychwytano więc wszystkie psy w mieście, załadowano na okręt i wyładowano na skalistej, bezwodnej wysepce morza Marmara. Tam puszczono je wolno. Tak zniknęły z ulic Konstantynopola stworzenia, które oddały się człowiekowi bez jakichkolwiek zastrzeżeń już przed wiekami, i to nie za odrobinę podanej im strawy, lecz z czystej miłości, która nie zna zawodów lub zdrady.

A na bezludnej wyspie poczęła się dziać tragedja.

Nie było nigdzie wody, a zdobycie żywności stało się wykluczone. Biegały psy zrazu tu i tam, węsząc po jałowem więzieniu, zbijały się w gromady, potem znów rozpraszały, a wszędzie był niegościnny kamień, a wokół morze. Uderzyły więc w niebo chóralną skargą: „Za co?"...

A beztroska, wesoła, rozbawiona ludzka gromada, przepływająca obok do wysp Książęcych na lu-

ksusowych parowcach, słyszała żałosne zawodzenia tych, którym w wierności człowiek nigdy nie dorówna. Trwało to długo, bardzo długo. Gdy głód i pragnienie poczęły coraz bardziej skręcać wnętrzności, próbowały pić morską wodę, lecz przekonawszy się rychło, że ta jeszcze potęguje męki konania, czekały końca oszalałe. Słabsze, które padły prędzej, przedłużały życie tym, które pozostały. Lecz i te wreszcie nie uniknęły swego losu.

Nad skalistą, bezludną wysepką zapanowała znów martwa cisza...

O!... Niech wam tego Ałłach nie pamięta, gdy zapukacie do raju!...

Psy Warny nie robią wrażenia bezdomnych. Czystej rasy niktby w nich chyba nie doszukał się żadnej, ale dlatego, zdaje się, zjednoczyły w sobie wszystkie zalety długiego szeregu swych przodków. Bynajmniej nie uniżone, kręcą się w pojedynkę po ulicach, placach i ogrodach, pomiędzy stolikami ogródkowych jadłodajni i mleczarń, nie narzucając się swą miłością nikomu. Cenią swą godność. Ale zwabione dobrem słowem przechodnia, przyjaznym uśmiechem lub gestem, podchodzą chętnie, a ze śmiejących oczu bije uwielbienie człowieka i cała wielka miłość, jaką tylko pies dać może. Darzone jadłem, którego im tu nikt nie odmówi, przyjmują je, lecz nie z uniżonością żebraka. Nie o ten kęs strawy im chodzi, jeśli plątają się między wielojęzycznym tłumem sezonowych gości. Szukają swych ludzkich przyjaciół i niczego więcej, a na ich uśmiech, dobre słowo, są łase naprawdę.

Wyglądają więc zawsze syte, są pogodne i wesołe, i dużo mają wszędzie przyjaciół.

Z jednym z takich kundli, w którego rodzie było wiele, bardzo wiele mezaljansów, zaprzyjaźniłem się specjalnie, a raczej on zaprzyjaźnił się ze mną. Pierwsze spotkanie było zupełnie zwykłe. Idąc raz rano ulicą ku nadmorskiemu parkowi, uczułem zimne i wilgotne szturknięcie nosem przygodnego przyjaciela o opuszczoną wdół rękę. Był to mieszaniec wielu ras, wielkości terjera, o gładkiej, białej sierści w żółte plamy. Spłaszczył włochate uszy wdół i ku tyłowi, i śmiał się żółtemi oczyma, a sprężysty ogon wykonywał szybkie ruchy w obie strony.

Szedłem do mleczarni przy parku na śniadanie, więc poszedł ze mną, a sprawiał wrażenie, jakby mię już oczekiwał. Widocznie widywał mię codziennie, jak szedłem tam rano, obserwował, zastanawiał się przez dłuższy czas, wreszcie postanowił zawrzeć znajomość. Położył się przy mnie obok krzesła i nie napierał się jadła zupełnie. Przyjmował z godnością kawałki bułki maczanej w kawie i dziękował za każdym razem uśmiechem oczu. Gdy skończyłem śniadanie, wyszedł ze mną, szedł jakiś czas obok, podbiegał naprzód, wracał, trącał nosem i śmiał się. Potem zniknął. Następnego dnia było to samo, potem już codziennie. Przez resztę dnia nie widziałem go zupełnie. Widocznie miał więcej przyjaciół w mieście, pomiędzy których dzielił swój czas.

Pewnego dnia przyszedłem później wieczorem na kwaterę, a mój kundel, zwinięty w kłębek, spał

sobie spokojnie w sieniach pod drzwiami. Jak odnalazł moje mieszkanie w dużem mieście, to już pozostanie tajemnicą psiego węchu. Dość, że był i czekał mego powrotu.

Po krótkiem przywitaniu i licznych miłosnych chwytach zębami za rękę, ułożył się znów spokojnie pod drzwiami, a ja wszedłem do pokoju i ułożyłem się do snu. Po pewnym czasie obudziło mię groźne warczenie i głos, który starał się psu wytłumaczyć, że żadnych nieprzyjaznych zamiarów nie żywi jego właściciel do tego, który znajduje się w pokoju.

Wstałem więc i otworzyłem drzwi. Zastałem w sieni mego spóźnionego towarzysza, z którym dzieliłem pokój, i groźną postawę psa, o zjeżonej sierści i wysuniętą wprzód dolną szczęką, jak błyskiem ostrych kłów bronił dostępu do wnętrza. I dopiero moje zjawienie się i przywitanie z przybyłym, uspokoiło przygodnego stróża na tyle, że pozwolił mu na przekroczenie progu, obwąchawszy jednak wprzód nieznajomego dokładnie.

Tak temu kundlowi-włóczędze kazało postąpić jego psie serce.

I nie mógł twórca pomnika na rubieżach słowiańszczyzny znaleźć bardziej wymownego zespołu, jak rzucając na wyniosły cypel blok skalny, z zaklętą w nim postacią żołnierza w pełnym bojowym rynsztunku, z psem u boku.

Tu kończy się właściwy park nadmorski. Dalej rozciągają się ogrody prywatne, park i winnice Euksinogradu, letniej rezydencji cara Bułgarji, ciche skromne letnisko i klasztor św. Konstantyna,

potem sanatorja dla dzieci, gdzie i Polska ma swoje miejsce w postaci obszernej plaży nadmorskiej, ofiarowanej dzieciom polskim przez państwo bułgarskie. Dalej na północ, nieco na zachód od morza, wznoszą się w lesie skały klasztoru Aładża, a tuż za nim przebiega granica państwowa. A dalej za nią, na północ, znów Słowianie Dobrudży i Besarabji, tak jak i poza południowemi granicami Bułgarji mieszka zwarta ludność słowiańska, aż po wybrzeża morza Egejskiego. Lecz i te obszary przydzielono innym, w konsekwencji przegranej wojny i opowiedzenia się Bułgarji po stronie państw centralnych.

Była to polityka cara Ferdynanda, za którą zapłacił utratą korony i wygnaniem, a państwo swe skazał na wysoką kontrybucję wojenną i na cofnięcie granic. Naród nie chciał tej wojny i bronił się długo przed wzięciem w niej udziału, i dopiero rzucone hasło wojny z Serbją, dawnym wrogiem, który stanął po stronie przeciwnej, przemogło.

W przeciwieństwie do swego syna i następcy, cara Borysa III, uwielbianego przez naród, car Ferdynand nie był nigdy popularny. Bułgarja jednak, a specjalnie Warna i port warneński, wiele ma mu do zawdzięczenia. U końca też mola portu handlowego wmurowano spiżowe popiersie cara Ferdynanda, z twarzą ku morzu.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Czas, przeznaczony na warneński wypoczynek, dobiegał końca i trzeba było znów w dalszą puścić się drogę, wprzód jednak należało złożyć hołd jednemu tutaj miejscu, świętemu dla całej słowiań-

szczyzny, a po trzykroć świętemu dla Polaka: Mogile Warneńczyka.

W drugiej połowie XIII i na początku XIV w., wobec ustawicznych walk bałkańskich narodów między sobą, zapanowały na półwyspie zamęt i chaos, zwiększane licznemi napadami Tatarów ze stepów czarnomorskich i kaspijskich. Pracowity lud zdziczał w wiecznych zwadach, uprawne pola leżały odłogiem, wsie, ongiś bogate, puszczał z dymem coraz to inny nieprzyjaciel, miasta legły w gruzach. Nigdy nienasycony sąsiad z południa, po opanowaniu Bizancjum, parł z niedającą się powstrzymać siłą na zachód. Wojna, rozpoczęta w r. 1353, trwała już z niewielkiemi przerwami blisko sto lat. Bułgarja utraciła już swą niepodległość w r. 1393, po katastrofie Iwana i Straszymira Szyszmanów, a teraz przychodziła kolej na Serbję, Rumunję, Węgry, a może i Polskę.

Zrozumiał niebezpieczeństwo Władysław, młody król Węgier i Polski i zorganizował dwie wyprawy krzyzowe przeciw groźnemu zalewowi. Krzyżowcy zebrali się w Budapeszcie i ruszyli na wroga drogą przez Białogród, Nisz, Sofję, Płowdiw i Odryń, ówczesną stolicę sułtanów. Sroga zima w r. 1443 i złe drogi wstrzymały wyprawę u przełęczy Ichtyman, u podnóża góry Zlaticy. Wojska wracały przez Sofję i Nisz. Ale już w roku następnym, zebrawszy większą armję, a nadto wspomagany przez wojewodę Transylwanji, Jana Hunjadego, ruszył król Władysław na nową wyprawę. Tym razem posuwały się wojska Dunajem aż do miasta Nikopol, co znaczy, miasto zwycięstwa.

Tu, wpobliżu tego miasta, nad rzeką Ossam pobite zostały dawniej i ostatecznie w pień wycięte lub w niewolę zabrane niedobitki wojsk carów Szyszmanów w r. 1396, przez watahy sułtana Bajazyda.

Stąd poruszała się już drogą lądową armja króla Władysława, na Górną Orechowicę, Szumen, Prowadiję, aż przybyła pod Warnę. Naprzeciwko niej ciągnął sułtan Murad II, z nieprzeliczoną chmarą janczarów, aby cios zadać ostateczny i chrześcijaństwu i cywilizacji Europy.

Stanęły wreszcie dwie armje naprzeciw siebie. Murad oparł prawe skrzydło swych wojsk o jezioro, które wąskim przesmykiem łączy się z warneńską zatoką, Władysławowa zaś polsko-węgierska armja stanęła na wzgórzach na północny wschód od pierwszej. I stały tak naprzeciw siebie dwie moce, nie przeczuwając, że od wyniku ich zmagań zawisł los wielu ludów przez wiele wieków.

Stanowisko króla Władysława, jako na wzgórzach położone, było znacznie korzystniejsze, rycerstwo więc było pełne otuchy i pewne pogromu półksiężyca. Gdy przerwała ciszę starodawna pieśń Boga Rodzicy, a wojska polsko-węgierskie poczęły wolno opuszczać się ze wzgórzy, ruszyła i czerń Murada z wyciem wielkiem i rozgwarem, wywołując imię Proroka.

Wojska Władysława stanęły w połowie wzgórza, oczekując natarcia. Sam król, młodzieńczym unoszony zapałem, dosiadł konia i rwał się w pierwsze szeregi. Wreszcie zwarły się obie armje. Mąż

parł o męża, pierś się o pierś ocierała. Skłębiły się ciała, a masy wżerały się w siebie coraz bardziej. Rycerstwo polsko-węgierskie poczęło wolno przeć naprzód, usiłując janczarów Murada wtłoczyć w jezioro. Ci zaś, nie mogąc zdzierżyć, poczęli się cofać, gęsto trupem padając. Zwycięstwo zdawało się pewne, co podniecało jeszcze bardziej rycerstwo i króla.

Wtem stała się rzecz straszna.

Po drugiej stronie jeziora rozciągały się niezmierzone obszary lotnego piasku. Gdy bój się rozpoczął panowała cisza. Wtem nagle zerwał się huraganowy wicher od południa. Spokojnie leżące masy piasku ożyły, wzniosły się ciemną chmurą wysoko nad ziemią i z siłą niebywałą runęły ku północy, wprost w oczy polsko-węgierskiemu rycerstwu. Wstrzymała się w pochodzie i zawahała armja Władysława, zawyły watahy Murada. Ta chwila zadecydowała o wszystkiem. Wojska janczarów, pędzone naprzód, parły już niepowstrzymanie na oślepłego wroga, a gdy Murad nowe siły rzucił od zachodu, które przedarły się na tyły nieprzyjacielskiej armji, pogrom chrześcijaństwa stał się nieunikniony.

Zbijane coraz bardziej rycerstwo, smagane raz wraz falami piasku, poczęło się tłoczyć i myśleć już tylko o obronie, o drogiem sprzedaniu życia. Król Władysław, mimo próśb otoczenia, aby ratował się ucieczką, pozostał tam, gdzie padali pokotem jego rycerze. Ubito pod nim jednego konia, dosiadł drugiego, i nie bacząc na to, że z najbliższych towarzyszy nie został już żaden, parł naprzód, żniwo śmierci czyniąc dookoła. Już ranny raz i drugi nie

puszczał miecza, lecz w jakieś siły nadludzkie zasobny szedł naprzód niepowstrzymanie, jak śmierć. Lecz coraz więcej rąk sięgało do ukoronowanej głowy, coraz większy tłok się czynił koło jego osoby, bo poznano króla. Aż wreszcie skłębiło się nad nim ludzkie mrowie, a wtedy zawyła dzicz, spędzona z pół Azji, a sztandar Proroka powiał nad Bałkanem.

Tak zginął król Władysław pod Warną w r. 1444, a potem nastała noc przez lat 500.

Zrozumiał naród bułgarski doniosłość misji Władysławowej, stwarzając w Warnie muzeum Warneńczyka i gromadząc w niem wszystko, co się zebrać udało ze zbiorów prywatnych, lub co znaleziono na polu nieszczęsnej bitwy. I sama mogiła bohaterskiego króla zawsze otaczana była pietyzmem całego narodu, który zdawał i zdaje sobie dokładnie sprawę z wysiłków polsko-węgierskiego rycerstwa celem wyzwolenia południowej słowiańszczyzny z pod ciężkiej tureckiej niewoli i osłonięcia kultury chrześcijańskiej przed naporem wyznawców Proroka.

Mogiła leży na północny-zachód, daleko za miastem, więc załadowani w dwa auta, postanowiliśmy podjechać pod nią, jak się da najbliżej. Mknęliśmy szeroką i wygodną szosą szumeńską, najpierw na zachód, aby zboczyć następnie na trakt do Kozłudży, biegnący w północno-zachodnim kierunku. Gdzie należy szukać mogiły, nie wiedzieliśmy dokładnie, a i kierowcy naszych aut, jakkolwiek warneńczycy, tam jeszcze nie byli, więc żadnych bliższych objа-

śnień dać nie mogli. Wiedzieliśmy tylko, że od krańców miasta znajduje się ona w odległości pięciu do sześciu kilometrów w linji powietrznej.

Rozglądamy się więc uważnie dookoła, ale nigdzie dojrzeć nie możemy, ani wyraźniejszej mogiły, a tem mniej pomnika, który tam kiedyś miał być podobno.

Od południa ku północy teren podnosił się wyraźnie w licznych wzgórzach uprawnych pól, które o tej porze już odpoczywały po zbiorach. Szukamy między niemi niezoranych miejsc, gdy wiemy napewno, że królewską mogiłę zawsze omijały pługi. Lecz trudno było teraz i to rozeznać, gdyż długotrwała susza i żar słońca zmieniły wszystko w jedno rżysko brunatnego koloru. Lecz brniemy już od jednego wzgórza na drugie, coraz dalej od gościńca, dźwigając olbrzymi wieniec z zieleni i kwiatów, który mieliśmy złożyć na mogile króla.

Od południa błyszczała już leniwa tafla warneńskiego jeziora, a za nią, dalej ku południowi, olbrzymie obszary lotnego piasku, którego drobne, kłujące ziarna, niósł wiatr aż do nas. Byliśmy więc na dobrym tropie, jeśli prawdziwą jest legenda o właściwej przyczynie klęski Warneńczyka.

Wtem zwróciło naszą uwagę jedno wzgórze, nie większe od innych, na którego szczycie widniało coś, jakgdyby złom kamienia. Zresztą, pracowicie wiatrem odgrzebanych skalnych bloków, które sterczą samotnie wśród uprawnych pól lub łach piasku, jest tutaj wszędzie aż nadto. Mimo wszystko, wspinamy się na wzgórze.

— Jest! jest! — wołali przodem idący. — Tak, to była w istocie mogiła Warneńczyka...

Niewiadomo, czy to sztuczna mogiła, czy zwykłe wzgórze, jak te dookoła, tylko ten kamień...

Złom nieobrobionego granitu, a w nim, w bułgarskim i łacińskim języku wykuty napis, że na tem miejscu zginął Władysław, król Polski i Węgier, w obronie słowiańszczyzny.

Ku północy wciąż podnosi się teren; tam to przed pięciu wiekami było rojno od rycerstwa; nad temi to wzgórzami unosił się duch Wolności narodów, któremu Polska wierna była po wsze czasy i dla którego krwawiła się po tylekroć, dla siebie i drugich. A tam ku południowi, gdzie lśni oko warneńskiego jeziora, rozłożyły się wiecznie niespokojne, wiecznie krwi żądne hordy, spędzone żelaznym rozkazem despoty, aby kuć w kajdany wszystkich i wszystko.

Tam na wzgórzach stanęli mężowie w stal zakuci, w stal hartowni wolą; tam u dołu bezwolne masy niewolników, upajanych rzezią.

Tam poczynaniami kierował obowiązek, jako żelazne prawo, wysnute z ukochania swobody, tu strach obłędny przed karą, za niespełnienie rozkazów.

Tam duch wszystkich jednoczył i stapiał w jedno, tu stały bezwolne masy, które w piersiach nosiły pustkę.

A nad tem wszystkiem i nad tem, co miało nastąpić, unosiło się Przeznaczenie, nieprzebite przez myśl człowieka, nieubłagana kolej Dziejów.

I zwarły się ze sobą te dwa światy, by dzień jasny wywalczyć, lub noc.

Z odkrytemi głowami i w głębokiej ciszy złożyliśmy wieniec z biało-czerwoną wstęgą na mogile króla-bohatera.

AŁADŻA.

Można było siedzieć w Warnie bez końca, tem bardziej że po dotychczasowej włóczędze należał się nam spoczynek, z którego też korzystaliśmy w całej pełni. Ale nie poto przyjechaliśmy aż tutaj zdaleka, aby w beztroskiej bezczynności zażywać spokoju, chociażby i był zasłużony. A potem, przebiegaliśmy kraj już od tygodni, więc głód widzenia czegoś nowego zaostrzył się u nas do tego stopnia, że usiedzieć na miejscu dłużej było już trudno.

Nęcił nas monaster Aładża, ukryty w lasach ostatnich stoków Bałkanu; tam też postanowiliśmy zrobić jednodniową przynajmniej wycieczkę.

Dzień wstał pogodny, jak wszystkie inne, gdy wsiedliśmy w auta, aby podjechać trochę bliżej.

Gorąco!...

Pęd auta dawał nieco przewiewu, ale cóż to znaczyło wobec dusznej spiekoty, która wzmagała się niemal z minuty na minutę. Gościniec po kilku skrętach wziął wyraźnie wschodni kierunek, więc zdążał ku morzu, którego łagodny powiew dawał się odczuwać coraz bardziej. Ale piaszczyste wydmy żółtego piasku lub obłe wzgórza, porosłe zszarzałą zielenią, zasłaniały dalszy widok, a motor sapał,

jakby sam chciał czem prędzej wybiec na szczyt wzniesienia, skąd nie będzie już musiał iść w zawody z przestrzenią tak pracowicie. Tymczasem jednak wyskakiwały wciąż niespodzianie nowe zasłony, niby kryjąc za sobą coś, co jest za piękne, za różne od tego, co nas otaczało w tej chwili, aby to można było ujrzeć zbyt wcześnie.

Wtem rozgorzałe niebo, które dotąd wisiało tylko nad nami, pomknęło nagle wgłąb, zwinęło się gdzieś u horyzontu, a potem znów nawróciło, ale już niżej, jeszcze bardziej płomienne i bardziej iskrzące żywym ogniem, niespokojnym jednak, lecz ruchliwym. Zapalały się błyski to tu, to tam, rozlewały się na ogromnej przestrzeni światłami, których nie można było oglądać bez zmrużenia oczu; przykuwały one wzrok, już nie jasnością tylko zaziemską, lecz i orgją barw, jakichś niewidzianych dotąd, a żywych.

To Czarne Morze zbratało się z bezchmurną kopułą nieba, sięgnęło po jego ogień i tak lśniły oboje, zlawszy się w jedno, tamto u góry w majestacie spokoju i powagi, a to u dołu w weselu życia i w życia barw rozrzutności.

I co chwila inne się barwy kładły na wodzie, jedne świetniejsze od drugich, i co chwila gdzie indziej się zapalały płomienie. Droga wiła się wciąż nad brzegiem, raz oddalając się odeń nieznacznie, to znów zbliżając do samej krawędzi głębokiego urwiska, a tam od dołu szły wciąż blaski w barwy coraz bogatsze i niepokój życia, a zgóry spływał żar, spokojny i nieubłagany.

Droga skręciła wnet na północ, z lekkiem po-

tem odchyleniem ku wschodowi, i zwierciadło morza zniknęło nam z oczu, zapadłszy się za wyniosłe brzegi, że tylko jego gwarzenie od czasu do czasu przemagało miarowy turkot motoru. Niebawem jednak i to ustało. Kraj przeszedł w step, pokryty marną trawą, a tę z uporem wypierał wciąż piasek, którego rozległe często łachy świeciły jasną łysiną wśród szarej zieleni. Mijamy wioskę Kestricz, zamieszkaną przez Bułgarów, mówiących po turecku. Rozsiadła się szeroko, bo miejsca wszędzie jest nadmiar. Było właśnie po żniwach; pełne były śpichrze złotej pszenicy, którą młócono sposobem, jak ongiś dawniej wszędzie młócono.

Więc rozesłano zboże na obszernem klepisku, w którego środku był wbity tęgi, niski pal. Do tego, na długiej linie były wprzągnięte konie, ustawione w jednym rzędzie, które, poganiane, tratowały zboże, zakreślając podczas tego corazto mniejsze koła dookoła pala, gdyż lina, prowadząca zaprząg, nawijała się nań ustawicznie. Potem tę samą drogę robiły konie zpowrotem. W ten sposób zboże było tratowane raz koło razu. Gdzie indziej znów konie ciągnęły nadto za sobą ciężką, grubą deskę, której płaszczyzna zwrócona do ziemi była gęsto wybita drobnemi okruchami ostrego krzemienia, który wspomagał pracę koni, wyłuskując ze złotych kłosów pszenicy dorodne ziarno.

Tak niegdyś wszędzie Słowianie, z pra-pradziada oracze, prowadzili omłot zbóż wszelakich, które się kołysały, gdziekolwiek tylko założyli swoje sadyby. Wioska bułgarska, gdzieś w stepie zapomniana, niby w gonitwie życia wyrzucona poza nie, zdobywa

chleb swój codzienny wciąż jeszcze tak, jak przed wielu wiekami ojce zdobywali. Mijamy ją więc my, także z pokolenia oraczy, z wielkim sentymentem i wzruszeniem, bo się nam nasz Piast objawił w tej chwili, jak zasiewał nadgoplańskie rozłogi szczodrą dłonią, a potem też w ten sposób zdobywał święte ziarno, i uczył je czcić, i ziemię ukochać rodzicielkę, i trzymać ją silnie w garści umiłowaną nadewszystko i nie pożądać cudzego...

Kestricz... Zapomniano cię wśród złotych pól pszenicy i stepu. Życie szło obok ciebie i stawało się dla ciebie coraz bardziej obce i coraz bardziej dalekie, więc patrzyłeś na nie, jak patrzy ktoś zasiedziały na przechodnia, który idzie obok, zapatrzony przed siebie, byle dalej i dalej. Dawałeś mu swój uśmiech na drogę, jako rzecz w cenie najwyższą, a potem i twój uśmiech skamieniał, gdy się stał zrozumiały tylko dla ciebie. Więc został tu, i tu już zamieszkał na stałe. Jest on w twarzach twych mieszkańców, w kłosach zbóż, w słońcem zalanych polach, w olśniewającej bieli domostw, w powiewie od stepu, w mowie, śpiewach, w gwarze wszelakiego stworzenia, we wszystkiem, wszystkiem.

Kestricz...

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Droga poczęła niebawem piąć się lekko pod górę. Kępy krzaków, które zrazu tylko tu i ówdzie stały samotnie, grzejąc się do słońca, gęstniały coraz bardziej, aż przeszły wreszcie w las, coraz bardziej zwarty. Już nie rozrzutny, szeroki szlak stepowy, ale coraz bardziej zwężająca się żółta linja wiła się wśród zieleni, coraz bardziej stromo. Auto

z trudem tylko mogło się wżerać w splątane baty krzewia, które w nadmiernej radości życia żadnej nie znały zapory. Posuwać się więc postanowiono krok za krokiem, jak daleko się da, by resztę drogi odbyć piechotą. Wreszcie zajaśniała przed nami niewielka polanka ze źródłem doskonałej wody. Tu trzeba było już wysiąść i odnaleźć leśną ścieżynę, którąby nas zawiodła do celu, t. j. do starożytnego monasteru Aładża. Ale to było już troską naszych przyjaciół z Warny, bo odszukanie w tej plątaninie właściwego tropu nie było rzeczą tak łatwą.

Szliśmy więc jeden za drugim długim wężem popod baldachimem gałęzi, które zwisając rozłożyście i nisko, przecedzały przez się rozgorzałe słońce łagodną poświatą lśniącego seledynu.

Chłód wszędzie panował przyjemny, a z głębi lasu szła wilgoć i zapach ziół.

W gąszczu drzew nie było widać zgoła celu pochodu, odczuwaliśmy tylko, że idziemy wciąż pod górę, i to dosyć ostro. Płuca poczęły pracować coraz silniej, a pot, pomimo chłodu, zlewał nas coraz bardziej. Wąż pochodu rozciągał się na coraz większą odległość, przerywał się tu i tam, słabsi poczęli odpoczywać, wołając o zwolnienie tempa. Przewodnicy jednak rwali naprzód, gdyż pilno im było dotrzeć do celu jak najprędzej i pokazać coś, czego się nie widzi codziennie.

Las wysokopienny ustąpił miejsca zaroślom, które już zupełnie nie zasłaniały widoku. Rozglądamy się więc dookoła, lecz nie widzimy zgoła nic ciekawego, a przecie czupryny nikłego lasu, ani sterczącej ponad nią grupki białych skał, oślepiająco

jasnych, za specjalną osobliwość uważać niepodobna. Ale idziemy dalej, już teraz w poziomie; czasem zniknie nam z przed oczu wszystko, gdy ścieżka zapada w jakąś wyrwę, lub gdy gałęzie krzaków splątały się nam nad głowami w zwartą zasłonę. Podchodzimy pod grupę skał już tak blisko, że dzieli nas od nich tylko jar niezbyt głęboki, a wszystkie nierówności, spękania i wnęki rysują się w czystem powietrzu tak wyraźnie i tak wydają się bliskie, że tylko ręką sięgnąć.

Ale to wszystko przecie nic nadzwyczajnego!...

Okrążamy wąwóz, mijamy jakieś półko w las wtłoczone. Trochę tam było jarzyn, starannie uprawnych, ale czyja to ręka sprawiła nie widać, bo ludzkie siedziby daleko, a tu, któżby osiadał w takiem pustkowiu i kogóżby wyżywiła ta odrobina ziemi. Ale wnet wyłania się utopiona w zieleni jakaś mała samotna chatynka, napół w ziemię wrośnięta. Dwa małe kwadratowe okienka świecą od frontu na niepokalanie białej ścianie, a nad niemi i nad czarną plamą otwartych drzwi zwisa pociemniały od starości okap wysokiego dachu.

Obok, również w zieleni schowana, coś niby komórka, czy magazynik, lub stajenka, bo skoro tu człowiek zamieszkał, to z pewnością znajdą się gdzieś owce, bez których gospodarstwa w tych stronach wyobrazić sobie niepodobna. Wszędzie uderzająca czystość, a na małej grządeczce przed oknami znalazła się też i garść kwiatów.

Lecz gospodarza tego obejścia nigdzie widać nie było. Mijamy więc je i pniemy się dalej ku skałom, ale wciąż zadajemy sobie w myśli pytanie, gdzie

jest właściwie monaster, bo przecie tutaj nigdzie miejsca nań znaleźć niepodobna.

Ścieżka przeszła niebawem w kamienistą, wąską grobelkę, kierując się już wprost ku skalnej ścianie, potem, gdy jej dosięgła, zmieniła się w półkę, szeroką na jakie dwie stopy najwyżej. Idziemy więc nią gęsiego, przylepieni do skały skosem wgórę, wciąż wypatrując monasteru. Półka skręciła nagle w przeciwnym kierunku i po przebyciu kilkunastu stromych schodów, stajemy na dalszym jej odcinku, biegnącym znów skosem wgórę ponad pierwszym

Pod nami kołyszą się czuby drzew, widać mały kwadracik jarzynowego pólka, przysiadłą zboku chatynkę, zielone stoki góry, poprzerywane tu i ówdzie płomiennemi plamami minjaturowych stawków, potem równe rzędy winnego krzewia winnic, a potem hen wdal, aż po horyzont usiadła jakaś niespokojna fioletowa poświata, zlewająca się bez przejść z gorącem tłem nieba.

To Czarne Morze, ale gdzie jest monaster?...

Wreszcie ściana skalna, przy której biegła półka, uskoczyła wtył, i weszliśmy do obszernej niszy, otwartej od wschodu. Nie wiedzieć, czy ją stworzyła natura, czy człowiek, czy może ręka ludzka tylko nieco szła w pomoc przyrodzie, bo nisza miała potężne gładkie sklepienie skalne i niemniej wyrównaną, z litej skały posadzkę. Nad samą krawędzią, gdzie krzesanice opadały wdół prostopadłą ścianą, zawisł na uchwycie prostej roboty niewielki dzwonek.

A więc to tu?... Chyba, że nie!...

Rozglądamy się wokół, by odszukać dalszy ciąg półki skalnej, która zawiodła nas tutaj, bo pewnie dzwonek zawieszono po drodze, aby stąd zwoływał na modlitwę, a monaster jest gdzieś za skałą głębiej, więc niewidoczny dlatego. Ale nic podobnego. Tu się widocznie kończy wszystko, bo dalej już tylko naga skała o prostopadłych, niegościnnych zboczach. W niszy spostrzegamy dwie kamienne ławeczki pod ścianą. Stoimy bezradni, bo i przewodnicy także nie ruszają się z miejsca. Wreszcie rozwiązuje się zagadka.

Po dwóch przeciwległych krańcach niszy, tuż nad krawędzią, widniały w skalnej ścianie dwie czarne plamy wykutych drzwi. W jednej z nich stał mnich, już dobrze szpakowaty, w długich powłóczystych szatach.

A więc to tu, tu jest istotnie ten monaster...

Mnich zapraszał nas dalej ręką do wejścia. Weszliśmy do niezbyt obszernej, wykutej w skale niszy-cerkwi, oświetlonej wykutem również w skale małem okienkiem. Stary, niezgrabnej roboty ołtarz stał pod ścianą, sczerniałe obrazy świętych wisiały tu i ówdzie w ramach niedzisiejszej roboty, a od stropu zwisał świecznik, odkuty w żelazie. Posadzka wyszlifowana była do połysku, ale chyba nie sztukmistrza ręka była tu czynną, lecz stopy i kolana pobożnych, którzy szli tutaj z modlitwą. Jakiś ogromny spokój i powaga wisiały w powietrzu, a surowe ściany patrzyły na nas tak, jak patrzy ktoś bardzo w latach podeszły i pełen mądrości życia na kogoś, kto przyszedł doń wyspowiadać się z trosk i bólów. Sczerniałe były i zadumane w sobie i ja-

kieś nieme, jakgdyby myśli tych, co teraz żyją, inną jakąś szły drogą i były już obce tym, co byli. Więc też staliśmy w ciszy, przytłoczeni czemś wielkiem, a nieznanem, a gdy ktoś czasem zrobił szeptem jakąś uwagę, to nie odbierał żadnej odpowiedzi, aby nie znieważać powagi wieków.

W głębokiej ciszy wychodzimy z tej dziwnej cerkwi. Zakonnik prowadzi nas na przeciwległą stronę niszy, do cel, również wykutych w skale. Niskie, nie przekraczające dwóch metrów wysokości, starannie odrobione, miały, jako jedyne umeblowanie kamienny tapczan pod ścianą. Małe u góry okienko, a raczej wybity nieregularny otwór w skale, rzucał na te surowe ściany snopy gorącego, jasnego światła. A wszędzie cisza.

Dziwnie tępo rozchodziły się odgłosy naszych kroków i dziwnie milkły gdzieś w załomach szepty naszych rozmów. Chodziło się mimowoli po tych miejscach, jak po cmentarzu nieznanych, lecz czcigodnych mogił, które przemawiają mimo wieków i mimo wieków żyją.

Taki jest monaster Aładża...

Jaka jest jego historja i w jakich powstał warunkach, o tem prawie milczy legenda. Kiedyś był znacznie większy, ale przy jednem z licznych tu trzęsień ziemi odprysła od całości spora połać skały z celami, i stoczyła się wdół. Została więc tylko cząstka tego, co było dawniej, ale i to co dziś jeszcze istnieje, każe wędrować tu swoim i obcym.

Pokazywano nam potem, po zejściu wdół, nikłą, wijącą się pod skałami ścieżynkę, zarosłą krzewami, ledwie widoczną, która urywała się co chwila w usy-

piskach kamieni. Tą ścieżką miał przechodzić kiedyś św. Paweł, apostoł narodów, i w tem miejscu kiedyś głosić miał naukę Chrystusa.

Tyle z legendy.

Pewne jest, ze monaster Aładża był jednym z pierwszych, jeżeli nie pierwszym wogóle w tych stronach, skąd się krzewić poczęła nowa wiara między tymi, którzy osiedli tu zdawna, i tymi, których zwabiła zdala żyzna ziemia naddunajskiej doliny. Tutaj mieli odprawiać swe modły, gdy wokół panowały jeszcze mroki dawnych wierzeń, tutaj przebywali ich kapłani pod osłoną nieprzebytych gąszczy borów, i tutaj, zdala od ludzkich siedzib, głoszono pokój ludziom dobrej woli.

A potem znów, gdy półksiężyc wyparł krzyż na Bałkanach i zbrodnią się stało nie czcić Proroka, tutaj znachodzili ucieczkę ci, którzy wierności chcieli dochować wierze ojców.

Lecz czas już był pomyśleć o powrocie, gdyż czekała nas długa droga do morza, a potem wzdłuż jego brzegu do Warny. Zanim jednak mieliśmy opuścić to miejsce, zaprosił nas mnich, jedyny stróż tych szczątków, na małą chwilkę do siebie do chaty, którą widzieliśmy samotną wśród drzew na dole.

Przyjął nas, jak przyjaciół tu z pradawna przyjmowano najlepszych, plastrem miodu.

W małej, czystej izdebce uczyniło się ciasno, każdy przysiadł na czem mógł, i może nietyle słuchał opowiadań mnicha o dziejach monasteru i o tych, którzy wędrowali tutaj złożyć pokłon przeszłości, jak raczej starał się powiązać to, co widział przed chwilą z dniem dzisiejszym. Przecie tam

zostawiliśmy nerwowem życiem żyjące miasto, przewalające się po ulicach tłumy, rozdzielane zdawkowe uśmiechy i uściski rąk, które nie znaczą nic zgoła, a tu, my, przybysze zdaleka, obcy zupełnie, i ten mnich też obcy. Może nie spotkamy się już nigdy w życiu, bo inne są drogi nasze, a inne jego, a przecie nie mógł przejść obok nas, jak przechodzeń i minąć, jak się mija kamień przydrożny, dziś ten a jutro inny, lecz musiał dać upust uczuciu, wywołanemu czy tem, że przybyliśmy tu właśnie, choć to było nam nie po drodze, czy też tem, że rozmawialiśmy pokrewnym jemu językiem.

Wszystko jedno, dlaczego to uczynił. Dosyć, że nas ugościł, jak mógł najwytworniej i było widać, że jest szczęśliwy, iż ma nas u siebie w swej izdebce i że my u niego też czujemy się dobrze. Więc się krzątał, choć trochę niezgrabnie i zmuszał do jedzenia, i miodu raz wraz dodawał na gliniane miseczki, i jakieś stare wyjmował księgi sczerniałe w dostojności i każdemu z osobna pokazywał rzecz dla niego zda się najcenniejszą: W prostych ramach wielką fotografję cara Borysa III, pod którą się car podpisał, gdy zwiedzał monaster i bawił w tej izdebce, podejmowany przez mnicha, tak jak i my, miodem.

Ale czas w drogę, bo słońce już dobiegało południa.

Idziemy więc zrazu kamienistem zboczem, porosłem zrzadka tylko marnem krzewiem, potem wchodzimy znów w stary las, aby wyjść z niego na lekko ku morzu opadającą płaszczyznę, pełną zarośli, na które rzuciły się pnącze dzikiego wina o dojrzałych już drobnych gronach i oplotły hojnie swemi

batami każdą ich gałąź. Mijamy co chwila małe stawki, okolone na znacznej przestrzeni grząskiem błotem, na którem wygrzewały się w słońcu olbrzymie żółwie. Drzewa pozostały już daleko za nami, krzaków było coraz mniej i coraz marniejsze, a słońce wtaczało się wyżej i wyżej na bezchmurne niebo, dopiekając bez miłosierdzia. Wreszcie skończyły się i krzaki, potem trochę nieużytków o wypalonej na słomę trawie, i wchodzimy w kręte ścieżki winnic.

Pomimo wiele tygodni trwającej już posuchy, krzewy były dorodne, o zdrowej zieleni i przebogato obciążone dojrzałym już owocem. Zbliżało się już wielkie dla Bułgarji święto winobrania. Wtedy to ciche obecnie pola, które tak się chętnie prażyły dziś w słońcu, nie do zniesienia prawie dla człowieka, zarojà się rozśpiewaną gromadą, a krzew winny ciężkiem swem gronem zapłaci hojnie za trud człowiekowi.

Winnice nie sięgały do morza, oddzielał je od niego szeroki pas piasków, który należało przebrnąć, aby się dostać na szeroką ścieżkę, biegnącą już stale brzegiem. Słońce tymczasem już dobiegło południa i wzmógł się żar, potęgowany jeszcze oślepiającym blaskiem, jaki szedł od piasków i nieruchomego, zastygłego w ruchach zwierciadła Czarnego Morza.

Gorąco!...

Brniemy przez piaski, w których noga grzęzła wyżej kostek, że i wyciągnąć było trudno, z początku przyśpieszonym marszem, a nawet biegiem, byle tylko minąć je jak najprędzej i wydostać się nad brzeg, gdzie mieliśmy nadzieję natrafić na grunt twardszy. Ale ten okazał się jeszcze gorszy. Noga,

już nie grzęzła tylko, lecz cofała się wstecz, wbijając się w piasek jeszcze głębiej. Pot począł coraz obficiej zalewać oczy, które rażone blaskiem, zacieśniały się w szparkę. Płuca poczęły pracować nerwowo, a w skroniach czuć było miarowe i coraz silniejsze uderzenia krwi. Trzeba było więc zwolnić i przystając co chwila, krok za krokiem przebijać się przez piasek.

A słońce tymczasem prażyło coraz silniej, już nie w głowę tylko, twarz i ręce, lecz przenikało ubranie, smagając rozpalonym swym biczem wszędy.

Wreszcie grunt stał się twardszy i stopy nie zapadały się już tak bardzo, więc poczekawszy chwilę, aż nadciągną maruderzy, ruszyliśmy w drogę ku czystemu południowi, ścieżką, która raz zbiegała tuż nad wodę, to znow odbiegała nieznacznie w ląd, w licznych zakrętach, wznosząc się i opadając, stosownie do rzeźby nadmorskiego terenu. Z początku szło się lepiej niż dotychczas, więc nasza grupka posuwała się raźno naprzód, aby jak najprędzej dobić do ogrodów klasztoru św. Konstantyna, lub parku Euksinogradu, gdzie spodziewano się znaleźć nieco chłodu. Ale bóg słońca rychło zrobił swoje, każąc wnet zwolnić tempo, aż powrotny pochód przeszedł w pracowite i uporne przebijanie się poprzez żar i blask.

Gorąco...

Spokojna, bez żadnych zmarszczek tafla morza, wygrzewała się w słoncu z lubością, przeciągając się leniwo bez szmeru w jego gorącem, południowem tchnieniu. Szedł wprawdzie do lądu powiew lekki, lecz nie chłodził on zupełnie, bo był to tylko oddech

olbrzyma, który pił ogień z chciwością, nigdy nienasycony. Powietrze nad wodą straciło swoją przejrzystość i zmieniło się w jakąś zasłonę, mieniącą się raz szafirem, raz fioletem, to znów płomienną purpurą, poprzez którą przeświecał horyzont, pobielały od żaru. Piach przybrzeżny palił wręcz oczy, jakby z brutalnem bluźnierstwem szedł w zawody ze słońcem i słońce chciał prześcignąć w blasku. A wysoko, prawie prostopadle nad głową lśniła ognista kula w poważnym majestacie, i nie troszcząc się o to, co robią tam rywale na ziemi, słała wciąż swoje pociski, które trafiały wszędzie, bez granic rozszalałe brakiem zasłony i oporu. Nigdzie żadnego drzewka, najbardziej marnego krzewia, najmniejszego skalnego występu, gdzieby choć trochę można zaznać chłodu. Ścieżka wznosiła się i opadała, a po bokach piasek, rozpalony w żar, rozpalone okruchy skał i spopielałe źdźbła trawy.

Gorąco...

Pochód zwalniał coraz bardziej, ale nie zatrzymywał się nikt, tylko podnosił ociężałe nogi z coraz to większym trudem, zdając się na łaskę i niełaskę tego, co się działo. Czuło się, jak pot przeciskał się wszędzie, lecz nie chłodził, wypity natychmiast przez wilgoci spragnione powietrze. Oczy zmęczone blaskiem, nie odróżniały już barw, w które spowiły się i morze i piaski, lecz oglądały wszystko w czerwieni, przez którą pomykały nieznośne czarne plamy raz spokojne i nieruchome, to znów ruchliwe, goniące się wzajemnie i rozwiewające w nicość. Każda, widniejąca przed nami wyniosłość, na którą wspinała się ścieżka, wydawała się nam już chyba ostatnią, poza

którą zawidnieje cień, tak bardzo upragniony. Szliśmy więc pod górę, nie zwalniając kroku i czuli, jak do skóry dobiera się żar coraz bardziej i bardziej, i jak pełza wszędy coraz to siebie pewniejszy. A gdy u załomu ścieżki zawidniał znów tylko dalszy szlak rozpalonych piasków i nowe wzgórze, wzmagał się już nie upór i rezygnacja, lecz wytwarzało się zwolna coś, jakby przeświadczenie, że się nadzwyczajnego nic nie dzieje, i że to, co jest, w niczem nie przerasta normy dnia. Szło się więc dalej, już nie wyglądając tak bardzo zmiany na lepsze, a raczej z ciekawością tylko, do jakiego jeszcze stopnia wzmoże się upał.

Gorąco...

Powietrze ponad piaskiem poczęło drgać najwyraźniej, jak wrzątek, zacierając kontury wydm, przydrożnych złomisk, linji morskiego brzegu i przodem idących towarzyszy. Wszystko teraz wydało się już jednem. I to spokojne pobielałe niebo, i tkwiąca w niem kula ogniem ziejąca, i powietrze ożywione nagle, i gorący oddech morza, i jego cielsko przeciągające się w słońcu, i żarem przepojone piaski nadbrzeżne, spopielałe szkielety traw i ostów i nasza gromadka, wlokąca się leniwo nadbrzeżną ścieżyną.

A czas wlókł się powoli.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wędrujemy więc, nie spodziewając się już żadnej odmiany. Wtem dochodzą nas z oddali wesołe okrzyki i gwar, a gdy dosięgliśmy już szczytu pagórka, który zasłaniał widok, krajobraz zmienił się odrazu. Porozrzucane tu i ówdzie kępy drzew zwierały się w większe masy, które często zbiegały aż do wody,

a ogrodzone pólka, widocznie sztucznie nawadniane, dziwnie odbijały swą zielenią od otaczającej ją martwoty. Z pośród drzew przezierał niepokalaną bielą jakiś okazały budynek, frontem zwrócony ku morzu a oparty o zbocza pagórków, które zbiegały tu łagodnie, w falistych progach.

Był to stworzony przez rząd bułgarski i przez rząd utrzymywany zakład wypoczynkowy i leczniczy dla dzieci. Obszerna plaża wygrzanego piasku o delikatności pyłu roiła się tłumem młodzieży różnego wieku, pod opieką nauczycieli i lekarza zażywając jużto kąpieli, jużto prażąc się na słońcu. A biły stamtąd radość życia, beztroskie jutro i zdrowie, przedewszystkiem zdrowie.

Nie mógł rząd, rozumiejąc co znaczy dla państwa zdrowe pokolenie, zwłaszcza w warunkach, w jakich się znalazła Bułgarja po wielkiej wojnie, znaleźć miejsca bardziej idealnego, jak tutaj. Zdala od miast, ludzkich zbiorowisk i gwaru, w nadmiarze południowego słońca i czystego powietrza, sześciotygodniowy tutaj pobyt musi dać nadmiar sił i zdrowia. Zresztą widać to po niemilknącej wrzawie, wesołych okrzykach i ustawicznej bieganinie tu i tam. Ciała spalone na bronz i śmiejące się oczy wskazują, że swoboda i słońce zrobiły już swoje. Przez cały czas pobytu tutaj jedynem ubraniem krzykliwej tej gromady są jeno krótkie kąpielowe spodeńki, a czas poza snem i jedzeniem jest spędzany naprzemian na powietrzu i w wodzie, co ułatwiają obszerna plaża i ukształtowanie w tem miejscu dna morskiego, które na ogromnej przestrze-

ni jest piaszczyste, mało zmienne i nieznacznie tylko w głąb opada.

Zwiedziliśmy Zakład, oprowadzani z uprzejmością przez zarząd. W obszernej, zalanej światłem jadalni przygotowano właśnie południowy posiłek. Boże!... Co za olbrzymie stosy kromek pszennego chleba piętrzyły się na stołach! Dorównywały im zupełnie rozlewane właśnie po talerzach porcje zupy Inne dania też musiały być utrzymywane w odpowiedniej proporcji. Przy takim ustawicznym ruchu i w takiem powietrzu oraz wielokrotnej codziennie kąpieli, apetyty chyba musiały być wilcze. Sypialnie, też pełne światła, z rzędami żelaznych, biało lakierowanych łóżek, pociągały estetyką urządzenia i wyszukaną czystością, która tu zresztą panowała wszędzie. Uderzała też pewna jakgdyby rozrzutność w wyzyskaniu przestrzeni, ale to nie było przypadkowem bynajmniej. Zrozumiano bowiem, że nadmiarowi przestrzeni na swobodzie musi odpowiadać też nadmiar przestrzeni w Zakładzie. Zresztą wypełniają się jego sale co wieczora gromadką tak ruchliwą, że rozsadza ona, jak nas zapewniano, jego ściany Jedna tylko sala stoi tutaj zawsze pusta i niema. Jest nią izba chorych, urządzona według wszelkich wymogów wiedzy lekarskiej.

I nic dziwnego, chorować bowiem w tym klimacie niepodobna.

Ale czas dalej w drogę. Żegnamy więc uprzejmy zarząd Zakładu i podążamy dalej nadmorskim szlakiem.

Począwszy od rządowego Zakładu, zaczyna się już nieprzerwany szereg stacyj wypoczynkowych

różnych stowarzyszeń i instytucyj, z których jedne są już w pełnym ruchu, inne natomiast dopiero w budowie. Znajduje się też tutaj dobry kawał wybrzeża o przecudnej plaży, jako wielkoduszny dar bułgarskiego rządu dla polskich dzieci. Tu mają one, skąpo obdarzane słońcem w ojczyźnie, przychodzić do zdrowia i sił, aby je potem oddać krajowi. Darowizna ta jest szlachetnym rewanżem bułgarskiego narodu za pomoc lekarską, jaką niosła Polska nieszczęsnym ofiarom trzęsienia ziemi w r. 1928, i wymowną odpowiedzią na apel dzieci słowiańskiej siostrzycy z północy ulżenia tym, którzy znaleźli się nagle pozbawieni dobytku i dachu nad głową.

Ten szereg uzdrojowisk zamyka niewielkie letnisko przy klasztorze św. Konstantyna. Nie jest tu tak rojno i gwarno jak w Warnie, niema z luksusem urządzonego zakładu kąpielowego, który zastępuje zwykła drewniana budka na plaży, ale zato jest to, czego niema w miejscach zawojowanych przez wrzaskliwy tłum międzynarodowych snobów. Jest bezpośredni i ścisły kontakt z przyrodą, a jej wieczysty hymn, pełen potęgi i mądrości, daje ukojenie i siłę tym, którzy go uchwycić potrafią.

I rzeczywiście jest tutaj, obok przyjezdnych z Warny, z którą jest stała komunikacja małemi parowczykami, zawsze spora ilość stałych sezonowych gości, którzy tu wiją sobie przelotne gniazdka na czas letnich wywczasów.

I widzi się tu ich, włóczących się w pojedynkę albo po dwóch, trzech po nadbrzeżnych piachach, lub wysiadujących po olbrzymich złomach skalnych, które pod samym Konstantynem głęboko wchodzą

w morze, jak zasłuchani w głosy, których nikt nie słyszy tylko oni lub zapatrzeni w bezkresną taflę wody i płowe piaski w coś, co może dostrzec tylko ich oko, czerpią siły do walk szarego dnia, stapiając się w jedno z potęgą otoczenia.

Tu i nas czekał krótki wypoczynek, przed zwiedzeniem letniej rezydencji carów Bułgarji, Euksinogradu, który już bezpośrednio sąsiaduje z letniskiem.

Car Borys znajdował się właśnie tutaj na wywczasach, a podczas jego pobytu, wstęp do parku jest obcym wzbroniony. Zdawało się więc, że trzeba będzie zrezygnować ze zwiedzenia tego zakątka, i zadowoliwszy się jeno oglądnięciem go z za sztachet, wrócić wprost do Warny.

Ale tyle razy w wędrówce po Bułgarji okazało się glejtem niezawodnym nasze pochodzenie z Polski, że postanowiliśmy i tutaj próbować szczęścia.

Podeszliśmy więc pod bramę wjazdową i przedstawili dyżurnemu oficerowi naszą prośbę z nadmienieniem, że jako wycieczka z Polski nie chcielibyśmy opuszczać Bułgarji bez zwiedzenia tego miejsca, o którem słyszało się tyle.

Oficer poprosił o cierpliwość, gdyż wobec obecności cara w zamku nie może sam decydować i oddalił się w głąb parku. Sporo upłynęło czasu, i już chcieliśmy dać za wygrane, gdy wreszcie wrócił, prosząc do środka i dodając nam na cicerona pałacowego żandarma.

Park euksinogradzki zajmuje olbrzymią przestrzeń, i chcąc go zwiedzić w całości, niepodobna błąkać się samemu po labiryncie ścieżek, zacisznych

zagajników o egzotycznej roślinności, palmowych klombów i gazonów, mieniących się łanami jaskrawego kwiecia.

Idziemy początkowo jakgdyby starym lasem, i tylko szeroka, drobnym żwirem wysypana ścieżka oraz wypieszczone trawniki wskazują, że znajdujemy się w parku. Korony drzew złączyły się nam nad głową, tworząc zielona zasłonę przed słońcem, które zresztą i tak już obniżyło się znacznie i znaczyło tylko swą obecność owalnemi plamami na żwirze i trawnikach. Ozdobne krzewy, nieznane u nas, tworzyły boczne szpalery, lub rozrzucone kępami wśród drzew, odbijały zielenią o przebogatych tonach od ciemnych pni wielowiekowych staruchów.

Miejscami urywała się zielona ściana szeroką szczeliną, a wówczas wzrok, z zapór uwolniony, biegł wdal swobodnie po powierzchni Czarnego Morza, które zrzuciło teraz już z siebie swój płaszcz stubarwny, a otulać się poczęło w przedwieczorną zasłonę z ciemnego szafiru, która przechodziła woddali w jak myśl powiewną tkaninę z mgły. Ta zasię sięgała po horyzont i wyżej, aż, gdzie się znów barwił błękit, jeszcze wciąż gorący i wciąż jeszcze chcący słońcu dorównać w blasku.

Wtem wyszliśmy nagle z cienia na światłem zalany cypel, który wznosił się wysoko ponad powierzchnię morza. I nagle znaleźliśmy się gdzieś pod równikiem.

Chwiały się tu pod lekkim powiewem pierzaste palmy o smukłych pniach, a przy nich przykucnęła krzaczasta brać pomniejsza, szeroko rozkłada-

jąc do słońca postrzępione wachlarze swych liści, lub w przesubtelnych drganiach wytwornych kosmyków strząsała z siebie nadmiar żaru, zbieranego skrzętnie dzień cały. A w tej ciemnej zieleni, od zimnych tonów zoksydowanej miedzi, do ciepłych blasków dojrzałych łąk, lśniły kwiaty-olbrzymy, obok drobnych jak pył, o dziwnych jakichś zarysach a barwach tak żywych, że zdawało się, iż się tam skrzy coś potajemnie, aby jasnym za chwilę buchnąć płomieniem i strawić to wszystko w garść popiołu.

Obok jednej takiej kępy chwiała się druga opodal, jeszcze pyszniejsza niż tamta, i trzecia i czwarta, a wszystko w pełni siły i łakome życia.

Na tle tej oazy, która zabłądziła tutaj gdzieś z piasków pustyni lub serca dżungli, stał pałac, letnia rezydencja carów Bułgarji.

Właściwie była to nieco bardziej okazała piętrowa willa w stylu odrodzenia, o łagodnych linjach, zharmonizowanych z otoczeniem. Jej białe ściany i duże okna jaśniały spokojem, jak wszystko tutaj, i jak wszystko tutaj były przepojone światłem. Obszerny taras, nieco wzniesiony nad poziom, wybiegał do parku, naprzeciw palm i morza. Niestety, nie można było zwiedzić wnętrza z powodu obecności cara, którego najmilsza pracownia tu się właśnie znajduje.

Car bowiem Borys III jest wybitnym entomologiem, a wielkie zbiory rzadkich owadów krajowych i zagranicznych zdobią jego cichy gabinet euksinogradzkiego pałacu. Zamiłowanie do nauk przyrodniczych odziedziczył, zdaje się, po ojcu, ca-

rze Ferdynandzie, niepoślednim znów ornitologu, który licznemi okazami z ptasiego narodu wzbogacił ogród zoologiczny w Sofji.

Przewodnik prowadzi nas z parku wprost na niewielkie molo, opatrzone u końca morską latarnią. Morze w tem miejscu jest znacznie silniejsze, aniżeli w Warnie, i prawie niewidoczne z góry wzdęcia zmieniły się nagle pod naporem lekkiego podmuchu przedwieczornej pory w fale, które uderzały raz wraz w kamienną zaporę, to z bliska, to odbiegały wdal dla nabrania rozpędu, a potem popędzane do ataku przez inne, zwierały się, zrazu w sobie tężejąc, wznosiły się potem coraz wyżej i wyżej, aż szeroko rozpostarłszy napęczniałe ramiona, rozrastały się w wał szeroki. Ten pomrukując groźnie niby dla ostrzeżenia tego, co ma nastąpić, zdobny w białą koronę z pian, walił w kamienne bloki z siłą, dla której niema zda się zapory. A pewny siebie, że wszystko się przed nim ugięło, nie czekał, aż runie to, coby stało na drodze, lecz przerzucał co rychlej przez molo swą grzywę, która rozbita w pył, skrzący się w słońcu, zwierała się znów, pędząc ku brzegowi z rozgłośną pieśnią zwycięstwa.

Idziemy molem, obryzgiwani co chwila przez fale, a zajęci rozmową, nie spostrzegliśmy wcale małego jachtu, kołyszącego się na spokojniejszej wodzie, ani grupy ludzi, stojących pod latarnią. Wtem podszedł ku nam jakiś, jak się pokazało, wyższy oficer z uprzejmą prośbą, byśmy nie podchodzili bliżej, gdyż tam właśnie stoi car z gośćmi, po powrocie z wycieczki po morzu.

Zawróciliśmy więc, aby oglądnąć resztę parku. Znowu więc wchodzimy w tłum stuletnich staruchów, którym dobrze jest tutaj widocznie, bo mimo wieku rozłożyły szeroko krzepkie gałęzie, ozdobione młodzieńczą czupryną listowia. Stały rozrzucone w nieładzie, jak je niegdyś Bóg zasiał, to bardziej skupione, jakby się zeszły na pogwarkę o dawnych dziejach, to w większej od siebie odległości, niby łaknąc słońca i ciepła w spokojnem odpocznieniu, lub wznosząc się w pojedynkę na obszernych trawnikach, marząc już tylko o przeszłości, jak przystało patrjarchom rodu.

Przewodnik prowadził nas coraz dalej, w coraz bardziej zaciszne ustronia, aż stanęliśmy wreszcie przed porzuconym wśród zieleni domkiem. Niby to willa, niby altana wytworna, lub może ogrodowa szklarnia. Niewielkie to było, a więcej okien niż ścian. I w oknach kwiaty i wokół, przed domkiem malutki placyk, wysłany drobniuchnym żwirem, a zboku i w tyle i zprzodu zieleń i zieleń.

Domek ten był ulubionem miejscem pobytu drugiej żony cara Ferdynanda, ks. Eleonory Reuss-Köstritz. Tutaj też spędzała ostatnie dni swego życia i tutaj umarła, a pokój, w którym najchętniej przesiadywała, już ciężką złożona niemocą, z jedną ścianą całkowicie oszkloną i zwróconą ku ogrodowi, pozostawiono w takim stanie, w jakim był w chwili śmierci królowej. Duży, wahadłowy zegar stoi na tej godzinie, w której śmierć przyszła. Obok duży fotel, z wysokiem oparciem, w którem przesiadywała, w tem miejscu, w którem go zawsze stawiać kazała, a o ścianę oparto wysoką ozdob-

ną laskę, używaną przy spacerach po parku. Cicho tu zawsze i spokojnie.

Ale idziemy dalej. Do parku przylegają olbrzymie winnice, czekające w tej porze już na winobranie; zwisały więc wszędzie dojrzałe kilogramowe grona, jasno żółte z sinawym nalotem lub czarne, o aksamitnym połysku gładzonego hebanu. Grona te dadzą jedno z najprzedniejszych win, jakie zna Bułgarja, t. zw. wino euksinogradzkie.

Przewodnik doprowadził nas wreszcie do przeciwległej bramy parku i pożegnał. Idziemy teraz szeroką aleją starych drzew, która wpada na gościniec, wiodący do Warny, i rozprawiamy gorąco na temat tego, cośmy widzieli przed chwilą.

Wtem nadjechały od strony parku dwa auta, odwożące do miasta wyższych wojskowych, którzy widocznie utrzymywali łączność pomiędzy carem, bawiącym na wywczasach, a rządem. Mijają nas, salutując. Byliśmy przecież przez dwie godziny gośćmi cara Borysa!...

Za parkiem, aż do morskiego ogrodu Warny, to już jedna dzielnica wytwornych will sofijskich przeważnie bogaczy, którzy tutaj uciekają na lato z miasta, gdy upał czterdziestostopniowy i posucha uczynią w mieście pobyt zbyt przykrym. Wśród bujnej, wypieszczonej zieleni i powodzi egzotycznych kwiatów błyszczą w jasnych barwach te wiecznie śmiejące się pałacyki na stromem zboczu, jaskółczym gniazdom bardziej podobne, niż osiedlom człowieka. Nie zachodzi tu gwar miasta, a i zmagania się człowieka z człowiekiem też tutaj, zda się, nie mają dostępu. Panuje niepodzielnie przyroda,

a człowiek przychodzi tutaj znękany życiem poto, aby się uczyć od niej ładu, mądrości nabywać wszelakiej i swe ścieżki prostować.

MESEMWRJA.

Powoli nadchodził czas, kiedy trzeba było opuścić gościnną i piękną Bułgarję, i w dalszą się puścić włóczęgę, która obejmowała i część Turcji, tak gwałtownie zbliżaną do Zachodu przez jej dyktatora Kemala Paszę. Warto więc było zobaczyć, jak społeczeństwo tak typowo różne od europejskiego i przez tak długie wieki izolowane przed jego wpływami, odniosło się do rozkazów i wskazań, które godziły nie tyle w duszę narodu, co w zewnętrzne objawy codziennego życia i wiekowych tradycyj. Czy coś z tego wszystkiego wsiąknęło głębiej i o ile, czy zmiany zaszły tylko pozorne, a Azja pozostała Azją, oto pytania, na które odpowiedź mogły nam dać tylko bezpośrednia obserwacja i kontakt osobisty z ludźmi.

Mimo to, ciężko nam było wyjeżdżać, bośmy się tutaj zasiedzieli i trochę nawet wrośli. Doznaliśmy przez tych kilka tygodni włóczęgi tyle objawów prawdziwej przyjaźni, żeśmy się tu czuli jak w domu. Postanowiliśmy więc jechać dalej morzem, a po drodze zwiedzić jeszcze te części południowej Bułgarji, które dotąd były nam obce.

Noc już była czarna, gdyśmy się znaleźli w warneńskiej przystani. Bułgarski statek „Warna“ na-

znaczony miał odjazd na godzinę 10 wieczór, a tymczasem brał jeszcze ładunek pszenicy i soli do Stambułu i wysp Lewantu. Po drodze miał dwa dni zatrzymać się w Burgas, drugim po Warnie handlowym porcie Bułgarji nad Czarnem Morzem, celem zostawienia części wiezionego towaru i zabrania nowego, nadarzała się więc doskonała sposobność zrealizowania naszych zamierzeń.

„Warna“ nie był to statek pasażerski, lecz solidny handlowiec, który brał jednak na pokład i podróżnych, o ile tym nie bardzo zależało na szybkiem dobiciu do celu podróży i o ile zechcieli zrezygnować z wygód luksusowych okrętów pasażerskich, jednakowo na całej kuli ziemskiej nudnych i jednakowo kosmopolitycznych, ujmujących życie na niem odrazu w nieubłagane tryby żelaznego regulaminu. Podróżowanie zaś na poczciwym statku handlowym, w miarę brudnym i z załogą w miarę rubaszną, daje podróżnemu nieocenioną zaiste sposobność bezpośredniego i swobodnego obserwowania ludzi, których sposobu myślenia, charakteru, filozofji życiowej, swoistej formy kontaktu z otoczeniem nie zasłonił jeszcze modny tużurek, ani według ostatniego żurnalu skrojona suknia. Dlatego nas nietylko nie przerażała dosyć długa podróż do Stambułu „Warną“, ale owszem czyniła ją tem ciekawszą i bardziej cenną. Ani razu też w drodze nie zatęskniliśmy do lśniących metalem kajut, lub sztywnych i absolutnych stewartów, lecz było nam ogromnie dobrze w wałęsaniu się cały dzień po wszystkich dostępnych zakątkach statku, w wylegiwaniu się na pakach i zwojach lin,

z wzrokiem błądzącym swobodnie po bezkresach kołyszących się wód, w wystawaniu godzinami u rufy, gdzie chwiejba niewielkiego okrętu najwięcej dawała wrażeń.

Nic to, że nocować trzeba było na pokładzie, gdy morze wraz z statkiem w jakiemś poważnem rozmodleniu zdawało się trwać nieruchome pod kopułą nieba. Nic to, że sen nie sklejał powiek, bo coś się budziło w człowieku wielkiego, co mu kazało, mimo wyraźnej senności, czuwać, jednoczyć się i stapiać z tem wszystkiem, co go otaczało w tej chwili. Nic to, że nad ranem, gdy świat się już bielić zaczynał, a przed chwilą dopiero sen zmorzył, ziąb przedranny budził nagle z uśpienia. Nic to wszystko!...

A zresztą... pokochaliśmy naszą „Warnę“ odrazu, gdyśmy ją kilka dni temu, oglądali za dnia w porcie.

Stanowczo wydała się nam najpiękniejszem pudłem, jakie dźwigało na sobie kiedykolwiek Morze Czarne. Był to odrazu: „Nasz okręt“ i... basta!...

Formalności rewizji celnej niewiele zajęły nam czasu. Były to w rzeczy samej „formalności“ tylko, które jednak przejść należało, gdyż kupione miejsca opiewały zagranicę, do Turcji. Zresztą mieliśmy legitymację tu najbardziej niezawodną: byliśmy z Polski. Ona otwierała nam bramy sezamu wszędzie, gdyśmy wzdłuż i wszerz przemierzali Bułgarję. Jej też mieliśmy w wielkiej mierze do zawdzięczenia przyjęcie na pokład „Warny“.

Tymczasem zbliżała się dziesiąta, należało więc czem prędzej odnaleźć statek, zanim podniosą po-

most. W porcie panował tej nocy ruch wielki, a kilka olbrzymich cielsk oparło swe czarne kadłuby o kamienne obrzeżenia bulwaru i, sapiąc ciężko, wyrzucały na brzeg zawartość swych komór, lub przyjmowały nowy ładunek, znosząc go pilnie trzeszczącemi dźwigami do wnętrza. Szeregi wagonów kolejowych czekały swojej kolei na portowym torze, a wszędzie panował ruch, nerwowa krzątanina, zamęt.

Wielkie łukowe latarnie oświetlały najbliższy krąg, lecz dalej było znów ciemno, a z mola, które wbiegło w morze daleko, błyskało raz wraz czujne oko reflektora.

— Gdzie stoi „Warna"?... gdzie stoi „Warna"?... — rozpytujemy się nerwowo, bo czasu już było niewiele, lecz nie odpowiadał nam nikt, każdy zajęty swą pracą.

Mielibyśmy nie trafić na „Warnę", „nasz okręt"? Niemożliwe! Przecie go poznamy i w setce innych, bo już się między nim a nami zadzierzgnęła przyjaźń i ona nas prowadzi. Zaprawdę dziwny to do pojęcia ten związek na złą i dobrą dolę między człowiekiem a tym tworem jego mięśni i mózgu.

Pamiętam, gdy przed laty znalazłem się na wątłym rybackim szkunerze, w czas gwałtownej burzy na otwartym Bałtyku, gdy na wiele godzin wszystko stało się jedną potworną gmatwaniną wody, uderzeń wichru, zaziemskich ryków, i ciemności, a wątła skorupka szkunera z załogą, drobną jakąś cząsteczką całości, rybacy, z początku walczyli z żywiołem, a raczej nie... nie walczyli, bo to byłoby bluźnierstwem..., oni starali się tylko zharmonizo-

wać z tem, co się działo, i siebie i swą łupinę, kierując ją dziobem do wzdętych fal, które porywały ją wgórę i pogrążały za chwilę w bezdennych czeluściach wodnych lejów. A potem, gdy poznali, że to się wszystko ułoży samo, jak ma być i bez nich, zawierzyli szkunerowi zupełnie i nie robili już nic. A on nie zawiódł zaufania.

I nie jest ten okruch, rzucony na fale, dla ludzi morza czemś martwem, lecz żyw. Człowiek mu wierzy, jak się wierzy w dobrego przyjaciela. Nie ukrzywdzi!... Nie, nigdy!... Raczej zginie z nim razem. I dziwić się nie można, że się te wilki morskie do niego przywiązują tak bardzo, iż z niego ustąpić nie chcą i z chwilą jego śmierci, jakby i oni go skrzywdzić nie chcieli wiarołomstwem. A gdy zdarzy się tak, że oni przy życiu zostaną, a tamten zginie, to opłakują go, jakby najbliższego stracili w rodzinie.

Takie to już dziwne jest i serce ludzkie i serce... okrętu!...

— Jest... jest... — woła któryś z gromady wysforowany naprzód.

Poznaliśmy zdaleka, jakby inaczej?... Nasza „Warna"...

Stała sobie spokojnie w samym krańcu portu, tuż przy molo, i... czekała. A teraz, gdyśmy ją już ujrzeli a ona nas, mrugała nam przyjaźnie nielicznemi światełkami swych oczu.

Podbiegliśmy czem prędzej. Pomosty były jeszcze opuszczone, a praca ładowania wrzała w pełni.

— Niema się czego śpieszyć... Nie odjedziemy tak prędko!...

Długi szereg kolejowych wagonów czekał jeszcze z towarem i było widać, że nie wyruszymy przed północą. Tem lepiej. Do portu w Burgas i tak nas nie puszczą przed siódmą rano. Mamy tam postój dwudniowy, więc wysiądziemy, aby zwiedzić i miasto i okolicę.

Prezentujemy jednak nasze papiery odrazu. Polacy... Aż jest nam nieprzyjemnie, z jaką wersalską uprzejmością proszą nas na górę, jak nas przeprowadzają ostrożnie po chwiejącym się pomoście i zwisających wdół schodkach. Zjawia się kapitan okrętu, dobroduszny, o śmiejących się, dobrych oczach, średniego wieku mężczyzna, i oddaje nam do wyłącznej dyspozycji swój salon. Jest tam i stół i wygodna kanapka i kilka miękkich kozetek. Nadto przypada nam w udziale jedna służbowa kabina z dwoma łóżkami.

Królewski przepych!... I jak tu nie podróżować towarowym statkiem?!...

No tak... ale to jest „nasza Warna"!...

Właściwie, to naszej gromadce pomieścić się tutaj byłoby trochę trudno, bo i dla połowyby miejsca nie starczyło, ale pokład jest wielki!... I właśnie byliśmy zajęci debatą, jak ten szczupły teren wyzyskać, aby każdemu było dobrze, kto chce spać w salonie, a kto woli pokład, gdy służba okrętowa zaczęła znosić zewsząd leżaki, rozkładać je, przymierzać, próbować, aby koniecznie na jakich czterech metrach kwadratowych zmieścić wygodnie dziesięć osób!...

Wprawdzie trzeba było wyzyskać miejsce i pod stołem, wprawdzie niejeden leżak tylko w połowie

mieścił się w salonie, a drugą spoczywał na schodach z pokładu, w umywalni, lub korytarzyku służbowych kabin, ale służba była zadowolona, że spełniła rozkaz kapitana i że wszyscy mają miejsce.

Trudno!... tak to już było zawsze i będzie, że gościnność, jeśli tylko jest prawdziwa i serdeczna, rozszerza ściany. I... rozszerzyła!...

Nie był to już jednak salon kapitana, lecz puszka sardynek. Nic więc dziwnego, że wyszliśmy niebawem wszyscy na pokład, tem bardziej że wciąż trwała gorączkowa praca ładowania, a przy skrzypieniu kranów, nawoływaniach załogi i uganianiu jej tu i tam, o śnie mowy być nie mogło, nawet w tak przytulnem gniazdku, jakie nam przygotowała gościnność Bułgarów.

Ładowano mąkę i pszenicę, której wprost nieprawdopodobne ilości produkują okolice naddunajskie, od Ruszczuku na południe i zachód. Olbrzymie, pękate wory wynosił z wagonów kolejowych ku dźwigom długi szereg chamali.

Dziwni to ludzie. Widzi się ich wszędzie w naddunajskich okrętowych przystaniach, w dzielnicach portowych, na ulicach wielkich miast Wschodu.

Wiecznie w pracy, ciężkiej pracy, dla zdobycia kawałka chleba. A spełniają ją w ciszy, z jakimś dziwnym spokojem i poddaniem się pod jarzmo ciężkiego losu.

...Niech będzie Ałłach pochwalony!... Niech będzie pochwalone święte imię jego!...

Postacie niewysokie, lecz krępe i barczyste, biorą na się ciężary, że człowiek Zachodu patrzy

14. Scenerja brzegu morskiego pod Konstantynem.

15. Scenerja brzegu morskiego w Messemwryi.

16. Uliczka w Messemwryi.
Na prawo resztki starej cerkwi.

17. Zwykły sposób transportowania liści tytoniowych.

na to wszystko i wierzyć wprost nie chce. Zdaje się, że gdyby chamalowi polecić wziąć na bary parowóz, toby się chwilkę tylko namyślał, z której strony ma podejść i jak go chwycić. Każdy ma na plecach drewniane kozły, podobne do tych, jakich u nas używają do znoszenia cegieł przy budowlach, tylko opatrzone włosienną poduszką od strony ciała.

Na te to kozły ładują i ładują bez końca i miary, a potem niosą ostrożnie i z powagą, stawiając szeroko nogi dla równowagi, i tylko nabrzmiałe mięśnie karku i krwią podbiegłe oczy wskazują, jak gorzki jest chleb, który spożywają ci ludzie...

Widziałem w portach naddunajskich, jak olbrzymie koła napędowe i trybowe maszyn dźwigał jeden człowiek, a złożywszy ciężar na wskazane miejsce, szedł wolnym miarowym krokiem po nowy. Widziałem w porcie i na ulicach Galaty w Carogrodzie chamali, dźwigających na barkach taką ilość towaru, żeby starczyło z pewnością do załadowania dobrego wozu. I nikt się tutaj temu nie dziwi, nie zwraca nawet uwagi na straszną pracę tych jucznych ludzi, a oni kroczą z powagą i w zamyśleniu skrajem gościńca, tuż przy chodniku, silnie pochyleni naprzód, ze wzrokiem wbitym w ziemię, obojętni na wszystko, z rękoma skrzyżowanemi na piersiach.

Tak spoczną po raz może pierwszy w życiu, z twarzą ku świętej Mecce.

...Oo... Ałłach jest wielki!...

Oni też teraz kończyli ładować „Warnę“, i było

niewiele już do północy, gdy praca dobiegła kresu. Wtedy usiedli rzędem na stopniach już pustych wagonów, obojętni na wszystko.

Zgrzytnęły łańcuchy podnoszonych pomostów, głucho stęknęły zapory zamykanych okrętowych komór, ozwał się przeciągły gwizd i rozległ rumor podnoszonej kotwicy. Maszyny poczęły oddychać miarowo i ciężko, a wtedy okręt zakołysał się lekko, jakby się chciał lepiej i pewniej osadzić w morzu przed daleką podróżą.

Światła bulwarów poczęły się wolno cofać, potem wykręcać w bok, potem poczęły gęstnieć światełka domostw i latarń ulicznych, potem na chwilę zajaśniała, gdzieś uwieszona w powietrzu, łuna nadmorskiego parku, potem mrugał już tylko, jakby chciał przebić czerń nocy, gdzieś zdaleka Euksinograd, letnia rezydencja cara Borysa.

Sternik kierował dziób statku ku wyjściu z portu.

Wtem, z przeciwnej strony, zaczęły znów nadbiegać jakieś nowe ogniki. Jeden, drugi i dziesiąty, potem widoczna się już stała cała ich smuga, zakończona silniejszym odbłyskiem morskiej latarni, której światło drgało niespokojną smugą daleko w morze.

Tu było wyjście z zatoki portowej. Tam rozsiadła się wieś Galata u latarni, a dalej ku miastu długi szereg miejsc i ogrodów rozrywkowych, nazwanych popularnie: „Kwarantanną".

Sroga ta nazwa, jakkolwiek w założeniu rzeczywiście oznaczała miejsce przymusowego postoju

okrętów, przybywających z okolic podejrzanych o goszczenie w nich zarazy, w rzeczywistości jednak była symbolem zgoła czego innego, tak dla stałych mieszkańców Warny jak i licznych sezonowych gości.

Wysoki brzeg, silnie zadrzewiony, z przepysznym widokiem na zatokę i port, ściągał dzięki licznym lokalom rozrywkowym w każdą niedzielę i święto niefrasobliwy tłum na świąteczną siestę. Całe roje mniejszych i większych łodzi krążyły wówczas w wesołych podrzutach wiecznie ruchliwej zatoki, między portem a cyplem.

I odbywała się kwarantanna.

Więc przedewszystkiem wino, wielkie bogactwo Bułgarji, jest zawsze koniecznym symbolem odbywających się tutaj obrzędów. Nie ustępując w smaku najprzedniejszym markom francuskim, ustępuje im w cenie. Jest wprost wszędzie za bezcen. Szczególniejszą zaś sympatją darzone są stale winnice cara Borysa w Euksinogradzie. Lał się więc wszędzie płyn perlisty, poprawiały się w mig humory i nikomu i przez myśl nie przeszło, jakie było właściwe przeznaczenie tego miejsca tem bardziej, gdy poczęła unosić się w powietrzu przedziwna woń „kiebabci", narodowego przysmaku Bułgara. Jest to siekana baranina, suto przyprawiana korzeniami, formowana ręczną maszynką w niedługie wałki i pieczona na ruszcie. Posiada ona tę własność cudowną, że przy jej obecności wysuszają się butelka za butelką, w czem lwia zasługa przypada też solonym oliwkom i nieodstępnym „piperkom". Jest to specjalnej sorty mała,

zielona papryka, która zjedzona nieopatrznie przez obcego, pociąga momentalną chęć wypicia całego basenu Czarnego Morza, wraz z wpadającemi doń rzekami.

Tak to zabawiano się tutaj na tem wybrzeżu, które zgoła innym miało służyć celom, w każdą niedzielę i święto.

Ale zwolna i Galata pozostała wtyle, a jej latarnia morska już tylko lśniła niepewnie w nocnych oparach. Wkrótce zniknęły i ostatnie światła, znaczące ostrą linją horyzont.

Nie było już nic wokół, na czem można było spocząć wzrokiem, a niczem niezmącona czerń, legła wokół. Nawet gwiazdami nabite niebo cofnęło się gdzieś w głąb, a nieliczne na okręcie światełka, nie oświetlając niczego, lśniły, jakby zastygłe. Zdawało się, że jakaś potworna siła porwała wszystko, oderwała od ziemi, uniosła w przestrzeń i tam... porzuciła niebacznie. Było w tem wszystkiem jakieś ogromne osamotnienie, a równocześnie błogość, jak gdy opadną troski i zerwą się nici, które wiązały z dniem wczorajszym. Wszystkie zdarzenia minione wydały się, jakby to były wspomnienia tylko, ale bardzo odległe i obce, w których się nigdy żadnego nie brało udziału. Patrzyło się na to wszystko w myślach, jak na coś, co idzie swoją drogą, własną drogą, przechodzi obok i zapada w nicość, bez żalu żadnego, bez oglądania się wstecz... Człowiek wówczas czuje, że staje się lepszym niż był, i że nie byłby w stanie ukrzywdzić nikogo lub mieć żal, a serce mu rozpiera jakieś ogromne dla wszystkich przebaczenie. Widzi się

nieskonczenie małym, niczem w tem oderwaniu od wczoraj, a równocześnie ma pełną świadomość, że się jego cielesna istota rozpływa, rozsnuwa w najsubtelniejszą przędzę, która oplata wszystko, pełza wszędy i drga nad wszystkiem w bezszelestnych ruchach.

Byliśmy na pełnem morzu...

Okręt, zdawało się, stoi w miejscu, choć maszyny oddychały miarowo; snać pracowały ciężko, a u dzióba słychać było gwałtowne wrzenie rozbijanych fal. Pokład kołysał się na boki, to wznosił dzióbem ku górze, by znów zapaść za chwilę wdół, i drgał lekko w takt pracy motorów. Czasem zadźwięczał sterowy łańcuch, rozległ się przeciągły gwizd nocnych straży, lub głuchy odgłos kroków służbowego oficera na kapitańskim mostku. To były jedyne odgłosy życia, które gdzieś tam, poza nami, przewalało się wartką falą, porywało w swe kłęby, mełło w trybach, dawało radość lub rodziło walkę, zapamiętałą i brutalną.

Tu nie było teraz nic z tego...

I nie dłużyło się nam wcale! Owszem, chciało się zatrzymać czas koniecznie, tak inne było to wszystko od tego, co było tam na lądzie. I tak mijały wolno godzina za godziną, i tak się nic nie działo, że miało się wrażenie, iż czas stanął w swym pochodzie, aby odetchnąć. Czasem tylko, gdy okręt z pełnego morza podjeżdżał bliżej ku linji lądu, gdzieś zdaleka, na jakimś wysuniętym cyplu, zamrugało oko morskiej latarni, jakby nagle ze snu obudzone, a potem znowu... nic...

Ale należało przecie pomyśleć o spoczynku. Do salonu nie było poco schodzić, więc pozostałem na pokładzie. Noc była wprawdzie ciepła i ani śladu wiatru, lecz nad ranem mogło być inaczej. Kąt przy kominie, tuż przy maszynowej luce wydał mi się najpewniejszym; niestety, przezorniejszym ode mnie okazał się jeden z towarzyszy podróży, który spał już tam zdaje się oddawna, przykryty zwojem lin okrętowych. Ułożyłem się więc na ławie burty, i wsłuchany w miarowe uderzenia i mlaskanie fal, usnąłem.

Niedługo to jednak trwało, gdyż rychło zbudził mię ziąb przedranny.

Na świecie było już biało. Gwiazdy pogasły, tylko gdzie niegdzie jeszcze marły ich spóźnione marudery w ostatnim blasku. Niebo było matowe, nieco jaśniejsze od wschodu, ale zlewało się w całość z morzem, które w te same ubrało się barwy i tylko bliżej okrętu znaczyły się jaśniejsze smugi fal.

Byliśmy wciąż jeszcze zawieszeni w próżni, nieruchomo jak wówczas, gdy nam zniknęły z oczu ostatnie światła warneńskiej przystani. Wciąż jeszcze nie otaczało nas nic, krom przestrzeni, tylko że wydała się ona teraz nie tak bezbrzeżną, surową i milczącą, lecz raz wraz poczęła przesycać się światłem. Zrazu wszystko wokół trzymane wciąż jeszcze było w jednym tonie szarej stali, która niebawem jednak poczęła jaśnieć i połyskiwać od wschodu, i lśnić w barwach, które nie mają w ludzkim języku nazwania. Te zaś barwiły resztę bezchmurnych obszarów, raz bielą srebrzystą, która

przechodziła wyżej w błękit coraz ciemniejszy, to znów w seledyn lub purpurę.

U dołu były barwy ciemniejsze. Od soczystej zieleni przy burcie szły poprzez szafir, przerywany smugami jasnych fal, do tonów ciemnych, niemal czarnych przy horyzoncie. Ale wszystko to, dotąd spokojne, poczęło z chwili na chwilę gorzeć, rozpalać się coraz bardziej i bardziej, aż buchnął od tafli wody żar świateł, niby od lustra płynnego złota.

Na niebo wtoczyło się słońce.

Przestrzeń i trwanie w niej w bezruchu zniknęły, rozwiały się jak sen. I znów było niebo nad nami a wokół morze, które pruł okręt ciężko dysząc, i ranne pląsy ryb przy burcie, ta beztroska radość życia i dymy obcych statków na horyzoncie.

Zdaleka znaczyła się już linja lądu, rysowała się strzelista postać morskiej latarni i łamane zarysy domów.

Burgas!...

Nie odrazu wpuszczono nas do portu. Było jeszcze za wcześnie. Stanęliśmy więc na kotwicy w zewnętrznym basenie, a powoli poczęły nadpływać i inne statki, i ustawiały się obok w oczekiwaniu wolnego wjazdu. Wreszcie po godzinie siódmej była już „Warna“ przytroczona linami do kamiennej barjery nadmorskiego bulwaru.

Paszporty nasze opiewały na Turcję, więc trzeba było załatwić wpierw pewne formalności, zanim nam wrócono swobodę ruchów na cały czas postoju statku w porcie. Wyszliśmy na miasto.

Gdyby nie powódź owoców, jarzyn i kwiatów,

nicby nie przypominało Wschodu. Miasto czyste, ulice szerokie, budowle o międzynarodowym charakterze. Czasem tylko tu i ówdzie, gdzieś w jakimś zaułku lub na zapomnianym placyku, przykucnęły nieśmiało i bojaźliwie resztki starego Burgasu.

Małe, jednopiętrowe domki, dół z kamienia, góra drewniana z ganeczkami, przybudówkami, wnękami, ot... cacka! Okienka małe, prawie kwadratowe, opatrzone przeważnie kratami, o spokojnym, misternym rysunku. Z boku drzewo figowe o ciemnym liściu przytuliło się wstydliwie do mchem porosłych murów, i gałęzie w dziwne skręcone łuki położyło na walący się ganek lub ciemne plamy zbutwiałego dachu. Albo krzew winny, rozrosły niemal w drzewo, obejmował w pieszczotach te nieliczne już resztki lat dawnych. A wokół banalne domy europejskiego miasta, bez wyrazu i własnej twarzy, patrzyły tępo z pewnością siebie dorobkiewicza-zawłoki na sąsiada, który się tak tulił ogromnie, jakby się gdzie skryć chciał, lub pod ziemię zapaść, aby tylko nie być na oczach tego, którego tu wczoraj jeszcze nie było. Tak mu on jest zupełnie obcy, inny, a tak się brutalnie rozpiera łokciami, tak po chamsku, jakby tu właśnie było jego miejsce, jakby tu on był gospodarzem od wieków...

Ta nowość samego miasta ma swoje źródło w tem, że port w Burgas, wobec rozwoju handlowego Bułgarji, rośnie jak na drożdżach. A powtóre, powstaje tutaj, skromne na razie, lecz o wielkiej przyszłości letnisko, z plażą większą, aniżeli wy-

darta morzu plaża warneńska. Nadto jej piasek ma posiadać radjoaktywne własności. Ciemny jest, prawie czarny, o delikatności subtelnego pyłu, a nagrzany słońcem dochodzi do temperatury tak wysokiej, że o ile ktoś nie jest specjalnie nieczuły, dotknąć go bosą stopą nie potrafi.

Zabudowań kąpielowych jeszcze tu niema, zastępują je drewniane, prowizoryczne kabiny. Trudno!... Bułgarja jest jeszcze za biedna, aby mogła wszystko odbudować odrazu, a nadto ciążą na niej fatalne następstwa przegranej wojny. Ale zapamiętała pracowitość jej mieszkańców, a nadto umiejętność osobistego zadowalania się byle czem na codzień, dają uzasadnioną podstawę spokojnego spoglądania w przyszłość.

Zresztą to, co w Burgas już zrobiono w okresie kilku lat ostatnich, przechodzi możność nawet bogatego państwa. Cała ta okolica była objęta malarją i każdy stronił od tych stron, niby dotkniętych zarazą. Dość powiedzieć, że jeszcze nie tak bardzo dawno 90% i więcej ludności w szerokim promieniu stale była chora. Dzisiaj wypadki malarji zdarzają się jeszcze tu i ówdzie, ale sporadycznie i o lekkim przebiegu, a w niedługim czasie zniknie już ona zupełnie, dzięki wytężonej pracy bułgarskiego rządu.

Powołał on mianowicie do życia, kilka lat temu, specjalny instytut naukowy do zwalczania malarji i wyposażył go w sposób iście królewski. Stanął więc poza miastem wspaniały gmach z licznym sztabem specjalistów, wyszkolonych w gruntownych studjach zagranicą. Na jego czele stanął

Dr. Dręski. Poczęła się walka. Personel instytutu był w ciągłych rozjazdach, przeprowadzając systematyczne niszczenie źródeł zarazy. Osuszano wielkie obszary, zlewano ropą zalewy, zorganizowano pomoc doraźną, stworzono całą sieć ambulatorjów, rozdawano bezpłatnie chininę, jedyny lek przeciw malarji.

Wyniki tej wytężonej pracy nie kazały na siebie czekać zbyt długo. Instytut tymczasem rósł, rozwijał się, i wciąż jest właściwie w budowie. Zwiedzającego uderza luksusowe wręcz urządzenie laboratorjów, wyposażonych w środki, o jakich tylko może zamarzyć uczony. Sala wykładowa dla przygodnych prelekcyj cała w rzeźbach, w najczystszym stylu ludowym, zaciszne, jak z bajki wyjęte sale posiedzeń i narad, bogata bibljoteka.

I wszystko to zrobiła w ciągu niedługiego czasu Bułgarja, obciążona wielką kontrybucją wojenną. Ale też i najdrobniejszy sprzęt wspaniałego urządzenia nie został sprowadzony z zagranicy. Wszystko zrobiono w domu swoimi ludźmi, ze swojego materjału.

Społeczeństwo i rząd zrozumiały, że cofnięciu granic w wyniku nieszczęśliwej wojny, należy przeciwstawić zdobywanie nowych terenów wewnątrz kraju.

I nic dziwnego, że nowy Burgas rośnie na trupie starego Burgasu.

No... ale przez cały czas postoju „Warny“ w porcie w samem mieście nie było co robić. Trzeba było zwiedzić i więcej, ileby się tylko dało.

Siadamy więc w auta, dostarczone uprzejmie przez Dra Dręskiego, i... w drogę...

Mijamy miasto i szeroko rozrzucone przedmieścia, potem droga pnie się wgórę, w licznych zakrętach, a tam w dole roziskrza się raz wraz słońcem płonąca tafla Czarnego Morza. Lecz droga prowadzi nas w głąb lądu i wpadamy niebawem na lekko sfalowaną płaszczyznę stepu.

Mijamy jak wicher wsie, które przykucnęły tutaj zrzadka i grzeją się do słońca, a teraz patrzą na nas zdziwione, czarnemi plamami okien, co znaczy ten hałas tu, gdzie się cisza tylko wałęsa i senność. Ale rychło wpadają znów w odrętwienie, i nastawiając z lubością lśniące ściany swych domostw na żar, lgną coraz bardziej i bardziej do stepu, zrastają się z nim w jedno i rozpływają w pył. A pustka staje się wciąż coraz większa.

Już tylko czasem gdzieś z boku nadbiegnie niespodzianie jakieś zabłąkane osiedle, przystawa dysząc, lecz wraz, jakby czemś zawiedzione, odwraca wstecz twarz słońcem spieczoną i wędruje przed siebie wdal, spokojnie, sennie, w rozmarzeniu. Potem i to znika, a wokół tylko spalona mierzwa traw, a nad nami żar bliskiego południa. Na horyzoncie zaś paliły się szczerym ogniem jakieś kopce oślepiającej bieli. To sól, zbierana z zalewów, po wypiciu wody przez upał.

Już teraz pędzimy bez drogi, wprost przed siebie naprzełaj. Step faluje. Wyrastają to przed nami, to z jednego boku lub drugiego jakieś wzgórki obłe, to fałdy, to znów garby o linjach niespokojnych i porwanych, zaskakują przed siebie, gonią

się, zlewają w jedno, znikają, wygładzają na chwilę, to znów wyrastają nagle gdzie indziej, przerzucają się nerwowo to tu, to tam, a potem rozbiegają spłoszone i... nikną. Linja horyzontu raz się podnosi nieznacznie, to opada, raz wtem miejscu, to w innem...

Oczy poczynają boleć od żaru i łzawią, drażnione unoszonym pyłem startych traw, a powiew szalonego pędu nie chłodzi, lecz smaga tylko twarz oddechem ognia. W gardle sucho... Kiedyż skończy się ten wyścig!...

Lecz zaczyna się pokazywać już nieco zieleni. Z początku tylko tu i ówdzie, potem więcej, aż otoczyło nas znów życie. Owiewa nas przyjemny chłód wilgotnego powietrza, zwiastun bliskiego morza. Wpadamy w winnice i zwalniamy tempo. Wreszcie!...

Krok już teraz za krokiem przesuwa się auto po wąskich dróżkach, między kwaterami winnego krzewia, które w zwartych rzędach stanąwszy wszędy, wchłonęło nas w siebie zupełnie. Soczysta jego zieleń o subtelnym niebieskim odcieniu pije z lubością żar, który tam śmierć, tu przyniósł życie. I biegną długie rzędy, w ciężkie już grona ciężarne jakieś rozbawione w gromadzie i beztroskie, a nad niemi drga płomienne powietrze w wiecznym ruchu. I chciałoby się, by się to nie skończyło już nigdy, tak odpocznieniem się zdaje to, co otoczyło nas teraz, w porównaniu z tem, co było.

Lecz wnet dobijamy do kresu winnic. Przed nami już nie step, lecz lotny piasek legł w wydmach, które zakryły wszystko. Auto wrzyna się

w ten puch i brnie po osie, przechyla się to w tę stronę, to w ową, motor dyszy ciężko i drga, prowadzi nierówno, raz prawie ustaje, to znów szarpnie, jakby ostatkiem sił, a słońce zgóry praży żywym ogniem. Wspinamy się na jedną wydmę, potem drugą, wydaje się, że to ostatnia, że już koniec, lecz przed nami wyrasta znów nowa, znów się zarywamy w piasek, mamy go wszędzie pełno, w oczach, uszach, gardle. Motor pracuje już ostatkiem sił, czuć, że ustanie za chwilę. Mijamy dobrze utrzymaną studnię, wgrzebaną w piasek, z żórawiem, jedyne źródło dobrej wody do picia, na wiele kilometrów wokół. Chyba już koniec. Lecz nie!... Nowa wydma rozłożyła się przed nami półkręgiem i zasłoniła widok. Wspinamy się na nią... Nie!... Wpijamy się w nią z uporem szaleńca krok za krokiem na szczyt.

I...

Nie!... To chyba zmęczone oczy tworzą jakieś wizje!... Lub gorączka rodzi obrazy nie z tego świata...

Ciemnoszafirowa tafla morza legła przed nami na wywczas, aż po krańce horyzontu, wrzynając się w ląd niewielką zatoką. Od południa i wschodu zbiegał do wody łach siwego, gorącego piasku, przesubtelnym pyłem, ale już od tego, co było w niewielkiem oddaleniu od brzegu, oczu oderwać nie było sposobu.

Bo oto na ciemnem tle spokojnego, jakby trwającego w uśpieniu zwierciadła wody, lśniła plama, mieniąca się gamą barw, od jasnej, płomiennej bieli, poprzez róż, o tonach przedrannej jutrzni i fioleto-

wych odbłysków topazu, do ciemnych, mistycznych głębi granatu. A tu i ówdzie plamy zieleni, śmiejącej się, wesołej, opitej słońcem i ciepłem, i kwiaty, kwiaty, kwiaty...

A w tych barwach potem, gdy już oko nieco przywykło do tego misterjum, można było rozeznać skalne bloki, które pionowo, na kilkanaście metrów wgórę wyrosły z morza, zwarły się razem, i one to świeciły tą orgją barw. A na górze spoczęło ludzkie osiedle, niby ptak wędrowny zdaleka, co przysiadł lotem zmęczony na chwilę. I ono też było z barw utkane i z świateł.

A wszystko to wchłonęło w siebie coś z słońca, i dostroiło się w ton ogromnego spokoju i stało się pogodne jak ono, tylko jeszcze bardziej jasne i mniej rzeczywiste.

Wysiedliśmy z aut, bo dalej jechać było niepodobna, i brnęliśmy piechotą ku morzu.

Wąska, sztuczna kamienna tama, wysoko wzniesiona nad poziomem wody, łączyła tę wyspę-widmo z lądem.

Miasteczko, wyrosłe na skale, otaczał mur, który dawne, bardzo już dawne pamiętał czasy, a wchodziło się doń bramą, od strony sztucznego mola. Jakaś brutalna ręka targnęła się na powagę wieków i nakryła bramę drewnianym daszkiem, powycinanym w banalne, jarmarczne desenie.

Wchodzimy...

Wszystko się zapadło!... I ludzie i zdarzenia i codzienne troski i zmagania się jednostek i narodów i zawrotne gonitwy o jutro i to, co było jasne

ściemniało, i co wielkie zmalało w pył... A wskazówka czasu cofnęła się wstecz, daleko wstecz...

Miasteczko było z innych wieków, dawno już, bardzo dawno minionych.

I tam gdzieś zewnątrz, daleko, gorzały walki, zmieniały się ustroje, tworzyły się jakieś potęgi, a ono trwało bez zmiany. Lała się krew w zaciekłych zwadach, gdzieś padały jakieś korony, gdzieś podnosiły się nowe, a ono trwało bez zmiany. Gdzieś jakieś hasła ktoś rzucał, gdzieś tam szalały narody, gdzieś pożoga trawiła wszystko docna, a ono trwało bez zmiany.

Miasto minionych wieków... Zapomniane miasto!...

Tuż za bramą mały placyk, niby dziecinna zabawka, i jakaś gospoda. Stoliki porozstawiane nazewnątrz, a winny krzew, rozrosły na wsze strony i prowadzony poziomo, daje schron przed słońcem.

I spokój... Przedewszystkiem spokój... i zapomnienie...

Na środku placyka jakiś kamienny złom słupa. Podchodzę... Najcudniejsza kolumna koryncka, misternie rzezana w marmurze z Carara, obrócona kapitelem wdół, służy do wiązania jucznych zwierząt w dni targów!

Oo... bogowie Olimpu, dostojni i gromowładni, wyście kierowali ręką tego, co to tworzył!... On minął, wyście minęli, a to trwa...

Do placyka zbiegały zewsząd uliczki. Wąskie, brukowane, ujęte w dwa szeregi domków zabawek. Wszystkie niemal z piąterkiem, dół z kamienia, góra drewniana. Pełne załamań, wnęków i wykuszy,

które wystając ponad uliczkę, dawały chłód przyjemny. Czasem zadudnił głuchem echem chód przechodnia, który zjawiał się jak duch i znikał w licznych zaułkach i skrytkach.

Niemal przy każdym placyku, przy każdej uliczce cerkiewka. Nic jej nie cechuje z zewnątrz. Zwykły domek jak inne, i tak minjaturowa, jak wszystko tutaj. Czasem z jakie cztery metry kwadratowe powierzchni, czasem więcej. Stare, misternie w metalu kute pająki, zwisają tu i tam z pułapu, stare sczerniałe obrazy brodatych świętych, zdobią ściany, nie dzisiejszego wyglądu ławki, ruiny ołtarzy...

To wszystko...

Niewiele to, a przecież tak dużo! Bo też i każda taka cerkiewka to łza najczystsza tych nieszczęśliwych, których potęga bułgarskich carów minionych wieków tutaj osadzała na stałe wygnanie. Oni to tworzyli te wota, aby, gdy śmierć przyjdzie, było im darowane błądzenie.

Tutaj też, gdy ściągnął na siebie gniew potężnego Augusta, pędził swe dni tułacza boski pieśniarz Owidjusz, stąd to posyłał swe, rytmem grające listy do stóp cezara, pełne tęsknoty i nieludzkiego bolu, aby zeń zdjęta była klątwa i dozwolony powrót do Romy. I nie jedyny tylko był on, który odbywał tutaj swą katorgę. Było ich zawsze dosyć.

Ci to, poza życiem stojący za życia, pozostawili tutaj te strzępy tego, co im mogło dom przypominać, utracony na zawsze...

I błądząc tak po zakamarkach, ciemnych zaułkach walących się cerkwi, natrafiałem niejedno-

krotnie, tu na ułamek kolumny, porzucony gdzieś w kącie, tam na płaskorzeźbę w kamieniu, której użyto do budowy, lub kamiennej zagrody, ówdzie znów na okruch rzeźby jakiegoś mistrza bez nazwy...

Nikt się o to wszystko nie troszczy, nikt tem nie rozrzewnia, miasto oddawna już nie ma nic wspólnego ze światem. Jest tylko przeszłością...

Gdzieś tylko na krańcu, na jakimś występie skalnym, uwieszonym nad morzem, tuli się wstydliwie jakiś domek nowoczesny, zdziwiony, co on tu robi, jakby czuł, że zabłądził tam, gdzie tylko mąci spokój umarłych. Więc odsunął się na bok od tych jasnych plam sędziwych murów i od tej zieleni i kwiecia, którem obrosły. Bo i pocóż psuć obraz! I tylko się zalotnym uśmiechem, odpędzonego od zabawy dzieciaka, usiłuje wkupić w ich grono. Nie zepsuje ogólnej harmonji, nic nie ujmie nikomu z pogody, nie przysłoni barw, nie zgasi nic z blasków. Dostroi się do gromady i będzie jak wszystkie.

Bo oto wszystko to wyglądało z lądu tak, jakby kto olbrzymi bukiet cudnego kwiecia, zebranego gdzieś w kraju baśni i marzeń, położył ostrożnie na szafirową toń morza.

Takie było to miasto...

Widziałem je potem raz jeszcze w powrocie z Carogrodu, od strony morza. Widziałem je, jak się rodziło z pyłów świetlnych, w subtelnych drganiach u horyzontu. Widziałem, jak tężało w blaskach i wyłaniało się zwolna z piany fal i mgły nadwodnej, wizją zaziemską, widziałem, jak pełne spokoju i zadumy, patrzyło na dzień dzisiejszy, z myślą o „wczoraj".

To Mesemwrja, bezcenna perła Czarnego Morza!

A mnie się zdawało i wciąż jeszcze zdaje, że to był sen tylko, jakiś ogromnie piękny, bajecznie kolorowy sen...

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Do Sofji 3
Monaster Rylski 43
Wszerz i wzdłuż 73
Królowa Czarnego Morza 99
Aładża 146
Mesemwrja 170

SPIS ILUSTRACYJ.

1. Reprezentacyjna cerkiew w Sofji św. Aleksandra Newskiego.
2. Targ na garnki w Kjustendil.
3. Wieś Ryła.
4. Monaster św. Iwana rylskiego.
5. Główna ulica w Kjustendil.
6. Arkadowy dziedziniec monasteru rylskiego.
7. Na pograniczu starej i nowej Warny. Nowoczesna willa dobudowana do resztek rzymskiego muru.
8. Zaułek w Trnowie.
9. Chłopi bułgarscy.
10. Typowa uliczka starej Warny.
11. Monaster Aładża (górny).
12. Kamień pamiątkowy na mogile Władysława Warneńczyka.

13. Mogiła króla Władysława Warneńczyka. Na lewo niższa mogiła poległego rycerstwa polskiego.
14. Scenerja brzegu morskiego pod Konstantynem.
15. Scenerja brzegu morskiego w Messemwrji.
16. Uliczka w Messemwrji. Na prawo resztki starej cerkwi.
17. Zwykły sposób transportowania liści tytoniowych.

S. BEAŻEK – PRZEZ KRAJ SŁONECZNYCH DOLIN I GÓRSKIEJ GŁUSZY.
ZAKŁ. GRAF. KSIĄŻNICA ATLAS S. A. LWÓW.

139187 15.-
17/XII.56

POLITECHNIKA
BIBLIOTEKA
GŁÓWNA
KRAKOWSKA

S. 61

13. *Z. Sosnowski.* Życie w akwarjum. Brosz. zł. 5·60 kart. 7·—
14. *Z. Urbanowska.* Róża bez kolców. Cz. I. Brosz. zł. 6·40, karton . . . . . 7·80
15. *Z. Urbanowska.* Róża bez kolców. Cz. II. Brosz. zł. 6·40, karton . . . . . 7·80
16. *H. Allorge.* Walka światów. Brosz. zł. 4·60, karton. 6·—
17. *K. A. Czyżowski.* Jim żeglarz. Brosz. zł 4·60, karton 6·—
18. *J. Siemiradzki.* O czem mówią kamienie. Brosz. zł. 5·40, karton . . . . . 7·—
19. *F. A. Ossendowski.* Pod polską banderą. Brosz. zł. 6·20, karton . . . . . 7·80
20. *F. Burdecki.* Podróże międzyplanetarne. Brosz. zł. 3·50, karton 4 80
21. *J. Verne.* Wyprawa w głąb Afryki. Brosz. zł. 6·80, kart. 8·40
22. *J. M. Dąbrowa.* Telewizor Orkisza. Brosz. zł. 6·50, kart. 8·—
23. *F. A. Ossendowski.* Wańko z Lisowa. Brosz. zł. 8 80, kart. 10·40
24. *J. Verne.* Tajemniczy gród w pustyni. Brosz. zł. 6·40, kart. 8·—
25. *F. Burdecki.* Budowa wszechświata. Brosz. zł. 5·20, karton . . . . . 6·80
26. *W. Szafer.* Yellowstone, kraj gorących źródeł. Brosz. zł. 5·60, karton . . . . . 7·20
27. *B. Fournier d'Albe.* Cuda fizyki. Brosz. zł. 4·40, kart. 6·—
28. *St. Malec.* Harce elektronów. Brosz. zł. 4·80, karton 6·40
29. *F. A. Ossendowski.* Zagończyk. Brosz. zł. 5·20, karton 6 80
30. *B. Bobrowska.* Janek w Legjonach. Brosz. zł. 3·90, kart. 5·40
31. *M. Smolarski.* Przygody polskich podróżników. Brosz. zł. 4·80, karton . . . . . 6·40
32. *F. Burdecki.* Tajemnice Marsa. Brosz. zł. 5·60, karton 7·20
33. *J. Meissner.* Licznik z czerwoną strzałką. Brosz. zł. 4·60 karton . . . . . 6·—
34. *M. B. Lepecki.* Na Amazonce i we wschodniem Peru. Brosz. zł. 8·20, karton . . . . . 9·80
35. *S. Przybylski.* Goniec królewski. Brosz. 5·60, kart. . 7·20
36. *S. Łoś.* Strażnica. Brosz. 4·60, kart. . . . . 6·—
37. *J. Makarczyk.* Przez morza i dżungle. Brosz. 6·—, karton . . . . . 7·60

POLITECHNIKA KRAKOWSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
II
L. inw. 37682

Kdn. Zam. 480/55 20.000

Biblioteka Politechniki Krakowskiej
100000231504